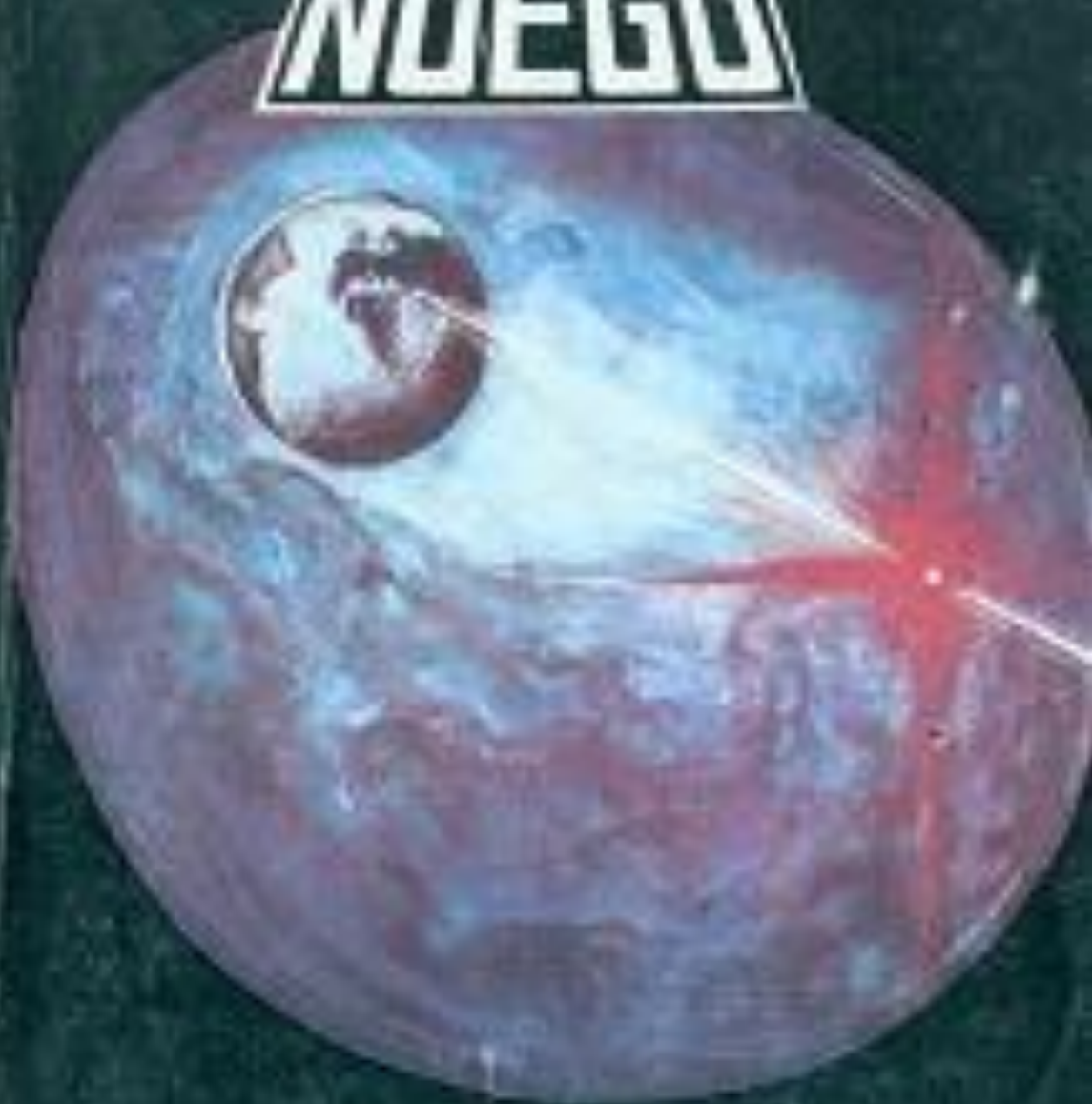




Martin Eisele

ARKA NOEGO



MARTIN EISELE

ARKA NOEGO

TYTUŁ ORYGINAŁU: ARCHE NOAH PRINZIP
PRZEKŁAD: MIECZYŚLAW DUTKIEWICZ



KRAJOWA AGENCJA WYDAWNICZA KATOWICE 1990

(...) a jednak w sytuacji, gdy z jednej strony występuje uczciwość, a z drugiej jej brak, nie może być mowy o kompromisie, jakkolwiek utarła się opinia, że jest on tak łatwy do osiągnięcia.

Jeszcze większa jest groźba wynikająca z militarne go wykorzystywania tych nowych technik. Nie wiemy dokładnie, jak olbrzymim arsenałem broni meteorologicznych i kosmicznych dysponują już dziś supermocarstwa. Naukowcy, cieszący się powszechnym autorytetem, zwrócili uwagę na skutki militarne go manipulowania pogodą, mogące nastąpić w najbliższej przyszłości: przemieszczenie huraganów, wywołanie katastrofalnej suszy albo burzy nad obszarem przeciwnika, a nawet nad całym kontynentem, brzemienne w skutki ingerencje w wyższe warstwy atmosfery. O tym, z jaką powagą zajmują się owym problemem supermocarstwa, świadczą rozmowy amerykańsko-radzieckie, prowadzone na wysokim szczeblu od 1974 roku, na temat zakazu stosowania broni meteorologicznych i kosmicznych. Aktualnie rozpatrywany jest projekt układu rozbrojeniowego.

Georg Breuer „Pogoda na życzenie?”

PROLOG

Pensylwania,
czwartek,
13 listopada 1997 roku

Zajmował tylne siedzenie wozu pędzącego na wschód przez siny brzask poranka; niewyspany, zziębnięty i w nastroju irytującym go coraz bardziej — to uczucie wewnętrznego rozdarcia... Furia w brzuchu. I te wątpliwości...

Nie zdarzało mu się to często. Zazwyczaj działał świadomie, z wewnętrznym przekonaniem. Dziś zżerało go to cholerne poczucie obowiązku, autodyscyplina. Było zagrożeniem dla niego, a wspaniałą pożywką dla wątpliwości. Zresztą nie tylko dla nich.

Był wzburzony, chociaż właściwie nie należał do ludzi łatwo dających się ponosić nerwom i uzewnętrzniających swoje uczucia. Uczucia przestały się liczyć na świecie. Zwłaszcza dziś.

Dziś nic nie było normalne. Ta katastrofa... Nie chciał o niej myśleć — przynajmniej nie teraz, w drodze do Bazy Lotniczej XIV ale jednocześnie przyłapał się na tym, że bezwiednie przygryza dolną wargę. Cóż za banalna, śmieszna reakcja! Jak u ucznia, który dał się zaskoczyć podczas palenia papierosa w ubikacji albo z dziewczyną przy pierwszym pocałunku lub — co gorsza przy pierwszych pieszczotach. Jakby usłyszał:

— Ależ chłopcze, co ty wyprawiasz?

Jakby stał osłupiały, niezdolny do jakiegokolwiek obrony, bezsilny, wydany na pastwę oburzenia i wzgardy. Bezsilny. Otóż to. Czuł się bezsilny.

Antena do odbioru uczuć? Tak nagle? Poczul nieoczekiwany napływ sarkazmu, kwaśną woń zimnego potu i strachu. Z większą uwagą zaczął obserwować umykający krajobraz. Ranek był zimny, wszystko tonęło w szarzyźnie niebo, ciężkie chmury, lód pokrywający cienką warstwą niewielkie kałuże na ustawicznie łatanej asfaltowej drodze, nawet stado wron, które z łopotem poderwały się z kamienistego pola, spłoszone przez przejeżdżający samochód.

Może spadnie dziś śnieg i tym razem się nie roztopi? Do świąt Bożego Narodzenia pozostało już niecałe półtora miesiąca. Śnieg sprowadziłby odpowiedni nastrój i pokój na ziemi. Wszystko co złe, wszelkie przejawy zagrożenia zniknęłyby wtedy pod białą, miękką, zimną

warstwą. Można by pomyśleć swobodnie o kupnie choinki, o grzonym winie i piernikach, o zapachu świec, o wielu drobnych i większych prezentach.

BAZA LOTNICZA XIV
ZAMKNIĘTY OBSZAR WOJSKOWY

Przejazd dozwolony

jedynie

dla osób upoważnionych

Tablica była zaskakująco niepozorna; wyczuł ją raczej, niż dostrzegł. Po chwili minęła ją. To już niedaleko — pomyślał, ale nie potrafił cieszyć się z tego powodu.

Nad polami rozciągającymi się po obu stronach wąskiej drogi snuła się mgła: cienkie, falujące, splątane pasma osłona, która miała rozwiać się dopiero za kilka godzin. Oprócz samochodu i wron była tu jedynym ruchomym elementem.

Wysokie ogrodzenie z drutu kolczastego, wieżyczki niewidoczne jeszcze, znajdujące się z tyłu baraki oraz hangary miały wyłonić się z szarej ciemności w ostatniej chwili.

Zamknął oczy, usiłując zachować wyraz twarzy nie zdradzający niczego. Ogrzewanie w samochodzie działało, a jednak robiło mu się coraz zimniej. Marzył tak od samego rana, co z pewnością wiązało się z tym cholernym nastrojem. I z katastrofą. I z jej konsekwencjami, nieuniknionymi w tej sytuacji.

Nie otwierał powiek, próbował nie myśleć, przeżywać intensywnie wszystko, każdy ułamek sekundy. Może to ma znaczenie. Dla niego. Dla... Dla czegoś w rodzaju samopoznania, odnalezienia siebie samego. Wsłuchiwał się w odgłos silnika, przeklinając dokuczliwe zimno.

Samochód kołysał się łagodnie na większych wybojach. Kierowca milczał konsekwentnie należał widocznie do tego rodzaju żołnierzy, którzy uznają tylko otrzymany rozkaz. Był podobny do niego.

Wyrzuty sumienia? Nie. Nie. A zresztą on też nie chciał mówić. Chciał przygotować się do swojego występu. Do oczekującej go rozmowy. Do przesłuchania. Zacisnął wargi. Sympatyczniej już brzmi określenie: rozmowa.

Chcę ci tylko pomóc, Billy... Właściwej od jak dawna się znamy?

Do diabła!

Siedział teraz zziębnięty, wsłuchany w tamten głos, raczej w tchnienie głosu, zamierającego, a jednocześnie pełnego zachwyty: Oto i oni...

Cisza. Wahanie, A potem: Biedacy!

Tak, biedacy. Głupi, godni pożałowania biedacy!

Słupek popiołu z papierosa spadł bezszelestnie na siedzenie. Nie zauważył tego, chociaż zamierzał przeżyć intensywnie całą jazdę, sytuację bezpośrednio poprzedzającą owo spotkanie. Jego wzrok skierowany był do wewnątrz i znowu ujrzał to wszystko: wahadłowiec „Maryland”, tych głupich biedaków...

Zjawia zbudowana z cieni i fioletowoniebieskiego światła zbliżająca się w migotliwym morzu ciemności i zimna. Widział ją równie dobrze, jak owego ranka na monitorze w Stacji Naziemnej Centrum Kontroli. Wtedy właśnie wyłoniła się bezszelestnie z mrocznej, zimnej nocy, z pustki kosmosu, aby po chwili zniknąć w gęstszych warstwach atmosfery, w jasności.

Nie było nigdy piękniejszej gry barw niż wtedy, kiedy „Columbia” powróciła ze swego pierwszego lotu w 1981 roku, a Young przełożył kolory dziobu wahadłowca na język temperatury:

Kiedy widzisz kolor czerwony, masz do czynienia z temperaturą 1000 stopni Celsjusza. Kolor pomarańczowy oznacza już 1600...

1600 stopni, którym musiała podołać warstwa termoochronna promu kosmicznego: kafle kwarcowe i czarny nos z karbonu. Pamiętał to wszystko doskonale, choć upłynęło już szesnaście lat. Mój Boże, szesnaście lat! Dziś wahadłowiec stał się przeżytkiem...

Rozległe powierzchnie nośne zdawały się być pokryte kirem, wieżyczka pilota stanowiła szeroką wyrwę w cieniu. Za iluminatorami — nic. Ani jednej twarzy. Współczesny Latający Holender. Obraz samotności. Zagubienia.

Zjawia umknęła z chaosu i powracała do domu. To właśnie ona sprowadziła na Ziemię chłód. Raptem zrozumiał: to dlatego było mu tak zimno! Postawił kołnierz swojej skórzanej kurtki, potrząsnął głową i mruknął gniewnie:

— Daj spokój, Feliksie Kronenberg! Cholernie żaloszny romantyk z ciebie!

Godzina ósma. Kolejny papieros. Feliks Kronenberg szybkimi krokami przemierzał ciśnie biuro w tylnej części hangaru dla helikopterów. Podszedł do okna. Jasne żaluzje były opuszczone; na zewnątrz, w mrok, można było zerknąć jedynie przez wąską szparę. Kronenberg wyglądał przez okno, zdając sobie doskonale sprawę z tego, że przez szklane ściany biura obserwują go jego amerykańscy przyjaciele: chciwie, bacznie... Oceniali go. Może ten czy ów otrzymał rozkaz z góry, aby sprawdzić, jak też on się zachowuje? Bannister. Albo też Schonter. Nieufność wisiała w powietrzu jak zapach zgnilizny.

Ale nastrój nerwowości opuścił go — był to dobry znak tuż przed konfrontacją. Odwrócił się, przelotnym spojrzeniem raz jeszcze ogarnął tuzinkowe wyposażenie biura, termos z kawą i tekturowy kubek na parapecie okiennym, doniczkę z jakimś zielskiem, mapę świata stanowiącą barwną plamę na wąskim paśmie ściany między oszklonymi drzwiami a oknem, pomarańczę leżącą na czystym, pociemniałym ze starości biurku tuż obok czarnego, staroświeckiego telefonu, z dala od ogromnego, brzęczącego wentylatora. Nie było śladów nieporządku; żadnych papierów czekających na załatwienie, żadnych porozrzucanych tu i ówdzie segregatorów nie, wszystko wzorowo posprzątane, gotowe na rozmowę z Billy Hayesem. Idealny pokój przesłuchań w idealnym budynku.

Feliks Kronenberg wziął tekturowy kubek, z którego zdążył już wypić kawę, po czym przeszedł się trochę, aby rozruszać nogi ciężkie jak z ołowiu. Od niemal trzydziestu godzin nie zmrużył oka i czuł się odpowiednio marnie. W sąsiednim pomieszczeniu Bannister odłożył na bok komiks o Batmanie i kiwnął mu głową. Kronenberg odwzajemnił gest.

Wszystko było związane na ostatni guzik. Zdecydowanym ruchem strzepnął popiół z papierosa, zawahał się, czy ma go zgasić. Nikotyna nie pobudzała go już i tak w wystarczającym stopniu. A może powinien łyknąć pigułkę?

W tym momencie usłyszał ostry świst rotorów helikoptera. A więc to już. Odetchnął głęboko i odstawił kubek na biurko. Wystarczyły dwa, trzy kroki i oto znalazł się przy drzwiach. Uchylił je czując ulgę, że wreszcie może coś zrobić, nawet jeżeli miałby się na razie ograniczyć do obserwacji. Pierwsze spojrzenie na Billy'ego...

Bezpośrednio przed Billym roztaczał się widok na wilgotnoszare lądowisko.

Świt był już blisko: dokoła kładły się szaroniebieskie cienie i z tego półmroku wyłonił się wojskowy helikopter. Stalowy potwór. W jego bocznych okienkach połyskiwała jasna plama światła — odbłask pobliskich reflektorów. Pasma mgły pełzające nad ziemią skłębiły się i umknęły. Wkrótce oczom Kronenberga ukazali się obaj piloci w wieżyczce. Nosili hełmy, oczy ukryli za dużymi, czarnymi okularami. Widok pasował do tego ponurego czwartkowego poranka.

Łoskot przybrał na sile, helikopter zatoczył koło i osiadł na wyznaczonym polu Alfa-18. Tuż obok, w innej maszynie, rozgrzewano silniki. Raptem życie wykwitło jakby z niewidocznych szczelin betonowego pasa: dwaj żołnierze amerykańscy pędzili co sił przez lotnisko, za nimi zatrzymał się jeep żandarmerii wojskowej.

Helikopter stał już na lądowisku, silnik zawył jeszcze dwukrotnie, po czym umilkł zdławiony. Boczny luk odsunięto energicznie, na zewnątrz wyskoczył żołnierz.

I wreszcie Billy. Billy.

Feliks Kronenberg wypuścił dym nosem i zmrużył oczy, jakby w ten sposób mógł dostrzec wszystko wyraźniej, ze szczegółami: Billy nadal miał na sobie pomarańczowy skafa-

nder, noszony zazwyczaj przez załogę Florydy Arklab. Twarz stanowiła jasną plamę, czarne włosy rozwiewał zimny wiatr wiejący od wirujących jeszcze rotorów helikoptera.

Nie wygląda najlepiej — pomyślał. — Ale trudno się temu dziwić. To było do przewiedzenia. A jego twarz...

Feliks Kronenberg usiłował przypomnieć sobie, jak wyglądała twarz Billy'ego wcześniej, przed katastrofą. Na próżno. Widział jedynie nieokreśloną plamę, jak teraz, z daleka.

Billy Hayes był wysoki, szczupły, szeroki w ramionach. Ubiór sprawiał, że jego sylwetka wydawała się bardziej masywna, niż była w rzeczywistości.

Nieoczekiwanie Kronenberg przypomniał sobie młodzieńczy grymas ust Billy'ego, zdający się mówić: nie bierz tego na serio. Dziwne: Billy nigdy nie był dziecinny. Był dużym chłopcem, który potrafił cieszyć się jak dziecko i... sumiennie wywiązywać się ze swych obowiązków. Jeszcze jeden tryb funkcjonujący w mechanizmie.

Kronenberg zignorował ów zjadliwy cynizm, sygnalizujący z głębin jego podświadomości, że nie minął jeszcze tamten nastrój. Udało mu się jedynie odsunąć go na bok, ale w każdej chwili mógł zostać zaatakowany przez stres na nowo, a wtedy...

Wspomnienia napłynęły teraz większą falą. Kronenberg przypominał sobie, że Billy miał zdradzający energię podbródek. Duży nos, a to, jak sam twierdził, przydawało mu się nieraz: przynajmniej mógł zwęszyć ładną dziewczynę na odległość...

Kronenberg był gotów założyć się o każdą kwotę, że ów duży chłopiec wydorósł w ciągu dwóch ostatnich dni i to nawet bardzo. W kącikach jego ust nie błąkał się już ów grymas nawołujący do traktowania go niezbyt poważnie. Zniknął też gdzieś szeroki uśmiech.

Obaj żołnierze amerykańscy towarzyszący Billy'emu ostentacyjnie szli obok niego z obu stron.

Billy poruszał się zamaszyście, sprężystymi krokami, w sposób typowy dla kogoś, kto od ponad trzech miesięcy przebywał na orbicie.

Helikopter wystartował w szare niebo.

Kronenberg odwrócił się od okna. Zdołał się już opanować, znowu był chłodny i wyrachowany. Bariera zabezpieczająca go przed stresem umocniła się jeszcze bardziej. Założył okulary, brzydkie, w ciemnej oprawie, podkreślające jego ciemne oczy i dodające mu powagi.

Billy Hayes przyszedł. Właściwie: doprowadzono go. Doręczono jak paczkę.

Jeden z żołnierzy, amerykańskich powiedział coś do swojego kolegi i do Billy'ego, po czym wszedł do biura sierżanta, gdzie złożył meldunek. Kronenberg zauważył, że sierżant podchodzi do telefonu. Staroświeckie pudło z bakelitu na biurku Kronenberga zadzwoniło przeraźliwie. Zawahał się przez chwilę, zanim podniósł słuchawkę. Zyskać chociaż trochę na czasie...

— Słucham.

— On już jest, sir — zameldował obojętnym tonem sierżant. — Damy mu nowy mundur, potem wyślemy do pana.

Kronenberg nie odpowiedział. Odłożył słuchawkę. Z przylepionym do ust papierosem, wypalonym już do połowy, przeszedł przez biuro i ponownie utkwiał wzrok w Billym. Tamten nie mógł go zauważyć, pomyśl z opuszczonymi żaluzjami był prosty, ale skuteczny.

O czym on teraz myśli? Jest niespokojny. Widać, że się denerwuje. Tak jak ja przed chwilą. Billy został teraz sam. To również było posunięcie taktyczne. Więzień nie powinien czuć się jak więzień. Zaufanie za zaufanie. Nie jesteśmy przecież potworami, Billy!

Parszywa gra. Kronenberg wiedział aż za dobrze, co teraz nastąpi. Jeden z żołnierzy amerykańskich podejdzie z powrotem do Billy'ego, poklepie go przyjacielskim gestem po ramieniu i powie:

— Proszę bardzo, sir. Przynieśliśmy panu nowy mundur. Z pewnością ma pan już dosyć tych łachów.

O, właśnie nadchodzi ten Samarytanin z zawiniątkiem w ręku. Maszyna została pu-

szczona w ruch i funkcjonowała teraz bez zarzutu, jeden tryb zazębiał się z drugim.

Z lotniska startował drugi helikopter. Wściekle wycie silników, śpiewny poszum rotorów oba odgłosy przybrały na sile, po czym kolos oderwał się od ziemi.

Upłynęło pięć minut. Kronenberg usiadł za biurkiem, nerwowo przetarł dłonią oliwkowy blat i wreszcie wyjął z aktówki dokumenty. On również funkcjonował teraz bez usterek. Niedawne obiekcje, stres wszystko to skryło się w najciemniejszych zakątkach jego świadomości. Za grubą barierą. Taką przynajmniej żywił nadzieję. Bannister zapukał w szybę i mruknął.

O.K. Billy! Zobaczymy, co się da zrobić!

Oszklone drzwi otworzyły się. Kronenberg patrzył jeszcze przez króciutką chwilę na kolumnę liter i cyfr na papierze udając, że to dla niego niezmiernie ważne. Potem powoli uniósł głowę.

Billy Hayes zdążył się już przebrać. Miał na sobie ciemny, lekki mundur kontrastujący z bladą twarzą. Plaster na lewej skroni ginął niemal pod włosami. Oczy Billy'ego wydawały się ciemniejsze niż dawniej. Zatrzymał się na chwilę, po czym wszedł do pokoju: powoli, ostrożnie, z oporem. Duży, poważny chłopiec.

Kronenberg bardzo wolno zdjął okulary. Jego usta wykrzywiły się w smutnym uśmiechu, który jednak nie dotarł do oczu.

— Cześć, Billy!

Ten głos, żeby tylko nie zdradził go ten głos!

— Witaj, Feliksie! Billy był poważny, ale w jego oczach zabłysła przekora. — Nie spodziewałem się, że spotkam tu właśnie ciebie.

Jaki obojętny ton! Z pewnością blefuje. Nie chce oddać się w moje ręce. Nie chce okazać swego zaskoczenia. A może ożyła w nim nagła... nadzieja? Nie. Traktował go jak przeciwnika.

Billy wzruszył ramionami: Cóż, ci na gorze pewnością mieli swoje powody — pomyślał.

Kronenberg mrużył oczy, aż utworzyły wąskie parki. Zignorował nie wypowiedziane pytanie Billy'ego.

— Witaj w domu! — rzekł wyciągnawszy prawą rękę, obserwując bacznie, analizując wszystko, każdy szczegół w zachowaniu Billy'ego. Każde drgnienie mięśni jego twarzy.

Billy zdawał się nie dostrzegać wyciągniętej ku obie dłoni. Z namysłem dotknął plastra na skroni. Jego wargi tworzyły teraz bladą wąską kreskę. Nie podał ręki.

Kronenberg nie był tym zaskoczony. W jego ustach rozprzestrzenił się gorzki smak żółci. Dotarł powoli do gardła. Coraz niżej i niżej...

Skinął głową w kierunku oszklonych drzwi biura, gdzie urzędowało czworo żołnierzy: dwie kobiety i dwaj mężczyźni. Jeden z nich to Bannister. Jasnooki Bannister. Mieli teraz pełne ręce roboty, a jednak... Nie można było oprzeć się wrażeniu, że całą uwagę skierowali na gabinet.

— Mam... mam nadzieję, że będziemy mogli porozmawiać tu bez przeszkód — odezwał się Kronenberg, aby coś powiedzieć. Kąciki ust drgnęły mu podejrzanie. Oczywiście, że będą tu mogli porozmawiać. W interesie jego zwierzchników leżało, aby ta rozmowa odbyła się bez żadnych przeszkód.

Podniósł słuchawkę telefonu i wykręcił numer środkowym palcem, nie spuszczając Billy'ego z oczu. Znowu uśmiechnął się — i znowu samymi ustami. Piekły go oczy, coś pod powiekami szczypało, jakby jątrzyła się paskudna rana. Czuł się nędznie, ale nie okazywał tego po sobie.

Billy zachowywał się tak, jakby to wszystko nie obchodziło go nic a nic. Patrzył tylko. To spojrzenie. Czyżby oznaczało wyrzut? Oczywiście. Oczywiście. Boże wielki, przecież ja również wydałem rozkaz... — przemknęło przez głowę Kronenberga.

W słuchawce rozległ się głos:

— Słucham?

Brzmiał szorstko, oficjalnie. Można się było tego spodziewać. Funkcjonariusze CIA mogą sobie pozwalać na takie tony. I to nie tylko w filmach o Jamesie Bondzie. A Watergate należało już do przeszłości. Do bardzo odległej przeszłości.

— On jest teraz u mnie, sir.

— Tak właśnie planowaliśmy, panie Kronenberg, pamięta pan?

Skinął głową niemal niedostrzegalnie. Powiedział:

— W takim razie proponowałbym zacząć.

Potem spojrzął na Billy'ego i znów rzucił w mikrofon:

— Dobrze. Będę informować pana na bieżąco.

Billy nie odrywał wzroku od blatu stołu. Kronenberg wolnym ruchem odłożył słuchawkę, wziął do ręki pomarańczę, skrył ją w obu dłoniach. Bez ogródek przeszedł nagle do sprawy.

— Chyba zdajesz sobie sprawę, że to was czyni się odpowiedzialnymi za tę katastrofę, niezależnie od tego, czy był to tylko wypadek, czy też i sabotaż...

Wydawało się, że istotna jest dla niego obecnie wyłącznie ta pomarańcza; obracał ją bez przerwy w dłoniach, delektując się dotykiem gładkiej, elastycznej skórki. A jednak jego uwagi nie uszedł żaden ruch, żadna reakcja Billy'ego. Billy milczał, wpatrując się w jakiś punkt pokoju: to w wentylator, to w wędnący kwiatek na oknie, w byle co. Zaciśnął usta, jak gdyby w ten sposób mógł sprawić, że nie odezwie się ani słowem. Słuchał jednak uważnie.

— Poza tym — kontynuował Kronenberg, odwrócony plecami do Billy'ego — poza tym jesteście podejrzani o szpiegostwo. Trudno będzie zaprzeczyć pewnym faktom. Robiliście zdjęcia... W waszych rzeczach znaleziono film. Kto fotografował? — podniósł nieznacznie głos, zaczynał zdradzać swoje uczucia. Upartym milczeniem Billy wyprowadzał go z równowagi. Była to zabawa w kotka i myszkę. Kto zachowa zimną krew?

Ciekawe, czy wstał już świt? Nie wyglądało jeszcze na to. Może dzień w ogóle nie chciał dziś nadejść? To by było zrozumiałe.

— I dlaczego... Dlaczego ten film znalazł się akurat w posiadaniu Ewy? — Kronenberg odwrócił się powoli.

Maska obojętności nałożona przez Billy'ego pękła. Podniósł wzrok. Jego ciemne oczy wyrażały jedynie wyrzut i pogardę.

— A dlaczego akurat ty prowadzisz dochodzenie?

— Jeżeli myślisz, że sprawia mi to przyjemność, mylisz się. — Całe opanowanie diabli wzięli. Cholera, ten Billy wyprowadza cię z równowagi...

— Dlaczego więc tym się zajmujesz?

Oto szansa dla niego, szansa, której nie wolno zaprzepaścić.

— Bo chcę ci pomóc.

Billy parsknął pogardliwie i odwrócił wzrok.

— Billy... Co wiedziałeś o tej całej sprawie? — ponownie wstał, podszedł do Hayesa zdecydowany mieć to już za sobą. Dłonią, w której nadal trzymał pomarańczę, dotknął ramienia Billy'ego, nachylił się — poufale, stanowczo.

— Potrafię przecież cię zrozumieć, Billy...

— Jesteś tego pewien?

— Wpakowałeś się w to wszystko i chcesz teraz odgrywać bohatera. Ale w ten sposób możesz sobie zaszkodzić jeszcze bardziej.

To mu się udało. Raptem wszystko stało się proste. Jeżeli wierzy się w to, co się mówi, wszystko staje się niesamowicie proste. A Billy? Czyżby udawał coś przed nim? A może on też odgrywa tylko swoją rolę? Co za bzdura skarcił siebie w myślach. — Billy jest o tyle w lepszej sytuacji, że nie musi troszczyć się o swoje nieczyste sumienie. Nie zapominaj o tym,

Kronenberg! Nigdy o tym nie zapominaj! Billy nie musi grać roli. Może pozwolić sobie na to, aby przedstawić wszystko tak, jak było.

Wzdrygnął się, kiedy Billy pograżony jeszcze w najnowszych wspomnieniach powiedział bezbarwnym głosem:

— Ściągnęli mnie z promu, jak gdybym był jakimś cholernym... zawahał się — jakimś cholernym zbrodniarzem.

Kronenberg był teraz niemal pewien: wszystko funkcjonuje wspaniale. Pancierz pękł. A więc masz go, Kronenberg! Cieszysz się? Ty niedoszły romantyku! Biedny szaleńcze, który chcesz tylko tego co dobre, a mimo to bierzesz udział w tej cholernej grze! Cieszysz się?

Tamten nastrój ogarniał go znowu, żadna bariera, żaden mur nie były w stanie powstrzymać tego na dłuższą metę.

— Billy! — powiedział z naciskiem. — Sądzę, że znamy się wystarczająco długo. Powinieneś mi więc zaufać.

Cisza. Bannister obserwował ich ze swojego biura.

Billy wstał i przeszedł obok niego.

— Billy, swoim milczeniem pogarszasz sytuację. Masz szansę wygrzebać się z tej sprawy... — następna przynęta.

Nie. Nie przynęta. To prawda, tylko prawda. Tym razem uwierzył w to.

— Aha, teraz rozumiem. Potrzebne wam moje przyznanie się do winy, żebyście mogli elegancko wyplątać się ze wszystkiego — Billy potrząsnął głową. — Ale tego ode mnie nie dostaniesz. Wydaje mi się, że ułatwiacie sobie sprawę. A ja jestem to winien Maksowi...

— Jak mam to rozumieć? — ponownie wzrosło w nim napięcie.

— Jak? A czy myślisz, że Maks by to zrobił, gdyby wiedział, że potem wszystko zostanie zatuszowane? — sprężył się, a Kronenberg poczuł emanujące z niego zdecydowanie i energię.

— Nikt nie chce niczego zatuszować — starał się, by jego głos brzmiał beznamytnie.

Billy odprężył się. Znowu zaczął krążyć niespokojnie od ściany do ściany. Wreszcie zatrzymał się obok mapy świata i powiedział:

— My wszyscy mamy tu po kawałku winy: ty, ja, inni. I nawet Maks.

To brzmiało już bardziej ugodowo. Billy zaczął analizować całą sytuację. Zadręczał się przy tym i Kronenberg odczuł potrzebę, aby podejść do niego, objąć go ramieniem... i pocieszyć. Tak, naprawdę pocieszyć. Uczucia, uczucia!

— Częściowo było to zrządenie losu — mówił dalej Billy cicho, niemal łagodnie. — A skutki... Trudno je było przewidzieć, to było niemożliwe... Tam... Na Florydzie Arklab.

— Billy! — Feliks Kronenberg starał się, aby jego głos zabrzmiał rzeczowo, aby nie było w nim słyhać drzenia. — Floryda Arklab już nie istnieje. To właśnie jest nasz problem...

Mówiąc to znowu ujrzał w wyobraźni stację, zbudowaną jakby miała przetrwać wieki, sunącą majestatycznie przez mroczną samotność kosmosu... Olbrzymia, prostokątna konstrukcja ramowa, podtrzymująca resztę; płaszczyzny nośne, owalne pomieszczenia mieszkalne i robocze obu sektorów, szyby próżniowe, windy...

Widziana z wahadłowca Floryda Arklab prezentowała się niczym sztuczny kwiat z metalu przyklejony do wszechświata; potężny, piękny i... odpychający. Obcy, a zarazem swojski. Wspaniały superobraz futurystyczny. Pierwszy krok w przestrzeń, a może trochę więcej... Zimny blask odległych gwiazd... Stacja w mroku.

A teraz była tylko wspomnieniem. Posępnym, niewygodnym wspomnieniem, ponownie ożywionym przez Billy'ego, który nieoczekiwanie zaczął mówić. Półgłosem, jakby do siebie samego...

Stacja powstała w wyniku wspólnych prac amerykańskich i europejskich władz kosmonautycznych.

Zbudowana w celu przeprowadzenia badań nad systemami życia w kosmosie, obserwacji zjawisk atmosferycznych oraz prób regulacji klimatu w ramach programu badań CORA.

Czas przebywania załogi: 110 dni.

Lampki mżące purpurą zapłonęły jasną, pulsującą czerwienią, ożyły świetliste żółte punkty, kolumny zielonych liter i liczb przemykały po ekranie w szalonym tempie, rozległ się rytmiczny stukot, a w Centrum Kontroli — pomruk urządzeń elektronicznych. Komputer pokładowy — HARVEY — podkreślił z naciskiem swoje roszczenia przywódcze, wyrzucając z siebie program dzienny. Zwykły dzień w kosmosie. I znowu te rutynowe czynności.

Przynajmniej dla Maksa pomyślał Billy Hayes ze złośliwą uciechą. Pocziwy HARVEY! Dla Billy'ego przygotował na szczęście:

PLAN DZIENNY. HAYES OSOBIŚCIE:

— SPRAWDZIĆ REAKTOR —

— NAPRAWIĆ SYSTEM B —

Oczywiście zdziwił się wtedy i właściwie zdziwił się w dalszym ciągu, odczytując po raz n-ty skrawek papieru. Osobiście? Wszystko było niby w porządku, tylko... rozkazy kierowane osobiście nie zdarzały się do tej pory. Naprawić system B, to przecież... Do diabła, po cóż ta cała zabawa w tajemnicę?

Rozejrzał się szybko. Maks krzątał się jeszcze w stacji botanicznej. Jakby pod wpływem nagłego impulsu ryknął:

— Hej, Billy, co tam znowu?

— Muszę założyć przewód.

— Kto tak polecił? Feliks?

— Nie, o ile wiem, Amerykanie.

— No, to przyjemnej zabawy...

— Tego mi nie zabraknie, Maks... W przeciwieństwie do ciebie. Nie wyżywaj się na Frankieboyu...

Maks zaklął paskudnie:

— A ty... nie gadaj tam na dole za dużo z duchami.

Zawsze do niego musiało należeć ostatnie słowo. A niech tam! W końcu to on był kierownikiem naukowym stacji. Billy Hayes wszedł do windy, drzwi zasunęły się za nim, a on utkwiał wzrok we framudze wyłożonej gąbką.

Maks, teraz jesteś sam! — pomyślał. I tak, ogarnął cię ten zły nastrój. Ludzie, którzy odpracowują tu na górze swój czas, odczuwają przeważnie tęsknotę za dobrą, starą matką Ziemią. A ty? Trzymasz się tu kurczowo. Nawet Ewa nie jest w stanie cię przyciągnąć... Maks Marek — meteorolog. A ja? Krążę tu na dole z tajną misją. A raczej na górze. Zresztą wszystko jedno. Chwilowo lepiej jest: na dole.

Kabina windy biała, Ciasna, wypełniona zimnym blaskiem świetlówek wiozła go na dół, a Billy wykorzystywał czas, aby sprawdzić systemy zachowawcze zainstalowane w skafandrze. Wszystkie działały bez zarzutu. Cudownie. Postukał w wybrzuszenie hełmu. Jak na łonie Abrahama. Tylko nie tak wygodnie.

Winda bez pośpiechu zjeżdżała coraz niżej. Billy wpatrywał się w ścianę oddychając regularnie: wdech, wydech; wdech, wydech. W miarę zbliżania się do centrum stacji słabła siła ciężenia. Billy poczuł znane mu już uczucie rwania w żołądku i pogratulował sobie w duchu, że dostosował dziś śniadanie do wymogów regulaminu: tylko jogurt i kromka chrupkiego pieczywa.

Kabina dotarła do celu i z lekkim szarpnięciem stanęła. Drzwi rozsunęły się bezszelestnie. Na zewnątrz zapaliło się światło. Billy chwycił masywną skrzynkę z narzędziami uno-

szącą się obok niego i wyszedł z windy. Początkowo sunął korytarzem po gumowej wykładzinie, następnie wąską drabinką dostał się do bocznego szybu prowadzącego do centrum. Pięknie! Maks, ten wrażliwy Maks, pracuje dla RTC jako meteorolog, podczas gdy on włóczy się po szymbach, kierując się w stronę reaktora, serca stacji. Oto jestem, przygodo!

Wcisnął taster, odczekał, aż ustanie niezdecydowane migotanie, a światło zaleje również korytarz boczny. Nie od razu usłyszał w hełmofonie głos, zagłuszany przez jego miarowy, głęboki oddech.

— Baza programowa CORA, strefa kontrolna Delta, teren Floryda Arklab... Apel i program na dzień dziesiąty listopada...

To chyba na tym polega ten system — pomyślał Billy — że mogą mówić tylko ze mną. A więc zabawa w sekret trwa... Mimo wszystko był w dobrym nastroju; może dlatego, że dzięki spacerowi do szybu udało mu się tym razem uniknąć monotonnej służby na pokładzie stacji.

Głos rozległ się ponownie.

— Kapitanie Hayes, proszę się zgłosić... Kapitanie Hayes, proszę się zgłosić... Kapitanie Hayes, czy pan mnie słyszy?

— Tak, baza programowa. Jestem w drodze do sektora B.

— O.K. Obserwujemy pana na ekranie.

— Zwięźle i precyzyjnie, jak zwykle — mruknął Billy posuwając się dalej. Mógł sobie wyobrazić to, co w tej samej sekundzie odbywało się na Ziemi: modele komputerowe stacji ukazały się na monitorach bazy programowej, widoczny był wyraźnie każdy jego ruch... Była to zasługa wszytkowidzących kamer, zainstalowanych na pokładzie. Znajdowały się co krok (Wielki Brat nie spuszcza cię z oczu...). Automatyczne kamery poruszały się upiornie, kierując na niego swe obiektywy.

— Jestem teraz w sektorze nieważkości — poinformował, chociaż było to zbyteczne. — Zgłoszę się znowu, kiedy dojdę do reaktora. Odbiór.

— O.K. Zrozumiałem. Bez odbioru.

I już płynął dalej poziomymi korytarzami, z rozrzuconymi rękami i nogami drobny, pomarańczowy mikrob w cielsku stalowego, potężnego potwora... Otoczony ścianami zdających przysuwać się nieubłaganie do siebie. Przykre uczucie klaustrofobii opanowało go przez moment, potem znikło. Zdołał się już z tym uporać. Jeszcze na Ziemi, w symulatorze, nauczył się je zwalczać.

Przy rozwidleniu zmienił kierunek, obierając korytarz prowadzący w inną stronę. Tu, na dole, czuł się jak u siebie w domu. Żadnych gwałtownych ruchów... Ostrożnie... Wprawdzie, zgodnie instrukcją, nie powinno tu być żadnych ostrych kantów, ale przecież kombinezony nie są niezniszczalnymi powłokami ze smoczjej skóry...

Stale posuwał się naprzód, skrzynka z narzędziami płynęła za nim na cienkiej linie. Spieszył się. Po wykonaniu oficjalnego zadania zamierzał udać się jeszcze na prywatny spacer. W krainę duchów...

Z Centrum nadawano wiadomości. Były złe jak zwykle. A kiedy ostatnio wiadomości były dobre? — zastanawiał się Maks ze smutkiem, który pogłębiał się już od kilku dni. Wiedział, co to oznacza: strach przed tym, co się może stać. W bazie programowej nie rozstrzygnięto jeszcze sprawy zmiany załogi. Co się stanie, kiedy przybędzie zmiennik? Jeszcze trochę i... minie. Tamci wcale nie spieszą się z podjęciem decyzji. A w końcu to wszystko jest właściwie moim projektem — pomyślał. — Dziełem mojego życia. Badania klimatyczne... Eksperymenty...

Może powinien w końcu porozmawiać z Billym. O wszystkim co jego, Maksa, intryguje i dręczy. Billy to porządny facet, właściwie idealny partner. Kompensował jego złe nastroje. Wystarczyło, że wyskoczył z jakimś kawałem i życie nabierało od razu weselszych barw.

Mimo że zwykle kawał był dość głupi: „Jak nazywa się nierządnicą w Arktyce? No? Oczywiście: mróztytutka!”

Kaseta video z programem „Arklab” była przygotowana do nadania po wiadomościach. Komputer pokładowy działał pomrukując, sine oświetlenie wdzierało się do centrum, nie rozpraszało jednak panującego tu łagodnego półmroku.

Ekran migotał. Spiker na lewym ekranie czytający wiadomości przybrał swoją zwykłą minę, mającą oznaczać: „To nie moja wina. Czasy, w których żyjemy, są złe, musimy się z tym po prostu pogodzić.”

Jego głos brzmiał rzeczowo, cholernie rzeczowo. Maks Marek nastawił taśmę, ustawił kod, ale myślami był już daleko od rutynowych czynności. Coraz dalej i dalej...

Kiedy okrążyła się Ziemię dzień po dniu, kiedy patrzy się na tę błękitną kulę, unoszącą się w przestrzeni... Tak drobną, kruchą, delikatną... Wtedy trudno zrozumieć, że te ludzkie mrówki w dole nie potrafią uporać się z rozwiązaniem swoich cholernych problemów. Problemów, które widziane z góry, na przykład z Florydy Arklab są tak nieistotne. W każdym razie nie są nierozwiązywalne.

Zaczął zastanawiać się, jak długo jeszcze można wierzyć w Boga, w dobroć człowieka i... w przedstawicieli narodu, wybranych przez ogół. Czy oni nie musieliby martwić się o swój zawód, gdyby wszystkie problemy zostały rozwiązane? Czy to by nie oznaczało...?

... jak podają korespondenci oraz wywiad izraelski, w Arabii Saudyjskiej miał miejsce pucz wojskowy — czytał spiker telewizyjny. — Ibn Sadet, kapitan lotnictwa Arabii Saudyjskiej, osadził wczoraj w areszcie na lotnisku Tabul, w pobliżu granicy egipskiej, komendanta Sił Powietrznych Arabii Saudyjskiej, Ali Hammeta, oraz jedenastu oficerów sztabowych...

Maks machinalnie wciskał guziki. Barwne światełka komputera migały mu przed oczami, jakby za chwilę miały przekształcić się w gwiazdy. Nie dostrzegał tego. Świetlne refleksy przemykały po jego pociągłej twarzy, uwydatniały zmarszczki.

... i, jak dowiedziałem się przed chwilą, nawiązaliśmy bezpośrednie połączenie z naszym korespondentem w Riadzie...

Maks pracował dalej, przysłuchując się coraz uważniej.

— Już teraz nie ulega wątpliwości, że sprawcy puczu cieszą się poparciem większości wojskowych z Arabii Saudyjskiej...

Wojskowi!

— Resztki oddziałów wiernych królowi...

Nieoczekiwanie rozległ się głos:

— Tu stanowisko reżysera z RTC...

... bronią jeszcze stolicy, o którą rozgorzała zaciepła bitwa, natomiast na lotnisku w Riadzie zgromadzili się liczni obywatele amerykańscy, oczekujący na ewakuację...

— Obywatele amerykańscy? — wzdrygnął się Maks. — To nie spodoba się prezydentowi. Sytuacja na dole zaostrza się coraz bardziej. Złoża ropy naftowej, Rosjanie...

Ponownie rozległ się głos ze stanowiska reżysera, przerywając tok jego rozmyślań.

— Panie Marek, proszę włączyć taśmę. Wkrótce będzie pan na wizji.

— Zrozumiałem — potwierdził po krótkiej chwili milczenia. — Zaraz będę gotów. Czekam na sygnał.

Spojrzał znowu na ekran.

— I tyle od naszego korespondenta z Riadu — spikerowi udało się do tej pory zachować kamienną obojętność. — A teraz czas na prognozę pogody.

Cudownie, wprost wspaniale — pomyślał Maks. — Jak to pasuje jedno do drugiego.

Wiedział, że jest niesprawiedliwy. Czy spiker miał odczytać wiadomości płacząc żalobnie?

— 10...9...8...7...6...5...4...3...2... 1... teraz!

Zabrzmiała melodia sygnał dziennika telewizyjnego stacji RTC.

Nadeszła kolej na niego. Przycisnął guzik, taśma zaczęła się przesuwając. Jego głos był rzeczowy i tak samo beznamiętny jak głos spikera telewizyjnego:

— Mówi Maks Marek z Florydy Arklab. Z północnego zachodu przemieszczają się nad obszar środkowej Europy chmury. Południe Europy i Alpy pozostaną chwilowo wolne od zachmurzenia, ale już w najbliższych dniach niż atmosferyczny spowoduje zmianę pogody... — Zdjęcia satelitarne ukazały ruchy chmur. — Ten właśnie niż, zbliżający się od zachodu, wywrze decydujący i wpływ na sytuację atmosferyczną w całej środkowej Europie...

Maks obserwował swoją twarz na ekranie. Oczy... Twarda linia warg... Zestarzał się. Włosy? Jeszcze się nie uczesał.

— ... masy ciepłego, wilgotnego powietrza doprowadzą do nieznacznego wzrostu temperatury — wyjaśniał jego bliźniak na ekranie, uśmiechając się lekko. — Należy liczyć się z możliwością wystąpienia pojedynczych burz...

I to właśnie tobie nie podobał się spiker telewizyjny! Maks potrząsnął głową i znów zapatrzył się — poprzez stalowe ściany, rurki, nośniki i monstrualne podpory konstrukcyjne — w ciemność. Boże, jakże będzie mu tego brakowało, kiedy znajdzie się już na Ziemi!

Księżyc wisiał na niebie jak sierp, błyszczały gwiazdy. Ziemię otulał kilkuwarstwowy płaszcz atmosfery. Jak ochrona dla licznych wielkich i drobnych konfliktów ludzkich. Jak całun dla niszczonej przyrody, brzydkich miast z betonu oraz dla wszystkich poległych w wyniku wielkich i drobnych walk.

Jego smutek i gorycz rozwiały się szybko. Zdarzało się to nie po raz pierwszy, nie zdziwił się więc zbyt. Nic nie było niezmiennie. Nie wiedział nawet, o co mu teraz chodzi. Przesyt. Nie ma dobrych wiadomości. A więc trzeba przyzwyczaić się do złych, oczywiście, o ile będzie to możliwe. Zresztą wystarczy nie przyjmować wszystkiego do wiadomości tak jest źle.

Dla niego, jak i całej rzeszy telewidzów, konflikt w Arabii Saudyjskiej był zaledwie jednym z wielu.

Nie przeczuwał nawet, że sytuacja zmieni się. Już wkrótce.

— Jeszcze raz, z większym uczuciem — mruzczał do siebie Billy Hayes. Wsunął w skupieniu, ostrożnie, moduł sterujący do uchwytu i zakotwiczył go za pomocą przycisku. Kasetę drgnęła i przesunęła się jak bębenek staroświeckiego rewolweru.

Mięśnie Billy'ego napięły się, kiedy wykonał zbyt pospieszny ruch; jego ciało, unoszące się nad modułami, popłynęło jeszcze wyżej.

Baza Programowa na Ziemi potwierdziła przez radio:

— Segment 3 reaktora aktywny... Hayes, teraz moduł sterujący!

— Właśnie to robię — zaczynał się pocić. Włączył urządzenie klimatyzacyjne skafandra i odetchnął z ulgą, kiedy poczuł na rozpalonej twarzy rześki powiew bezwonnego powietrza.

Oko kamery, informującej kontrolę naziemną o każdym jego ruchu, zdawało się mrugać do niego: „Dobra robota, Billy!”

Piąty moduł sterujący unosił się tuż przed jego hełmem, jakby podtrzymywany przez niewidzialne dłonie.

Ostrożnie wsunął 4 moduł; zdążył już nabrać wprawy. Praca szła mu coraz lepiej.

— 4 moduł sterujący założony.

Baza Programowa potwierdziła ten fakt.

— Segment 4 reaktora aktywny. O.K. Teraz jeszcze tylko moduł sterujący 5...

Cała operacja była sprawą zaledwie kilku minut, a przecież...

Billy poruszał się z niezwykłym skupieniem. Były to dokładnie skalkulowane czynności, ograniczające się do obszaru jego ramion: mięśnie barku, mięśnie rąk... Wyciągał ramiona, sięgał rękami po unoszące się przed nim kasety. Reszta jego ciała przestała istnieć, rozply-

nęła się w morzu szarej waty — rozproszonego światła, w czymś pulsującym, co zdawało się należeć do kosmosu. Nieomal czuł dotyk wieczności. Przez trzy, cztery sekundy odnosił wrażenie, że nigdy już nie powróci do swej dawnej postaci. Tej materialnej. Był jedynie duszą. Dusza miała ręce, które teraz ujęły kasetę czując nie tylko jej chłodną, gładką powierzchnię, ale również strumień impulsów przyczajonych w najmroczniejszych zakamarkach kasety. Czekały na to, by — uwolnione — popłynąć wreszcie przez nie kończące się przewody w spragnionych pracy, jałowych obszarach sektora B. Sektor amerykański ożywiłby się wtedy łagodną, błękitną, przesyconą powietrzem jasnością. Jak Feniks.

Moduł znalazł się na swoim miejscu. Dotknięcie dłonią. Wskaźnik świetlny instrumentów pomiarowych na lewym przegubie: kolor zielony. Radioaktywność: zerowa. Kontakt. Bębenek obrócił się ociężale, jakby z wahaniem, po czym zaskoczył z trzaskiem. Billy mimo woli wstrzymywał oddech. Teraz wypuścił powietrze, leciutko sycząc przez zęby.

— Baza programowa mruknął. — Wszystko w porządku. Moduł sterujący 5 na miejscu.

— Segment 5 reaktora aktywny.

Pokrywa automatycznie przykryła bębenek reaktora, zamykając w sobie matowe światło. Zapanowała ciemność.

— Reaktor gotowy.

Ogarniające Billy'ego uczucie zimna zintensyfikowało się, fale chłodu zalewały jego kręgosłup jak kleista, wilgotna mgła.

Zirytowany próbował się opanować. Co jest do licha? Przecież wszystko się udało. Powinieneś być zadowolony! Dlaczego się nie cieszysz? Zrobiłeś to wspaniale, chłopcze!

Szybkie spojrzenie na wskaźniki: wartości optymalne. Przepływ energii bez zarzutu.

Dlaczego się nie cieszysz, do diabła?! Wracając do windy walczył z dziwnym uczuciem. Jeżeli miał być wobec siebie samego szczerzy, musiał przyznać, że od samego rana dręczyło go pytanie o sens i cel postawionego przed nim zadania. Rozkaz dzienny spowodował, że wykonał pewne czynności: zszedł na dół, uaktywnił reaktor. Tyle na temat sumienności.

Teraz jednak pojawiły się wątpliwości, jak rozedrgane pęcherzyki powietrza na powierzchni wody. Po co uruchomiono na nowo system B? Dlaczego uczyniono to zaledwie kilka dni przed jego i Maksa powrotem na Ziemię? Czy w przyszłości miały tu znowu pracować dwa zespoły? Europejczycy w jednym sektorze, a Amerykanie w drugim? Pięknie, czemu nie. Ale ta cała maskarada... Po co? Po co?

Dlaczego akurat Maks nie mógł się o tym dowiedzieć? Przecież do tej pory to on odpowiadał na pokładzie za realizację programu CORA. On kierował napromieniowaniami przez ostatnie miesiące. Eksperymenty meteorologiczne były zawsze oczkiem w głowie Maksa, dziełem jego życia. A teraz nagle ta cholerna maskarada.

Może Maks przeczuwał coś? Czyżby dlatego był tak... załamany? A może nie ufali mu, bo wykazywał oznaki depresji? Co było najpierw: jajo czy kura? Cholera! Cała masa pytań, które wpływały od rana na jego nastrój.

Druga część tajnego rozkazu skierowanego osobiście do niego polecała mu podłączenie sektora amerykańskiego bezpośrednio po wprowadzeniu modułów sterujących do reaktora. O.K. Rozkaz to rozkaz. I oto zjeżdżał w ciasnej, oświetlonej kabinie windy jeszcze niżej, do drugiego bieguna stacji, mając za swego towarzysza podróży czarnego współnika — uczucie niesmaku.

W sektorze B powitała go absolutna ciemność. Rotacja bazy wokół osi centralnej sprawiła, że ciężenie było tu zbliżone do ziemskiego. Woda kapiała z niskiego sufitu. System chłodzenia nie został po wypadku naprawiony. Miała się tym zająć załoga, która ich zmieni. Krople wody padały na hełm Billy'ego, rozpryskując się na miriady błyszczących okrucich. Srebrzyste strumyki spływały po wizjerze hełmu. Światło lampy przesuwano się po podłodze. Ze sklepionego sufitu zwisały skłębione przewody, kołysząc się lekko przy dotknięciu. Jego

buty magnetyczne wzmaczały siłę odśrodkową, przytwierdzając go do podłogi. Poruszał się powoli, cały spięty. Jak zwykle wtedy, gdy przebywał w tej części stacji. Zatrzymał się; skrzynka z narzędziami stanowiła teraz odczuwalny ciężar.

W tym momencie zauważył fioletowe światło migoczące miarowo. Za nim, nad otwartymi drzwiami kabiny, sygnał alarmowy w regularnych odstępach słał w ciemność i milczenie pulsujący snop promieni. Upiorne przypomnienie aby zachować ostrożność i nie bezczęścić tego miejsca.

Wzruszył ramionami i poszedł dalej, przez wąskie korytarze boczne, do części kontrolnej sektora amerykańskiego. Centrum było podobne do analogicznego pomieszczenia w sektorze europejskim jak jedno jajko do drugiego: nie za duże, nie za małe, idealne dla załogi dwuosobowej, umożliwiające jej nawet swobodę ruchów. Z tyłu znajdowała się stacja botaniczna, a po prawej stronie — meteorologiczna. Studio telewizyjne, gdzie nagrywano i odtwarzano kasety video, mieściło się niżej, tuż obok pomieszczeń mieszkalnych.

Błaty robocze nakryte były cienkimi, białymi serwetkami, na każdą z nich naszyto w rogu gwiazdzistą flagę USA.

Jedyną istotną różnicą był, według niego, panujący tu nastrój: powiew wiecznego opuszczenia, trwogi, tęsknoty i smutku. Odpędził od siebie te myśli. Budziły w nim strach.

Zatrzymał się obok bliźniaka HARVEYA, zakręcił wokół własnej osi i oświetlił centralę; snop światła przesunął się po komputerze, całym rzędzie ekranów, klawiaturze, dwóch fotelach... Na tylnej ścianie straszyla swymi rozmiarami nieregularna dziura; otwór, z którego sterczały jakieś dziwaczne przewody.

Westchnął, wsłuchując się z ulgą we własny oddech i wreszcie wziął się do pracy. Otworzył skrzynkę z narzędziami, wyjął te, które były mu potrzebne. Uchwyt magnetyczny przytrzymał je na ścianie.

Cisza napawała trwogą, nabrzmiewała, zaczynała ciążyć. Jego własny oddech wydał mu się nagle dziwny, spazmatyczny, nerwowy, serce waliło jak pięść łomocąca niecierpliwie w drzwi. A przecież nie był tu po raz pierwszy. Harował tak od tygodni. Sektor amerykański spalił się po awarii systemu chłodniczego, a naprawy, jakie przeprowadzał pod czujnym okiem swoich amerykańskich przyjaciół z bazy programowej na Ziemi, kosztowały go moc czasu, sił i nerwów. Zdarzały się dni, kiedy zazdrościł Maksowi, że ma do czynienia jedynie z pogodą, obliczeniami, obserwacjami... Wyłącznie praca umysłowa. No tak, jeszcze to prognozowanie pogody dla RTC. I stacja botaniczna.

Właściwie w tych pomieszczeniach nigdy nie czuł się nieswojo albo wręcz źle. Wprost przeciwnie. Zawsze przychodził tu chętnie.

Wiedział, że tam w kierownictwie programowym czekają na jego meldunek. Porządek przede wszystkim. Było mu to na rękę; w ten sposób będzie musiał zacząć myśleć o czym innym.

Co się ze mną dzieje? Postępująca melancholia!

O Boże! Maks, zaraziłeś mnie! Ale nie była to wina Maksa. To była...

— Z kierownictwem programowym — rzucił.

— Tu kierownictwo programowe.

Czekali na jego meldunki jak na zbawienie.

— Podłączę teraz sektor amerykański do reaktora i do ogólnego systemu pokładowego.

— O.K.

W blasku lampy pracował sprawnie, rutynowo. Jego cień majaczył na metalowych ścianach: masywny, dziwaczny. Ekrany błyszczały posępną szarzyzną. Sprawdzian napięcia. Wartości promieniowania. Zakodował wyniki. Zamigotały światelka. Kabel nie był zniszczony, dzięki temu Billy uniknął zakładania nowego, czynności bardzo czasochłonnej. Dzięki Bogu! Podłączył kabel. Nieczynny system chłodniczy stanowił problem, jakiego nie należało lekceważyć. Czas płynął. Sekundy rozrastały się w minuty, minuty, minuty... Pracował w skupie-

niu, uważnie i jakby w transie. Nie czuł ani głodu, ani pragnienia, ani zmęczenia. Chciał to wreszcie mieć za sobą.

Kod kontrolny. Komputer potwierdził. Na małym ekranie pojawiły się wartości wzorcowe. Żadnych istotnych odstępstw — ani w jedną, ani w drugą stronę. Sprawdził wszystko ponownie, potem po raz trzeci. Dopiero wtedy wstał, zgasił lampę. Czerń. Bicie własnego serca dudniło mu w uszach. Jego oddech... wdech, wydech; wdech, wydech.

Wpatrywał się w mały, czworokątny klawisz... zdecydowanym ruchem wcisnął go. Rozmigotana jasność. Feniks odrodził się z popiołów.

Światelka migotały: czerwone, zielone, żółte — i znowu: żółte, zielone, czerwone. Gotowość. Poczucie władzy. Feniks był drapieżnikiem. A teraz był gotów do ataku. Dręczył go głód, szykował się do skoku.

Billy odetchnął głęboko i rozejrzał się dokoła zadowolony z siebie. Jak smutne były szare metalowe ściany — i jakie piękne w tej chwili! Na podłodze leżał bukiet kwiatów z polietylenu. Ludzkie ślady w technokratycznym światku? Nie. Raczej sentymentalne pozdrowienie dawnej załogi dla następców.

Ten pożar wtedy. Nagły wybuch. Strzępy rozmów radiowych... Ewakuować... ewakuować! Tamtym zostało jedynie kilka minut. Zawiódł system chłodniczy. Zawinił system chłodniczy.

Kierownictwo programowe zaczęło raptem ponaglać, w hełmofonie rozległy się trzaski, potem głos:

— Przygotować się do testu promieniowania...

Ton był władczy, wykluczał wszelki sprzeciw. Billy'ego to nie zaskoczyło. W pewnym sensie liczył się z takim poleceniem — była to logiczna konsekwencja rozkazu dziennego. Tamtym chodziło o definitywną pewność: „Tak albo nie.” Promienniki miały podstawowe znaczenie dla programu ogólnego.

Podszedł do komputera. Jednym szarpnięciem zdjął białą pokrywę z gwiazdzistą flagą i rzucił ją niedbale na podłogę.

— Włączam sterowanie automatyczne — poinformował kierownictwo programowe na Ziemi.

Nie było odbioru.

Klawisz WEJŚCIE. Jasne, prowokujące migotanie. Ale to nie było potrzebne. Program był podany.

Gdzieś był KONTAKT. Rozległ się pomruk, raczej wyczuwalny niż słyszalny w tej próżni. Ekran komputera zajaśniały, pojawiły się kolumny liczb, zamigotały zielenią od góry do dołu, przekształciły się w płynne linie, po czym ustabilizowały się. Podwójne rzędy:

02 04 05 06 07 08 09

10 11 12 13 14 15 16

17 18 19 20 21 22 23

I kolumny liter. Klucz.

B5 E0 R9 Z8 060 P9 KI

A potem już bardzo szybko:

G2 V4 E2 X7 V8 U9 N9

B6 W1 Q5 Q7 Q1 C1 B5

HB R2 Q5 P7 W8 C8 XB

— Odliczanie w toku... 5... 4... 3... 2... 1...

Na centralnym ekranie, przy którym stał Billy, pojawił się czerwony napis. Tylko jedno słowo:

START

Półmrok panujący w sektorze amerykańskim przeszyla krwistoczerwona poświata, pomykały fioletowe cienie. Nawet przez skafander czuło się dotkliwie chłód pomieszczenia

próżniowego. Przenikający przez pory skóry, wdzierający się w krwioobieg. Drobne kryształki lodu wirowały w nim... coraz szybciej... i szybciej... Wszędzie zimno!

Czerwony napis zgasł. Czerwone rzędy liczb przelatowały w dolnym paśmie ekranu od prawej do lewej strony. Szybciej niż mogło je ogarnąć ludzkie oko. Zaczęło działać sterowanie automatyczne. Zajaśniał drugi i trzeci ekran.

— Wszystko przebiega planowo — rozległ się komentarz kierownictwa programowego. Byli zadowoleni z wyniku.

Trzask. Cisza. Następnie, po dłuższej chwili:

— Drugi kompleks promienników... Odliczanie w toku... 5... 4... 3... 2... 1...

Drugą parę promienników zaktywizowano. Wszystko funkcjonowało zgodnie z planem. Billy wpatrywał się jak urzeczony w ekrany... Jeszcze chwila...

Kontakt. Zapłon. Mierzone wartości. Intensywność promieniowania. Billy nie odczytywał wskaźników. Pełna moc — teraz! Promienniki były włączone. On natomiast miał wyrzuty sumienia. Maks — myślał — Maks, do diabła...

Odnosił wrażenie, jak gdyby przed chwilą zdradził go i w dodatku pomógł ukrzyżować. Potem odseparował się od teraźniejszości, przywołując na pomoc duchy — jak już nieraz przedtem. Często po przeprowadzonych naprawach w amerykańskim sektorze Florydy Arklab schodził na dół, do okopconych ruin — kwater dawnej załogi. Tam wtedy szalał pożar.

Drabinka pokryta była oleistą, tłustą warstwą — sadzą. Ostrożnie zszedł niżej.

Duża twarz kobiety spoglądała na niego. Ona ocalała. Nazwał tę blondynkę z plakatu Chris, po swojej przyjaciółce... Eks-przyjaciółce.

Chris, ile to już czasu! — pomyślał i uśmiechnął się niewyraźnie. Właściwie przypominał mu o niej tylko ten plakat... Ale Chris miała takie same oczy, tak samo złociste i głębokie. I tak samo miłe. A jej śmiech... A długie włosy okalające twarz jak jedwabny welon. Albo raczej jak lwia grzywa. Tak, lwia grzywa brzmi lepiej.

Posłał dziewczynie uśmiech i skierował światło lampy w lewo, na porysowaną, podziurawioną ścianę ze stali i plastyku... Podłoga nie była zniszczona, przynajmniej w tym pomieszczeniu. W innych miejscach stalowe podłogę ziało dużymi dziurami. Rumowisko. Jak okiem sięgnąć, wszędzie rzucało się w oczy rumowisko. To wyższe, to znów niższe, zadziwiająco regularnie i jednocześnie dziwacznie uformowane. Billy poruszał się ostrożnie; jeden nieuważny krok mógł oznaczać śmierć.

Wydawało się, że tu na dole nie istnieje czas. Wszystko zamarzło... zastygło... umarło. Zostało zachowane dla wieczności. Lubił tu przebywać. Ta cisza... Przynosiła ulgę, działała kojąco jak cudowny balsam. Uczucie niepokoju przepełniające go na górze, w Centrum Kontroli i przy pobudzonych na nowo do życia przyrządach, zanikło teraz.

To było jego królestwo. Świat, który dzielił wyłącznie z duchami. Oczywiście nie z prawdziwymi duchami, nie. Nie było z nim jeszcze aż tak źle. Miał na myśli duchy przeszłości. Szedł ostrożnie dalej, mijał obalone stropy, szerokie dziury w podłodze. Skręcił w wąski korytarz, rozglądając się za jakimś ciekawym znaleziskiem. Tamta załoga uciekła w szalonym pośpiechu, ewakuując stację. Niejednokrotnie już znajdował coś interesującego. Ot, rupiec z tych, jakie ma się zazwyczaj przy sobie.

Wszędzie panowała ciemność. Światło lampy budziło tę martwą strefę, wnosząc migotliwą, niepewną jasność. Ale tym razem Billy nie mógł dopiąć swego. Duchy nie wyszły dziś ze swych kryjówek, nie zatańczyły wokół niego w obłądnym korowodzie, nie szeptały do niego. Dziś nie opowiadały mu żadnych historyjek.

Reaktor był sprawny. System B włączony. Czarne serce sektora pulsowało, tłocząc energię przez kable arterie stalowego cielska. Migotały światelka: żółte, czerwone; żółte, czerwone; żółte, czerwone. Monotonnie. I tu wyczuwało się bezustanną gotowość.

Duchy odeszły. Nie było już dla nich miejsca. Billy westchnął. Świetlne refleksy rozrywały ciemność, przesuając się po wypukłości jego hełmu. Wydało mu się, że słyszy plusk

wody. Ale było to z pewnością złudzenie.

Starał się nie myśleć o Maksie. Odsunął od siebie myśli o reaktywowaniu. Maks nic nie wiedział, a nawet niczego nie przeczuwał. Oficjalnie program był już zamknięty. Sektor amerykański... Był znowu sprawny. O ile Billy wiedział, plany wybiegały na dwa lata w przyszłość. Dwa lata. Niezły przeskok... To musi coś znaczyć.

Przedostał się już do obszaru mieszkalnego B. Gmatwanina urządzeń, zniszczone stropy. Billy zatrzymał się. Czyżby rzeczywiście słyszał trzask walących się na niego ścian? Bzdura!

Cofnął się i wszedł do kuchni. Przynajmniej tu nie wygląda gorzej niż w naszej uśmiechnął się kpiąco. Pot zastygł, tworząc grubą warstwę soli na jego czole, policzkach, wargach i podbródku. Zaprzagnął nagle wziąć natrysk, zmyć z siebie cały ten brud.

Usiłował wyobrazić sobie chaos, jaki panował tu wtedy. Ciekawe, czy zginęli ludzie. A jeżeli tak, to ilu? Dziwne... Nie pisano i nie mówiono wtedy dużo o tym wypadku.

— Jeżeli Maks nie odoczy się swojego niechlujstwa, to u nas będzie wkrótce jeszcze większy bałagan — mruknął Billy.

Maks Marek był strasznie niechlujny. Żył tylko swoją pracą. Eksperyment dobiegał końca, ale Maks nie zmienił się przez to na lepsze. Szczerze mówiąc, Billy też bałaganiał. Ale przynajmniej sprzątał niekiedy.

Powinieneś to zobaczyć, Maks — pomyślał.

Reaktor nafaszerowany był modułami sterującymi, sektor amerykański podłączony. Mógł teraz zapalić światło, ale nie zrobił tego. Słaby promień latarki wystarczał mu. Była to jego ostatnia kryjówka. Lubił tu przebywać...

Przenikliwy sygnał wyrwał go z rozmyślań. Potem głos:

— Mówi Feliks. — I z wyrzutem: — Mógłbyś mi powiedzieć, co porabiasz tam na dole?

— Jak to? Przecież dzisiajszą porcję harówki mam już za sobą!

— O.K. Billy, masz rację. Ale to jeszcze nie znaczy, że możesz tam węszyć.

— Tu nikt nie węszy... Chciałem to tylko obejrzeć!

Kochany Kronenberg. Zawsze poprawny. Wymarzony pośrednik między Europejczykami a Amerykanami. Języczek u wagi. Cóż, w pewnym sensie jego przyjaciel. Znali się już od dawna. Nie tylko z radia.

— Nikt cię o to nie prosił, Billy! — upierał się Kronenberg. W jego głosie zabrzmiała groźba. — Nic tam po tobie. Mam nadzieję, że wyraziłem się wystarczająco jasno, co Billy? Przy okazji... Czy Maks się odezwał? — głos Feliksa zmienił się raptownie, był teraz napięty, wyczekujący.

— A dlaczego miałby się odezwać?

Znowu pojawiło się w nim to nieprzyjemne uczucie, silniejsze niż przedtem. I podejrzenie... Do głowy cisnęły się pytania jak rwący nurt wodospadu. Dlaczego? Dlaczego? Co się stało? Co przeoczył?

— Billy... — Z naciskiem: — Posłuchaj! Maks nie powinien dowiedzieć się o tym, że sektor B został podłączony. Chyba rozumiesz, co mam na myśli...?

Billy skinął posępnie głową.

— Wasz rozkaz dzienny był wystarczająco jasny. „Osobiście. Billy Hayes. Kapitan.” Człowieku, nie próbuj napuszczać nas na siebie!

— Nikt nie ma tego zamiaru. Zgodnie z poleceniem zniszczysz rozkaz dzienny, tak?

— Dlaczego Maks nie może się o tym dowiedzieć?

— Ostatnio jest za bardzo rozdrażniony. Widocznie tuż przed metą ogarnęła go panika. A może żałuje, że zdecydował się zamienić swoją pracę na ostatecznie niepewną posadę w Kierownictwie Programowym na Ziemi. Wie, że to ryzyko.

Billy opanowywał się z trudem. Na końcu języka miał już słowa, których lepiej byłoby

nie mówić. Feliks z pewnością nie siedzi w biurze sam. Zawsze znajdzie się jakieś dodatkowe gorliwe ucho. A zresztą...

— Nic dziwnego, że Maks jest rozdrażniony i zdenerwowany. Przede wszystkim jednak jest wybitnym naukowcem i nie wolno wam zapominać o tym, że to...

— Wiemy o tym, Billy. Możesz mi wierzyć: pamiętamy o tym doskonale. Ale teraz zmiataj wreszcie z amerykańskiego sektora!

— W pewnym sensie mam prawo tu przebywać. W końcu sam jestem Amerykaninem.

— Zmiataj! — Kronenberg roześmiał się i wyłączył, nie czekając na odpowiedź Billy'ego.

— Oto podziękowanie ojczyzny — mruknął Billy i posłusznie udał się w drogę powrotną. Nie mógł się już doczekać, kiedy znajdzie się pod natryskiem. Miał nadzieję, że woda spłucze również jego wyrzuty sumienia.

Porozmawiam z Maksem! Ale ostrożnie, z wyczuciem. To postanowienie zrodziło się w nim, kiedy stojąc pod natryskiem rozkoszował się gorącymi i zimnymi strugami. Dopiero kiedy zapaliła się czerwona lampka, przypominająca o konieczności racjonowania wody, zakręcił kran i zaczął szorować się ręcznikiem do sucha. Następnie ubrał się szybko w lekki strój pokładowy: pomarańczowe spodnie i białą koszulkę. Był szczęśliwy, że nareszcie zdjął z siebie skafander.

A co z taktyką? — pomyślał idąc do kuchni. — Muszę zachować ostrożność. W przeciwnym razie Maks wścieknie się na mnie. Muszę poczekać na właściwy moment.

Maks był nadal, albo ponownie, w sektorze botanicznym. Billy wszedł do środka i ostentacyjnie zaczął węszyć. Maks nie zareagował.

Billy spojrzał na niego: Maks siedział przy małym stoliku nad olbrzymim stosem wydruków komputerowych. Nastrój nerwowości i podniecenia otaczał go jak woń egzotycznych perfum.

— Znowu paliłeś?

Zanim Maks zdołał poderwać się z miejsca i przejść do rękoczynów, Billy z kocią zręcznością umknął z powrotem do kuchni. Tam rozejrzał się i potrząsnął z obrzydzeniem głową.

— Do diabła! Nie mogę już patrzeć na ten burdel!

Kuchnia sprawiała wrażenie, jakby trafiła w nią bomba.

— Wygląda gorzej niż w sektorze amerykańskim! O wiele gorzej — ocenił Billy.

Kilkakrotnie przetaił włosy ręcznikiem, aby wytrzeć je do sucha, bezmyślnie okręcił się na pięcie, zaczerpnął głęboko tchu i nastawił komputer kuchenny na kawę. Następnie zaczął lustrować to miejsce dewastacji z niemal masochistyczną dokładnością. Coś strasznego! Nasi zmiennicy wściekną się chyba albo nas wykończą!

Z kranika popłynęła kawa, rozprzestrzeniając wokół intensywny aromat. Billy z wahaniem pozwolił się udobruchać w ten sposób.

Odpowiedni klawisz pozwolił na włączenie stojącego tu bezużytecznie małego R2-D2. Zabrzmiała melodia z „Gwiezdných wojen” da-da-dadadadaaaa-da!

W filmach roi się od bohaterów kosmosu! Pojedynki laserowe, bitwy powietrzne, pościgi w przestrzeni i czasie... Niepozornymi szybowcami poprzez potężne skupiska asteroidów... A księżniczki! Człowieku, te księżniczki.. Wiecznie młode, wiecznie piękne, wiecznie delikatne. O emancypacji zapomina się tam zawsze w odpowiednim momencie, ślicznotka pada bohaterowi w ramiona...

A jak wygląda rzeczywistość? Rzeczywistość cuchnęła rutyną, biurokracją i tłustymi urzędnikami z uprawnieniami do emerytury. Do rzeczywistości należała ta brudna kuchnia i jego wrażliwy, aktualnie zajęty wyłącznie sobą przyjaciel Maks Marek, który — przynajmniej jeżeli chodzi o wygląd kuchni — wcale nie był tak bardzo wrażliwy. Na bitwach powietrznych i pojedynkach laserowych nie zależało mu wcale. Nie jest miłośnikiem broni. Nigdy nim nie był.

— Ale księżniczki... — wzdrygnął się. Wiedział, że ten tok myśli doprowadzi z żelazną konsekwencją do otwarcia starej, źle zagojonej, cholernie bolesnej rany. Chris! Księżniczki są wyemancypowane i samodzielne. Nie mają wcale zamiaru czekać stale na swego bohatera kosmosu. Żyją własnym życiem. Początkowo czuł do niej nienawiść. Dziś sam przyznawał, że tak było lepiej. Lepiej dla niej. Nie dla niego. Ale on zaakceptował ten stan rzeczy... Może dlatego, że to rozumiał? Może też dlatego, że jeszcze ją kochał.

Na przykładzie Maksa i Ewy widać wyraźnie, co się może wydarzyć, jeżeli...

Chris nie uciekła. Wprost przeciwnie. Podjęła walkę z życiem. Otóż to.

Wziął kubek z kawą, wypił zawartość krótkimi, chciwymi łykami i — wypluł wszystko do zlewu.

Koniuszkami palców wyłowił z kubka niedopałek papierosa i rzucił na podłogę.

Znów ona — nieubłagana rzeczywistość.

I jego drobna, prywatna wojna z Maksem, którego teraz najchętniej kopnąłby w tyłek.

— Maks, zwariuję przez ciebie!

— Naprawdę?

— Mógłbyś oszczędzić przynajmniej jeden kubek. Tylko jeden.

Nie było odpowiedzi.

— Przedtem miałeś lepszy humor.

Nie było odpowiedzi.

Chyba jednak coś przeczuwał...

Pora odpoczynku.

Billy spędzał ten czas w solarium na siedząco, gdyż ciasne pomieszczenie nie pozwalało leżeć. Odprężył się pod wpływem głośnej muzyki. Maks nazywał te gorące rytmy, „muzyką z dżungli”; prawdopodobnie był już po prostu za stary na dźwięk „power”. Stary grzyb.

Dziwne, dopiero teraz uświadomił sobie, jak wyczerpująca była praca przy reaktorze i w sektorze B — ale przede wszystkim przy reaktorze. Mięśnie karku i grzbietu paliły go, jak gdyby ktoś szorował je czymś ostrym. Kark był sztywny, niemal sparaliżowany. Zrobił kilka ćwiczeń rozluźniających, pokręcił głową, skłonił ją, uniósł z powrotem powoli. I od początku to samo. Rzeczywiście pomagało.

W drzwiach stanął Maks: wysoka, szczupła postać, poważna twarz, zaciśnięte usta i wysunięty do przodu, zdradzający energię, podbródek. Jego ciemne włosy przerzedziły się nad czołem, przy skroniach widoczne już były zakola.

— Człowieku, chyba oszalałeś! Ścisz trochę to wycie! — z trudem przekrzykiwał hałaśliwe dźwięki muzyki nowej fali.

Billy uśmiechnął się z miną niewiniątka, odwracająca się plecami do sztucznego słońca. Maks nie był w nastroju do żartów. Na twarz wystąpiły mu rumieńce, oczy błysnęły gniewnie.

— Billy, mam dużo pracy!

— Właśnie dlatego, że wykonujesz ją nieprzerwanie, brakuje ci ruchu... A przecież wiesz, że w ten sposób traci się zbędny tłuszcz. Spójrz na twoje biodra.

— Daj spokój! I ścisz tę łomotaninę. Nie jesteś tu sam.

— Maks, wysłuchaj mnie chociaż przez chwilę! Wiem, że jesteś starszy i przystojniejszy, a poza tym jesteś kierownikiem naukowym stacji, więc osobą budzącą respekt...

— Billy...! — Warknął ostrzegawczo.

Dołki wokół jego ust pogłębiły się jeszcze bardziej. Niebieski kombinezon, który miał na sobie, był brudny i pognieciony. Maks zaniedbał się — i to jak! Poza tym — dlaczego nie uporał się jeszcze z zadaną lekcją? Czyżby znowu przesiedział cały czas w fotelu, marząc tęsknie o lepszych czasach i światach? O wszechświecie? O Ewie? O dobrej stronie człowieka? Takie nastroje zdarzały się Maksowi ostatnio coraz częściej.

A ty, kapitanie Hayes? — zapytał sam siebie. Nie był w stanie oczyścić swoich rozmyślań z nalotu drwiny. — Co z twoimi nastrojami. Na przykład przedtem, w sektorze B? A sprawa z duchami? No, niechby się o tym dowiedział Kronenberg... Chyba nam trochę odbiło.

Spoglądali na siebie jak wrogowie.

Billy rozsiadł się wygodniej w kabinie solarium, nie zwracając uwagi na postawę Maksa. Wydawało się, że jest zainteresowany jedynie tym, by maksymalnie wykorzystać promienie sztucznego słońca.

— W stanie totalnego otłuszczenia nawet najmniejsze podniecenie może okazać się niebezpieczne... — wykladał nadal niczym profesor z katedry, aby zaostriżyć sytuację jeszcze bardziej. Może wreszcie uda mu się wywabić Maksa z tej jego skorupy. Lepsza kłótnia niż to wieczne zamykanie się w sobie. Maks w głębi duszy tłamsił już zbyt dużo. Stanowczo zbyt dużo. A ta historia z Ewą...

Poza tym taka taktyka pozwalała mu odwlec inną rozmowę. Poważną rozmowę z Maksem. O kilka minut albo nawet godzin.

— Powiedziałem ci: ścis� to wreszcie — warknął zduszonym głosem Maks.

— Aha! Lekkie rozdrażnienie. To już są pierwsze symptomy. Uważaj na swoje serce przyjacielu, w przeciwnym razie zrobi nagle... bęc! — dramatycznym gestem chwycił się za szyję, jakby zabrakło mu powietrza, wykrzywił twarz w straszliwym grymasie i powoli osunął się na podłogę. |

— Jesteś cholernym idiotą!

— Być może — Billy uśmiechnął się kpiąco. — Ale nie jestem twoim wrogiem. Rozumiesz? A to jednak różnica...

Maks otworzył usta, jakby chciał coś odpowiedzieć, ale jedynie spojrzał na niego dziwnym wzrokiem, odwrócił się na pięcie i wyszedł z pomieszczenia.

Billy nie ruszył się. Piekiło go pod powiekami. Nie przyzwyczał się jeszcze do tego miejsca pozbawionego cienia, pełnego słońca. Muzyka utrzymywała go w formie, działała jak narkotyk, ale była istotnie bardzo hałaśliwa.

Ta próba dzisiaj. Czy rzeczywiście była tak ważna? Czyżby oznaczała spisek przeciw Maksowi?

Maks, jesteś kłębkim nerwów — pomyślał ironicznie. — A co do mnie, to widzę już zjawy.

Wyłączył muzykę. Cisza zadźwięczała mu w uszach. Przez chwilę siedział pochylony do przodu, wpatrując się w pustkę. W końcu wstał, podszedł do fotela i opadł nań z pełnym ulgi westchnieniem: Uff!

W głośniku rozległ się głos Maksa:

— Nie chcesz poszukać Frankieboya?

— Spałem.

Nie było to zgodne z prawdą. Po prostu rozmyślał. Niestety: zbyt logicznie. Boże, dlaczego nie mogę porozmawiać z nim szczerze? Albo on ze mną. Dlaczego czaimy się tylko? Jak wrogowie. Przecież nie jesteśmy wrogami. Jesteśmy przyjaciółmi!

Załoczył swój szary, bawełniany kombinezon treningowy i wszedł na górę. W kuchni przyrządził jedno ze swoich dań „na chybcika”: dwa hamburgery z całą masą ketchupu, a do tego (dokładnie przedtem sprawdzona i na wszelki wypadek wypłukana raz jeszcze) filizanka soku pomarańczowego.

— Zjesz ze mną hamburgera? — zawołał do Maksa.

— Nie!

— Dlaczego?

— Bo wyglądają nieapetycznie.

— Nieapetycznie! — Billy potrząsnął głową, przyciągając do siebie taboret, usiadł wygodnie i zjadł wszystko ze smakiem.

Po posiłku powlókł się do sektora meteorologicznego. Maks go nie zauważył. Siedział przed komputerem, odczytując rezultaty całodziennych obserwacji: sygnały satelitów, obrazy formacji chmur, wartości termodynamiczne. Liczby, liczby, liczby...

Wyliczał ciśnienie i temperaturę powietrza, odnotowywał zmiany, jakie zaszły w ciśnieniu w ciągu ostatnich trzech godzin, prędkość wiatru mierzoną w węzłach, kierunek wiatru, temperaturę powierzchni morza, aktualny stan pogody, stan pogody w ciągu ostatnich sześciu godzin. Bez ustanku liczby, liczby i liczby...

Billy oderwał się od ściany, o którą opierał się obserwując Maksa. Pogwizdywał starą, klasyczną piosenkę Franka Sinatry „Strangers in the nights”. Maks nie zwracał na niego uwagi. A może nie chciał go widzieć?

Test porównawczy z wartościami uzyskanymi przez Arklab. A więc stacja naziemna przesłała już wyniki badań automatycznie nakreślone mapy izobaryczne obszarów pomiędzy Labradorem a Syberią, Arktyką i Saharą. Maks Marek był w swoim żywiole.

Billy odwrócił się i zaczął szukać Frankieboya. Na czworakach sunął po podłodze.

— Frankie... Frankieboy... Gdzie jesteś, malutki? — zagwizdał wabiąco.

— Frankieboy!

— Myślisz, że to pies?

A więc Maks zauważył go w końcu. Tym razem Billy nie zwracał na niego uwagi. Czołgał się dalej, zaglądając w każdy ciemny kąt. Mrok panujący w centrali znacznie utrudniał akcję poszukiwawczą.

— Frankie... — nawoływał Billy. — Frankieboy!

Maks odetchnął głęboko, zdjął ręce z klawiatury komputera, przetarł oczy, podparł głowę rękami i popatrzył na niego z widoczną udręką. Opanował się. Sprawiał wrażenie zmęczonego.

Billy przesuwiał się w stronę sektora botanicznego; Że też jest tu tak ciemno! W jaki sposób można w tych warunkach znaleźć zbiegłą żabę? To zwierzę z pewnością założyło czapkę niewidkę. Billy wyprostował się i szedł dalej. Śluza dzieląca sektory otworzyła się po naciśnięciu klawisza, szumiąc cicho. Billy wszedł do długiego pomieszczenia, precyzyjnie się pomiędzy skrzynkami z roślinami a terrariami. Pachniało deszczem i życiem. Rośliny prezentowały swą soczystą zieleń. Zwiędły jedynie sadzonki haszyszu, hodowane odkąd przybyli na stację. Mniejsza z tym. I tak nie zależało mu na nich. To był jedynie żart.

— Frankieboy...

W sąsiednim pomieszczeniu Maks wyłączył komputer. Billy triumfował w duchu. Teraz albo wybuchnie, albo poprawi mu się humor. Zobaczymy. Spojrzał na dobrze odżywioną świnkę morską w szklanej klatce.

— Speedy! — wykrzywił twarz, wydymając dolną wargę i policzki.

Speedy żuł coś niewzruszenie, nie reagując na jego zaczepki. Tak samo ignorowała go ta żaba, Frankieboy.

— Zostaw Speedy'ego w spokoju i odszukaj wreszcie Frankie... Mam jeszcze dużo roboty — Maks stał za nim, przeciągając się leniwie. Takie wielogodzinne siedzenie na krześle nie wychodziło mu na dobre.

— Ach tak, lubię coś takiego... Ktoś przeszkodził Waszej Wysokości...

Udawał zupełnie obojętnego, ale nie mógł pohamować ciekawości, spoglądał na rośliny oraz rurki, przez które spływał płynny pokarm i na zwierzęta: białe myszki, miotające się jak oszalałe po klatce, ociężałego węża, który zwił się właśnie w połyskliwą, ruchomą obręcz.

Billy czuł się przyjemnie odprężony; drobna potyczka na pokładzie stacji pełniła rolę wentyla bezpieczeństwa. Obaj dali upust swej nagromadzonej agresji. Jedynie ten wrażliwy Maks traktował jeszcze całą sprawę zbyt poważnie.

— Nawiasem mówiąc — podjął Billy — to zajęcie nie należy właściwie do moich obowiązków.

— Ale ty go wypuściłeś. Bierz się do roboty! Ja mam jeszcze dużo pracy... — poruszał się napięty, podniecenie nie pozwalało mu spocząć. Spokój oznacza bezruch, a bezruch...

Billy uśmiechnął się do świnki morskiej, po czym oświadczył:

— W przyszłości będziesz miał jeszcze więcej pracy, przynajmniej na to się zanosi.

Zatruta strzała trafiła w cel i to jak dokładnie! Twarz Maksa stężała, zaostrzyła się. Skóra opinała teraz gładko kości policzkowe. Nie odrywał od niego wzroku. Billy odwzajemniał to przenikliwe, badawcze spojrzenie, a jego uśmiech stawał się coraz szerszy.

— To cię zaskoczyło, co?

— No już, gadaj, co wiesz! — głos Maksa był zdławiony, pięści zaciśnięte.

Billy oblizał wargi, wysunął podbródek do przodu i roześmiał się:

— Najpierw poszukajmy Frankieboya.

Maks zawahał się. Ciemne brwi uniosły się lekko do góry, oczy wydawały się teraz większe niż przedtem. Jego usta wykrzywiły się w jakimś osobliwym, pełnym goryczy grymasie.

Co się z nim dzieje? Czy to istotnie tylko strach przed nową pracą w kontroli naziemnej? Obawa czy ją dostanie, czy nie? A może kryje się za tym coś więcej? Czyżby to... przeze mnie?

Nie okazywał jednak troski, odpierając dzielnie spojrzenie Maksa. Niecierpliwie, niemal drżąc z napięcia, czekał na jakąś reakcję, odpowiedź. Nikły uśmieszek.

Nie był to uśmiech wymuszony, sztuczny, o nie. Był to dawny, serdeczny uśmiech, jaki Billy od początku polubił u Maksa. Billy nadal pamiętał doskonale ich pierwsze spotkanie. Poznali się w ośrodku treningowym. Maks zszedł właśnie z wirówki, blady jak ściana i zaczął wymiotować — i to jak!

A teraz...

... teraz Maks uśmiechał się, jego oczy miały ten ciepły, złocisty blask, surowość zniknęła z twarzy.

— O.K. — powiedział. Tylko to jedno słowo. Wszelki komentarz był tu zbędny. Tym jednym słowem powiedział wystarczająco dużo.

I rozpoczęło się polowanie na grubą zwierzynę.

— Zgaś światło!

Maks wcisnął wyłącznik. W sektorze botanicznym zapanowała momentalnie nieprzenikniona ciemność. Billy wstrzymał oddech, koncentrując się na uciekinierze, a właściwie na odgłosach. Cisza. Billy poruszał się tak ostrożnie, jak tylko potrafił. Ciszę przerwało kumkanie żaby. Zabrzmiało to niezdecydowanie, jakby miało oznaczać pytanie: „Hej, jest tam kto?”

Billy dał susa w kierunku, skąd dobiegło kumkanie, obok niego jak cień przesunął się Maks. Odgłos powtórzył się, po czym nastąpił skok, po prostu pacniecie.

Billy zamarł w bezruchu, cały sprężony do skoku. Znowu panowała głucha cisza. Co za bestia! Ruszył do przodu — uderzył głową o kant terrarium, zaklął i w następnej chwili ponownie wstrzymał oddech.

Pac, pac, pac!

Nie ulegało już wątpliwości: kochany Frankieboy rozpoczął odwrót.

— Tam, z tyłu — szepnął Billy, kiedy wyczuł niewyraźny ruch.

Maks otworzył szerzej grodzie łączące sektory nadzoru z botanicznym — i drobny, niepewny strumień światła zmaćcił ciemność. W smudze światła ukazał się mały uciekinier. Billy rzucił się na niego i schwycił Frankieboya błyskawicznym, instynktownym ruchem. Zwierzątka skuliło się w jego dłoni; delikatne, małe, chłodne. Drobne serduszko waliło z trwogi jak młot. Żaba zakumkała bojaźliwie.

— Maks, mam go!

W dwóch susach Maks znalazł się przy nim. Billy poczuł ciepło ciała przyjaciela.

— Jaki on wychudzony... — Maks roześmiał się.

Billy zawtórował mu.

— Chodź, przywitaj się z dobrym wujaszkiem, mały uciekinierze!

— Naprawdę jest jakiś zabiedzony.

Billy pogłaskał delikatnie małe, drżące zwierzątko — i w następnej sekundzie stało się! Maluch zamienił się w coś ruchliwego, Billy poczuł jeszcze energiczny ucisk, żaba odbiła się od jego dłoni, rozległo się pacnięcie, Maks odskoczył przerażony... i zdjął sobie z nosa rozdygotanego Frankieboya. Wybuchnęli śmiechem. Był to śmiech swobodny, pełen ulgi. Pierwszy od wielu dni.

Zrobiło się późno. Billy uporał się już z zadaniami przewidzianymi na dziś i wprowadził do pamięci komputera odpowiednią informację. Skafinder był czysty, sprawdzony, i wisiał w szafie, zbiorniki były podłączone do urządzeń wentylacyjnych, nowe stały przygotowane na wszelki wypadek. Nawet narzędzia leżały oczyszczone. Billy był w podniosłym nastroju. Frankieboy pozdrowił go donośnym kumkaniem, kiedy przechodził przez sektor botaniczny obok oszklonej klatki. Jego myśli zabląkały się w pewnej chwili w zupełnie nieoczekiwanym kierunku: Boże Narodzenie. Jeszcze tylko kilka tygodni, a na dobrej staruszce Ziemi nastanie ta chwila. Przygotowania biegły już z pewnością pełną parą — w dużych domach towarowych, sklepach.

„Wystarczy kupić to futro, aby spędzić święta Bożego Narodzenia w radosnym nastroju i elegancko! Nasze zwierzęta zabijamy w sposób humanitarny, nadzwyczaj humanitarny. Dlatego futra oferowane przez nas...”

Albo: „Choinki... Proszę nabyć w tym roku jedną z naszych choinek z tworzywa sztucznego, imitujących do złudzenia choinki naturalne. W ten sposób i Ty przyczynisz się do ochrony środowiska! Pamiętaj: zagrożone są już ostatnie rezerwy leśne!”

I Billy pomyślał z rozrzewnieniem o śnieżnych zawiejach i atakach mrozu, a jego serce zabiło i mimo woli szybciej i gwałtowniej. Na szczęście święta Bożego Narodzenia spędzi już na Ziemi. Pieczone jabłka, placki migdałowe, gorąca herbata z rumem, pierniki, grzane wino, szron na szybach okiennych, sople lodu zwisające z dachów... Siedzieć gdzieś w ciepłym pomieszczeniu i patrzeć na karkołomne tańce płatków śniegu za oknem, porywanych przez ostre podmuchy wiatru... Wszystko skąpane w bieli, szarzyźnie i błękicie. W półmroku rozlega się ciche tykanie zegara...

Boże, okazuje się, że zdążył już zapomnieć, jak to jest, kiedy czuje się na twarzy gwałtowne uderzenia burzy! Tu, w górze, zapominało się o tym. Zresztą tak było lepiej. Tęsknota stawała się mniej bolesna.

Kiedy wrócił do sektora kontroli, usłyszał zduszony głos Maksa i natychmiast zorientował się, że dobry nastrój przyjaciela nie trwał długo.

Maks siedział przy radiostacji.

— ... nie wiem, co powiedział ci Billy — mówił rozdrażniony głos. Głos Feliksa Kronenberga. — ... w każdym razie do tej pory nie zapadła jeszcze żadna decyzja!

— Ale przypuszczam, że mówi się o ewentualnym objęciu przeze mnie tej posady. Wiesz przecież, jakie to dla mnie — ważne ciemna sylwetka Maksa odcinała się ostro od metalicznego błękitu komputera. Siedział, przybierając typową dla siebie postawę: nachylony do przodu, napięty. Każda cząstka jego ciała sygnalizowała nerwowość, nieufność i czujność.

Billy gratulował sobie w duchu, że nie wspomniał jeszcze ani słowem o drugiej sprawie.

— Owszem, wiem o tym — odparł Feliks Kronenberg. — Masz we mnie idealnego orędownika, możesz być tego pewien. Złości mnie tylko, że Billy znowu okazał się papłą.

— Jak to? Jeżeli o mnie chodzi, to mogę być mu tylko wdzięczny. To czekanie...

Feliks perswadował:

— Maks, my tu na Ziemi robimy naprawdę wszystko, co w naszej mocy, żeby załatwić

ci tę posadę, ale... tego typu sprawy — przybrał ton, jakby tłumaczył małemu dziecku tabliczkę mnożenia — są w kompetencji sekcji kadr, a chyba me muszę ci wyjaśniać, jak długo trwa u nich podjęcie ostatecznych decyzji.

— W każdym razie — odparł chłodno Maks — prosiłbym bardzo na przyszłość, abyś raczył poinformować mnie, jak tylko się czegoś dowiesz.

— Oczywiście, Maks... — Krótka chwila wahania, potem znowu ten pełen napięcia ton: — Mam nadzieję, że Billy nie napłótl ci więcej tego typu głupstw...

Maks pominął tę uwagę milczeniem. Wydawało się, że w ogóle jej nie dosłyszał, gdyż zmienił temat:

— Puszczę wam jeszcze swoją prywatną taśmę z nagraniem dla Ewy...

Zamiast Feliksa odezwał się jeden z Amerykanów:

— O.K. Ale proszę się pospieszyć. Musimy jeszcze nagrać dla was dane dotyczące ostatniego napromieniowania CORA.

— Już włączam.

Billy zapragnął nagle przerwać podsłuch, wyciągnął nawet rękę... Ale w ostatniej chwili rozmyślił się.

— Bardzo się cieszę, Ewo, że nasze spotkanie będzie... — rozległ się głos Maksa. Przyjazny, ale rzeczowy, wyprany z wszelkich emocji. Nic dziwnego. Wiedział, że tamci mogą w każdej chwili przesłuchać taśmę, mimo iż było to zabronione.

— Gwarantujemy każdemu z was sferę intymności — zapewniał ich wtedy prezydent. Z pewnością mówił to w dobrej wierze. Ale trzeba pamiętać, że oprócz pana prezydenta jest jeszcze cała horda ciekawskich urzędasów, którzy są tylko ludźmi.

— ... ale niestety to zaledwie kilka dni — mówił Maks do Ewy na Ziemi. — Ja... ja dużo myślałem na ten temat. Musimy coś zrobić. Tak dłużej być nie może. Przynajmniej jedno z nas musi zrezygnować z tej pracy...

Przez chwilę wydawało się, że chce jeszcze coś powiedzieć, ale potem wyłączył się raptownie, bez słowa.

Billy poczuł, że coś dławi go w gardle. A więc Maks do tej pory zataił to przed nią. Nie powiedział jej, że dawno już złożył rezygnację i stara się teraz o przeniesienie do stacji naziemnej.

Postąpił kilka kroków ku drabinie, popatrzył, niezdecydowanie na górę... Zostaw go w spokoju, to nie jest najlepszy pomysł. On woli chyba zostać teraz sam.

W sektorze kontroli nadal panowały egipskie ciemności. Maks powylałcał wszystkie światła. Prawdopodobnie wpatrywał się teraz w zimnym blasku oświetlenia płyty komputera, którego nie wolno było gasić, w tamto zdjęcie: on razem z Ewą. A więc jednak nie zapuścił tu na górze korzeni. Maks, zostałeś skrzywdzony. I to nie raz.

— Floryda Arklab — odezwała się stacja naziemna. — Tu kierownictwo programowe MET. Odtworzymy teraz ocenę ostatniego cyklu napromieniowania CORA. Czy jest pan gotowy?

— Tak, jestem gotowy..

— Niech pan włączy nagrywanie.

— Włączone.

— Są to zdjęcia podczerwone wykonane z wysokości 190 kilometrów mówił obojętny głos.— Widać wyraźnie przebieg formacji chmur... Niezwykle silne źródło tworzenia chmur, przekraczające normę o blisko trzydzieści procent. Odpowiednio do tego kształtuje się poziom opadów...

— Włączam nagrywanie automatyczne — poinformował Maks.

Billy usłyszał dźwięk przesuwanego fotela. Zamknął oczy. Wyobraźnia podsunęła mu obraz Maksa, który odsuwa swój wygodny fotel od komputera, starannie kładzie zdjęcie Ewy i swoje na najwyższą półkę, zmęczonym ruchem wstaje, pociera sobie kark i zaczyna przygo-

towywać się do nagrywania.

— To fantastyczne... — zabrzmiał podniecony głos, pełen dziecięcego zachwytu. — Pogoda znormalizowała się dopiero po trzech dniach...

Billy wyłączył odbiornik, ziewnął i przeciągnął się, aż zatrzeszczało mu coś w kręgosłupie, po czym rzucił się na koję.

Martwił się o Maksa.

Ale... Nie można przecież żyć samymi troskami. Do diabła, on też jest tylko człowiekiem! Choć trzeba przyznać, że tym razem to wybitnie ciężki orzech do zgryzienia!

Billy westchnął, założył ręce na tył głowy, oparł się wygodniej i zapatrzył w jasny sufit. Przeklinał swoje szybkie danie; hamburgery tkwiły w żołądku jak głązy. Następnym razem zdecyduję się na jakieś koncentraty, tak będzie lepiej — postanowił ze skruczą. Potem wrócił myślami do zdjęć: dzisiejszy plon z sektora B. Położył je na małym stoliku. Zdjęcie Chris, niemal prawdziwej Chris, oraz zdjęcie niemal prawdziwej Chris i chłopca.

Delikatnie przysunął zdjęcia do siebie. Przyglądał im się długo i uważnie.

— Robisz się sentymentalny, Hayes — mruknął. — Biedny chłopcze, ujawniasz właśnie swą naturę: wcale nie jesteś twardy jak stal. Zresztą... to nie Chris. To tylko jedna z tych ładnych amerykańskich matek i jej syn. Kropka.

Maks krzątał się w kuchni. Otwierał lodówkę, zamykał ją z powrotem, przesuwając talerze i filiżanki. Billy nie usłyszał nawet, kiedy zszedł na dół.

— Czyżby doszło już do tego, że mówisz sam do siebie?

— A co mam robić? Przecież z tobą nie da się zamienić nawet jednego rozsądnego słowa!

Maks mruknął coś niewyraźnie i chwycił puszkę piwa.

— Słuchałeś już dziś wiadomości? — zapytał.

— Nie — Billy na moment tylko oderwał wzrok od zdjęcia. Maks zdążył już się przebrać. Miał na sobie granatową koszulę bawełnianą, spod której widać było biały podkoszulek. Czerwone spodnie dopełniały tej młodzieżowej całości. Jednym szarpnięciem otworzył puszkę piwa, oczywiście rozlał połowę, a blaszkę rzucił niedbale na podłogę. Sprawiał wrażenie zakłopotanego. I słusznie. Co za papla! Twoje szczęście, Maks — pomyślał Billy — że nie jestem pamiętliwy. Zresztą nie musiał mieć wyrzutów sumienia w stosunku do Feliksa. Wtedy w sektorze B uprzedził go przecież.

— Słuchaj, czy w ogóle wiesz, co wydarzyło się w sektorze B?

— Nie.

— Naprawdę nie wiesz, Maks?

— Naprawdę — głos Maksa był znudzony, mrukliwy. — Jak brzmi wersja oficjalna? Defekt techniczny, a poza tym zawiedli ludzie.

Billy spoglądał na jego poważną twarz, pytające oczy, usta o sceptycznym wyrazie, jasne, starannie uczesane włosy.

Czy jego ojciec znajdował się wśród ofiar?

Czy były w ogóle ofiary?

„Ofiary” brzmiało lepiej niż: „trupy”. Bardziej humanitarnie.

— Hm — mruknął. — Zawiedli ludzie i maszyny. Trudno określić to bardziej precyzyjnie.

Maks zaśmiał się wzgardliwie; był to krótki rechot.

— Istnieje jeszcze inna wersja...

— Jaka mianowicie?

Maks zawahał się. Widać było, że czuje się nieswojo, że żałuje już, iż zaczął w ogóle mówić na ten temat. W końcu jednak przezwyciężył obiektywność.

— Awaria reaktora — powiedział głuchym głosem, odwracając się do przyjaciela plecami.

— Kto tak powiedział?

— Ooch, oczywiście nikt... ale najwidoczniej robienie tajemnic staje się modne.

Szurając filcowymi pantoflami przeszedł do ich wspólnego, widnego saloniku, musnął palcami liście swojej „Gloire du Marengo”, spływające soczystozieloną kaskadą z umieszczonej wysoko półki i włączył mały telewizor. Na stojącego w tyle smokowca rzucił jedynie okiem; wiedział, że jest w wystarczającym stopniu podlany i użyźniony. Maks kochał swoje rośliny.

Zabrział sygnał wywoławczy rozgłośni RTC. To bez sensu. Billy podciągnął kolana, objął je ramionami i zrezygnowany potrząsnął głową. Maks nie potrafił się już po prostu przestawić, w tym sęk. Potrzebne mu są złe wiadomości i kłopoty. Zamyślony żuł gumę. W kadrze nad zdjęciem zajaśniała młodzieńcza postać spikera telewizyjnego: okulary w srebrnej oprawce, pociągała twarz, jasne, niezbyt krótkie włosy, muszka, garnitur. Niemiecki dziennik telewizyjny.

— ... buntownicze oddziały zbliżają się nieprzerwanie do Riadu, gdzie resztki oddziałów wiernych królowi przygotowują się gorączkowo do oblężenia — czytał spiker. — Liczne ofiary silnego bombardowania, jakie miało miejsce ostatniej nocy, pochowano w masowych grobach, licząc się z groźbą wybuchu epidemii. Od kilku godzin brak wiadomości o losie obywateli amerykańskich oblężonych na lotnisku w stolicy...

Billy nie słuchał dłużej. Zdecydowanym gestem odłożył na bok zdjęcia, zsunął się z koi i powłókł w kąt. Zaczął rozkładać na stole „Contrę 4”. Była to gra strategiczna dla dwóch przeciwników. Idealna rozrywka na teraz. Właśnie tego potrzebował. Ustawił grę. Z satysfakcją zatarł dłonie. Właśnie tak trzeba; wyłączyć się. Teraz albo nigdy. W przeciwnym razie pójdzie mu tak jak Maksowi, który siedział teraz w fotelu przed telewizorem, spięty, zasłuchany obraz totalnego przerażenia.

Billy pogrzebał w szufladzie, wyciągnął stamtąd swoją białą czapeczkę tenisową i założył ją fantazyjnie na głowę.

— Maks — ryknął na cały głos. — Chodź tu wreszcie!

Był to rytuał powtarzający się co wieczór.

Na ekranie ukazał się startujący samolot. Głos spikera był posępny, zatroskany. Maks otrzymał swoją porcję złych wiadomości.

— Człowieku! — jęknął Billy z rozpaczą, nie tając zniecierpliwienia. — Pospiesz się!

Starannie rozdzielał krążki. Czerwone dla Maksa, żółte dla siebie.

— Tam i tak gadają w kółko tylko o jednym — nalegał. Żadnej reakcji.

— Maks! — Billy starał się, aby w jego głosie zadźwięczała nuta groźby.

Był gotów. Białą czapkę naciągnął głębiej na oczy, poprawił okulary słoneczne. Teraz wystarczy już tylko przybrać minę zawodowego gracza. Żadnego podniecenia. Zachować obojętność. Maks zaskoczył go: z własnej woli nastawił tę „muzykę z dżungli” i wyłączył telewizor. Można było zacząć.

Maks usiadł z drugiej strony stołu.

— Uważaj, Maks — tłumaczył skwapliwie Billy. — Obaj gracze usiłują ułożyć linię ciągłą z czterech jednakowych krążków; poziomo, pionowo albo ukośnie...

— ... a jednocześnie — przerwał Maks z westchnieniem — każdy z nich stara się przeskodzić drugiemu, wsuwając swój krążek. Wiem o tym, wiem. Mówiłeś mi to już setki razy.

— Reguły są podstawą każdej uczciwej gry.

W tym wypadku reguły brzmiały prosto, zresztą cała gra wydawała się prosta; tak jednak nie było. Gra była podstępna. Potrzebna była rozwaga, umiejętność przewidywania, znajomość taktyki. Na przemian wsuwali krążki w otwory, zagradzając sobie wzajemnie drogę. Wygrywał ten, kto pierwszy ułożył szereg z czterech krążków.

Maks triumfalnie wsunął czwarty czerwony krążek.

— Zupełnie nie rozumiem, dlaczego tak bardzo lubisz tę grę... I tak stale przegrywasz

— wskazał swój układ czerwonych i wyciągnął poprzeczkę. Krążki wysypały się na stół.

— Do diabła! — Billy nie okazał rozczarowania. Jak zwykle wszystko potoczyło się tak szybko, jakby...

— Jeszcze raz — zażądał.

— Spokojnie, spokojnie... — Maks uśmiechnął się. A więc podstęp działał. Kropla wody draży skałę, ale tym razem w znaczeniu pozytywnym. Niech myśli, że istotnie ma przewagę, proszę bardzo. Wesołość Maksa była zaraźliwa, odmłodziła nagle o dziesięć lat.

— Teraz ja cię wykończę! — obiecał Billy. Wcale nie żartował. Nie mógł przecież pozwolić, żeby stale wygrywał Maks. — A zresztą pamiętaj, że kto ma pecha w grze, ten ma szczęście w miłości.

— No więc zaczynamy.

Maks wsunął pierwszy krążek, zmarszczył zabawnie czoło i przechylił się do tyłu.

— Znowu jesteś przy temacie.

— Wypijmy za to! — rozpromienił się Billy i podniósł do góry tekturowy kubek z superkoktajlem „Hipernowy”, sporządzonym według opracowanego przez siebie przepisu. Maks odwzajemnił toast. Wypili jednocześnie.

— Ale najpierw cię zniszczę!

Energicznym ruchem Billy wsunął swój krążek w otwór. No, Maks, zaraz ci pokażę! Będę już uważał. Nie wykiwasz mnie tak łatwo jak przedtem. Obserwuję każdy twój ruch, każdy! Teraz kolej na Maksa. Spokojnie, bez pośpiechu. Uśmiechnął się lekko.

— Wygląda na to, że bardzo ci na tym zależy — spoważniał, spoglądając dziwnie na Billy'ego. A więc i on próbuje coś osiągnąć, przybierając minę pokerzysty.

— W przyszłości będę pracował jedynie na stacjach, gdzie są kobiety — oświadczył Billy udając, że nie dostrzegł blefu. — Wtedy będzie chodziło o wyższe stawki — wybuchnął donośnym śmiechem. — Czy nie mam racji?

Maks niewzruszenie wsuwał kolejny krążek. Po nim Billy. Udaremnił przeciwnikowi wykorzystanie dogodnej sytuacji. Maks zrewanżował się tym samym. Czas mijał. Napięcie rosło. Żółte i czerwone krążki wpadały z cichym trzaskiem do otworów, tworząc rzędy poziome, pionowe, ukośne; okazję za okazję. Billy chichotał zadowolony z siebie. Tym razem to ci się nie uda. Nie ze mną. Nigdy więcej, dodał w duchu.

Maks okręcił się wraz z fotelem wokół własnej osi, czyniąc wymowny gest dłonią. Zresztą cztery krążki tworzące prostą mówiły same za siebie, zdawały się szydzić z Billy'ego. Maks wysunął poprzeczkę i krążki posypały się na stół.

Billy spochmurniał, na jego twarzy pokerzysty pojawił się grymas rozpacz. Podparł głowę dłonią, wpatrując się ponuro w blat stołu i stos kolorowych krążków. A więc znowu nic!

— Tak już jest: niektórzy ludzie mają więcej szczęścia, niż rozumu.

— Możliwe — Maks wstał z fotela, przeciągnął się i powlókł w kąt.

— Maks!

— Jestem zmęczony.

— Psujesz zabawę!

Billy spoglądał w dalszym ciągu na stos krążków, potem przeniósł wzrok na swoje dłonie. Długie, wąskie palce o krótkich, starannie wypielęgnowanych paznokciach. Maks zgasił w swoim kąciku światło, położył się i nakrył kołdrą głowę. To nie wymagało komentarzy.

— Zawsze, kiedy zabawa już się rozkręca, ten kładzie się spać. Ech! — Billy machnęła lekceważąco dłonią, ściągnął z głowy białą czapkę i rzucił ją na stół. Ten sam los spotkał okulary. Nie przyniosło mu to jednak ulgi. W głowie czuł żar jakby z dżungli, na języku ciążyło coś nieustępliwego.

„Hipernowy” zaczął działać. Za wcześniej było jednak na sen. A więc trening. Pozorowany boks. Bez względu na straty. Zwalczyć efekt „Hipernowego”. Muzyka była jak wyma-

rzona do tego celu. Ostre rytmy. Przed oczami Billy'ego eksplodowały barwne, ogniste kwiaty. Pierwszy cios. Najpierw odniósł wrażenie, jakby wleciał na ścianę z waty. Potem szło coraz lepiej. Prawa wyżej, krycie lewą. I lewa... Bach! Bach! Teraz prawa. Lewa. Perkusja. Gitara. Szybciej, szybciej! Muzyka rozbrzmiewała coraz głośniej i głośniej, przywodziła na myśl zwierzęcy jazgot. Po ścianach przemykały cienie. Billy zadał silny cios — bach! Jeszcze więcej cieni. Widział teraz lepiej, tańczył zwinnie, fruwał nad podłogą. Szybciej. Dalej. Obrót. Bach! Bach! Jeszcze raz! Oddychać. Oddychać. Wszystko wiruje wokół. Czerwone refleksy. Koła. Szum. Ale on widział znowu dobrze. Wypocił z siebie „Hipernowego”. Nadal boksował, uskakiwał, robił uniki — niesamowicie szybkie i zwinne. Jego pięści zadawały ciosy z lewej, z prawej, z lewej, z prawej. Ćwiczył tak aż do totalnego wyczerpania, aż oblał się potem.

Nie myślał już o Maksie. Ani o tajnym reaktywowaniu sektora B. Zapomniał nawet o wiadomościach, chociaż dźwięczał mu jeszcze w uszach głos spikera telewizyjnego: — Liczne ofiary silnego bombardowania, jakie miało miejsce ostatniej nocy, pochowano w masowych grobach, licząc się z groźbą wybuchu epidemii...

Masowe groby! To słowo wzbudzało w nim nienawiść. Wyrzucał ją z siebie, zadawał ciosy silne, precyzyjne. I jeszcze raz, i jeszcze. Z półobrotu, z rozmachem... Więcej siły. I jeszcze raz! Przeciw tym wszystkim masowym grobom! Słyszał dzikie rżenie i nie zdawał sobie nawet sprawy, że to on sam, że słyszy własny oddech. Jego usta były lodowato zimne. Ciało było rozżarzone i mokre od potu.

I znowu. Cienie tańczyły wraz z nim. Duchy. Refleksy. Ogony komet. I znowu. Pot lepkimi strugami zalewał mu oczy, zamrugał gwałtownie i potrząsnął głową. Pozbywszy się potu ćwiczył dalej. Nie myślał już jednak o niczym. Kompletnie o niczym. Był człowiekiem na bezludnej wyspie, leżącej z dala od wszelkiego życia. Rozbitkiem, który przestał wypatrywać statku, bo może już nigdy nie pojawi się na horyzoncie...

Mimo to dręczyła go chwilami tęsknota za domem.

Przynajmniej był to spokojny wieczór.

Dobre i to.

Floryda Arklab, faza nocna
z poniedziałku, 10 listopada,
na wtorek, 11 listopada
1997 roku

Stacja Floryda Arklab mknęła nadal po swojej orbicie okrążając Ziemię. Sunęła bezgłośnie i majestatycznie — ciemny kolos w oceanie kosmicznej nocy. Ciemność panowała również wewnątrz stacji. Ciemność i regularny szmer. Szmer oddechu.

Billy z trudem uświadomił sobie, że leży na koi, choć czuł pod sobą miękkość materaca, a na piersi ciepłą kołdrę. Był odprężony, spokojny. Zdawał sobie sprawę z każdego poruszenia stacji, z kosmicznego promieniowania, z wolnych prądów nieskończoności. Pojął nagle system przemożnego nurtu, który porwał go jak zwiędły płatek róży, zakręcił nim i cisnął w ciemną, wilgotną otchłań. Głęboko. Tam, gdzie marzenia są żywe, a wspomnienia stają się rzeczywistością.

Oto Chris... Delikatna, ale nie krucha. Wysoka, ale nie za bardzo. Szczupła, ale nie słaba. Jej długie rzęsy dygotały lekko, kiedy spoglądała na niego; twarz odzwierciedlała smutek minionego dnia jesieni. W jej dużych oczach widniała szara mżawka, wargi były uosobieniem zachodzącego słońca. Zbliżyła się do niego ze świeżą siłą i wdziękiem nocnego wiatru. Objęła go; szybki ruch pośród przesyconych deszczem ciemności, pośród szumiących krzewów, pod szepczącymi koronami drzew. Cichy, monotony szum deszczu wzmagął się, tu i ówdzie

pluskało, gdzieś tam rozlegało się twarde pacnięcie kropli deszczu...

Poczuł woń mokrej trawy (nawet to zarejestrował w swoim umyśle), krople deszczu pokryły mu twarz, sklepiły włosy... Ich ubrania wydzielały ten osobliwy zapach wilgoci i ciepła... Pociągnęła go za sobą w mokrą noc. W Central Parku o północy. Samotność. Ciemna plama trawnika. Czarna wyspa pośród jasnego, brudnego, głośnego miasta; odległe punkty świetlne, odległe refleksy szklanych drapaczy chmur. Z głośnym warkotem przeleciał nad wyspą czerni helikopter.

— Nic nie mów! — szepnęła Chris.

Potrząsnął jedynie głową. Czuł w swojej dłoni jej szczupłą, chłodną rękę. Jej siłę, kiedy ciągnęła go za sobą. Biegli po ciemnej plamie trawnika coraz dalej w mrok, coraz dalej w deszcz. W pewnej chwili usłyszał jej śmiech; pełen szczęścia, radości życia, swawoli. Śmiała się teraz na całe gardło, a miękkie brzmienie jej głosu zlewało się z odgłosem deszczu.

Wziął ją w ramiona, pogłaskał twarz, policzki. Jakby głaskał ciemność, która miała rzęsy, nos, wargi... Usiłowała uwolnić się z jego objęć, on jednak był silniejszy. Potem pocałunek. Tylko ten pocałunek. I deszcz. Plaśnięcia, bulgot, kapanie. I odgłosy nocy. I wiatr — pełne wdzięku chybotanie drzew i krzewów, oddalonych teraz od niego i odgradzających go od światła, od hałasu miasta. I ulewa.

Chris odepchnęła go, uciekła. Po rozległej, samotnej plamie trawnika, po ścieżkach wysypanych żwirem, obok ciemnego, tajemniczego stawu, którego powierzchnię rozbijały krople deszczu... Jakiś ptak poderwał się w górę i od razu schronił się znowu pod kołyszącą się silnie gałęzią.

I nagle — koniec. Przystanęła, odwróciła się, powoli, jakby ten ruch sprawiał jej niewymowny ból, jak gdyby coś ją dręczyło. Spojrzała na niego.

— Billy... — jej głos był cichym tchnieniem.

Gdzieś daleko tętnił ruch w dużym, brudnym mieście. Nawet o tej porze.

— Ja... Bardzo mi przykro...

Milczał. W dalszym ciągu milczał. A deszcz chłostał ich teraz zimnymi, bezlitosnymi strugami. Jakby mógł w ten sposób pokonać dzielącą ich przepaść. Nie musiała już mówić nic więcej.

Ujął ją za rękę. Zimna, Boże, jakaż ona zimna! Chris płakała cicho i tuliła się do niego, przytrzymywała go całą swą siłą i energią — a przecież nie chciała tego. Czuł ciepło jej ciała, jej bliskość. Słyszał, co szeptała mu do ucha cicho i urywanie, ale już opanowana: Nie może dłużej żyć w ten sposób, nie może żyć z nim. Chce działać, robić coś sensownego, a nie stać czekać. Nie chce już żyć tylko wtedy, kiedy on jest przy niej. Kiedy wraca na Ziemię. Musi się uwolnić od jego problemów, jego trosk. Zawsze, kiedy był z nią, wszystko kręciło się wokół jego osoby, wyłącznie wokół niego. Z biegiem czasu ona stała się nim, z niej samej zaś pozostały jedynie nędzne resztki. Teraz kieruje nią trwoga, ale jest przekonana, że to, co czyni, jest słuszne.

— Pozostaniemy przyjaciółmi — zapewniła, ocierając oczy ze srebrzystych łez i srebrzystego deszczu. Jej rzęsy nie drżały już. Chciała iść sama do domu. Sama w taki deszcz. Sama w taką noc. Odprowadził ją. Szli bez słowa. Potem pojechali metrem. Przez cały czas trzymał ją za rękę. Niezmiennie zimną. Jak zimną!

Nie rozumiał jej. Był urażony. Był jak wypalony. Przecież go kochała! I co? I mimo to?! Nic z tego nie rozumiał. Jeszcze nie.

Kilka tygodni później Chris zginęła. Wpadła pod samochód, kiedy wyszła wieczorem po papierosy. Na przejściu dla pieszych. Jakie to banalne! Jak strasznie banalne!

A może jeszcze żyje? Czyżby zabił ją jedynie w myślach? Rozpacзлиwa zemsta zrozpaczonego osobnika? Nie wiedział już tego. Nic już nie wiedział. Ale od tej pory jeszcze lepiej grał rolę kłowna. Miało to tę wielką zaletę, że można było nosić maskę. Nikt nie widzi, kiedy kłown płacze pod maską.

Śnił o duchach. Słyszał szum urządzeń elektrycznych, czuł świeży powiew powietrza. Duchy mówiły do niego.

— Mamy na ekranie segment 5 reaktora. Przebieg zgodny z planem.

Przenikliwy dźwięk, jakby ruszył reaktor. Uczucie, jak gdyby został wydany na pastwę potężnej energii. Niebezpieczeństwo. Wydarzyło się coś niebezpiecznego, a on nie mógł się uwolnić oplątany siecią lepkich nici. Szarpał je, tarmosił, wrywał się z całych sił — bez rezultatu.

Segment 5 reaktora — twór przywodzący na myśl kowadło. Kadłub... bęben. Stacja naziemna... baza programowa... Przez ułamek sekundy ujrzał siebie samego, unoszącego się w skafandrze nad reaktorem, wprowadzającego kasety sterujące, a potem...

Sekundy upływały w szaleńczym tempie.

— O. K. Zaczynamy włączać system B... Zaktywizować sektor amerykański...

A tam... tam... czy to nie Chris? Znowu ogarnęła go ciemność Central Parku... I był razem z nią. Przepelniała go radość. Deszcz był ciepły i świeży, i pachniał jaśminem. Jedynie głosy nie pasowały do całości. Głosy z zimnej ciemności.

— Sektor B aktywny. Odliczanie w toku. 10... 9... 8... 7... 6... 5...

— Do chwili osiągnięcia współrzędnych docelowych pozostała jeszcze minuta i czterdzieści siedem sekund...

— ... 4... 3... 2...

— Chwileczkę!

Migotanie włączonych ekranów.

— Chwileczkę, coś tu nie gra! Nie ma sygnału kontrolnego ze stanowiska automatycznego sterowania! Przełączyć na kamery zewnętrzne...

Piski. Migotanie. Przemykające cienie, przytłumione dźwięki.

— Kamera jeden na pozycji. Odliczanie w toku — głośny pisk. 10... 9... 8... 7... 6... 5... 4...

— Cholera, co z tymi promiennikami?

Głos dygocący ze złości.

Jego duchy... duchy z sektora B nie miały gniewnych głosów. To były wspomnienia... Symulowane wspomnienia! Coś w głębi niego zbuntowało się, ale elastyczna sieć trzymała go nieubłaganie.

Rzędy liczb. Czerwone rzędy liczb przebiegające od lewej strony do prawej, a następnie z dołu do góry.

— Powinny być już od dawna otwarte!

— Co za gówno!

— ... 3... 2... 1...

— Jeszcze bliżej!

— Błędne wskazanie...

— ... 0

— Promienniki nie otworzyły się.

— A co z drugą grupą promienników?

— Chwileczkę, zaraz zobaczymy to na ekranie!

Powtarzające się echo głosów tonęło z wolna w ciemnościach...

Kolejna wizja: obrazy zmieniające się na migocących ekranach. Piski przybierały na sile. Głęboka, pełna napięcia i paniki cisza. Potem: znowu głosy!

— Do chwili osiągnięcia współrzędnych docelowych pozostała jeszcze minuta i piętnaście sekund. Za wszelką cenę musimy zaalarmować załogę. Czy jest możliwy kontakt z Feliksem Kronenbergiem? Feliks Kronenberg musi porozmawiać z załogą jako oficjalny europejski przedstawiciel programu CORA.

Te słowa nie dotyczyły ich...

Gdzieś, na którymś ze zaktywizowanych ekranów zapłonął napis:
ALARM NA POKŁADZIE ZA 15 SEKUND.

I wreszcie centrala zbudziła się do życia. Zajaśniały ekrany. Zabłyśło oświetlenie. Rzędy świateł. Chaos pisków, dzwonek, trzasków. A potem zawył sygnał alarmowy; dźwięk to wznosił się, to opadał. W lampach alarmowych zawirowało fioletowe światełko, rozrywając ciepłą ciemność.

Kleista sieć oplatająca Billy'ego szczelnym kokonem pękła. Poderwał się do góry. To nie był już sen. To był alarm!!!

Zeskoczył z koi, narzucił na siebie, górną część ubrania treningowego. Chwiejnym, potem coraz pewniejszym krokiem dopadł drabinki i wbiegł na górę. Jak okiem sięgnąć wszędzie wirowały fioletowe światła alarmowe. Przeróżny dźwięk, zdolny poderwać umarłych, docierał wszędzie, do każdego zakątka.

— Maks, pospiesz się! — krzyknął jeszcze.

W następnej chwili był już w centrali, pełnej energii. Wycie syreny wypędziło z niego resztki snu i ostatnie strzępy głosów duchów. Teraz już wiedział, do kogo należały... Nie ma duchów. Nie. Od dzisiejszego ranka nie było już dla nich miejsca na pokładzie Florydy Arklab.

Usadowił się w fotelu przed komputerem, nałożył sobie na uszy słuchawki i zameldował:

— Tu Floryda Arklab!

— Tu Feliks! Użyj kodu LAURIN i odwołaj wszelkie dane! Zrozumiałeś? Kod LAURIN!

Billy skinął głową. Jego palce przeleciały szybko po klawiaturze, wystukując kod odwołania.

Na ekranie centralnym zamigotały rzędy żółtych cyfr. W górze pojawił się obraz bazy programowej: połączenie bezpośrednio. Zakłócenia zniekształciły nieco krawędzie obrazu. Teraz kolumna liter. Kod. Billy rzucił nań przelotnie okiem, opuścił znowu głowę, spojrzął na klawiaturę i stukał dalej.

— W czym tkwi problem? — wykrztusił.

— Awaria automatycznego systemu sterującego w sektorze amerykańskim. Promienniki się nie otwierają. — Głos Feliksa drżał lekko: widać było, że opanował się z trudem. — Billy, musicie włączyć promieniowanie ręcznie...

— Promieniowanie? Do diabła, cóż to znowu za promieniowanie?

Nie miał już czasu na zadanie tych pytań.

Na ekranie ponad czerwonymi liczbami i kolumnami liter pojawił się widok na zewnątrz. Przestrzeń kosmiczna. Promienniki — nieforemne przyrządy, zastygłe w bezruchu.

Kolejny napis na ekranie:

CZERWONA KRAJKA. CORA II (kontrola)

V7. 2 LISTOPAD 11.1997

00 : 00 : 00

WYBÓR PRIORYTETU:

1. sprawdzenie systemu — service
2. sprawdzenie backup
3. TEST (kontrola programu)
4. składowanie — 03 —
5. przekazanie danych

— ... na nowe zaprogramowanie nie ma już czasu! — Billy słuchał Feliksa jednym uchem. Na ekranie zapłonęła kolejna informacja:

00 : 00 : 00

A niżej, na czerwono:

00 : 00 : 00

Z ciemności szybu wyłonił się Maks, majacząc na tle fioletowych świateł jak mara.

— Co się stało?

Zasapany opadł na fotel i nałożył słuchawki.

— Ręczne włączenie promieniowania — wyjaśnił zwięźle Billy. — Dane są już wprowadzone. — W dalszym ciągu wystukiwał coś na klawiszach.

Maks przesunął przełącznik.

— Masz teraz na ekranie teren promieniowania...

Kontynent afrykański. Punkt świetlny nad Południowym Jemenem. Morze Czerwone.

Podniecony głos Feliksa:

— ... chodzi tu o obszar na Oceanie Indyjskim... podane są dokładne współrzędne docelowe. Kiedy Billy włączy sterowanie ręczne, uruchom natychmiast promienniki. Wiem, że jest mało czasu...

Pewnie, że mało! Cholera! Cholera!

Billy odniósł wrażenie, jakby pękała mu czaszka. W skroniach czuł bezustanne dudnienie. Kiedy wreszcie zakończy się ten cholerny alarm? Co za hałas! Boże!

— ... jestem jednak pewien, że dacie sobie radę, o ile się pospieszycie! — wołał dalej Feliks Kronenberg.

Potem znowu:

— Maks!

Maks milczał.

— Maks, zrozumiałeś, co mówiłem?

Billy miał już na ekranie cel. Poderwał się z miejsca. Ekran boczny ukazywał Centralną Stację Naziemną. Jakiś krępy, przysadzisty mężczyzna wykrzykiwał coś do mikrofonu. Ten facet będzie niedługo całkiem łysy — pomyślał Billy.

Nie był to człowiek budzący respekt.

W następnej chwili Billy poczuł przeraźliwy ból i wykrzyknął. Coś ukuło go w nogę. Ból stał się mocniejszy i... Nie było na to czasu! Skakał na jednej nodze, klnąc bezradnie.

— Panie Marek! — krzyknął łysy, a jego brzuch, uwydatniający się nad obcisłymi spodniami, podrygiwał śmiesznie. — Panie Marek, czy jest pan gotów?

Ale Marek nie był gotów! Jak ogłuszony siedział przed przyrządami, świetlne refleksy przelatowały po jego twarzy — twarzy postarzałej raptem o kilka lat, pełnej cieni i zmarszczek. Powoli odchylił się w fotelu do tyłu, jak gdyby to wszystko nie obchodziło go nic a nic.

— Dlaczego poddajemy ten obszar promieniowaniu? — zainteresował się.

— Teraz nie ma czasu na pogawędki — odparła ważna osobistość z rozwijającą się łysiną i podrygującym brzuchem. Głos był ostry. Brzmiała w nim wyraźnie nuta groźby.

— Panie Marek! Odliczanie w toku. Wie pan chyba, co należy robić w takiej chwili!

Jadowite karzelki tryskają jadem, tak już jest! Maks, nie stój tak, do cholery — pomyślał Billy. Nie rzekł ani słowa.

— Co z Hayesem? Czy jest gotów?

Na ekranie pojawiła się kolejna informacja — niesamowicie szybko. Wszystko odbywało się tu o wiele za szybko!

00 : 00 : 29

00 : 00 : 28

00 : 00 : 27

Maks nie odpowiadał.

Billy podbiegł do bocznego segmentu komputera, ustawił kod, wprowadził nowe dane i wcisnął klawisz z napisem RĘCZNE. Zabłyśnął czerwony sygnał:

GOTÓW

— Jeszcze sekunda! — odparł Billy ważnej osobistości w kierownictwie programowym. Potem rzucił Maksowi:

— Maks, już pora!

Jeszcze 25 sekund...

Billy wrócił pędem do swego segmentu. Znowu poczuł kłujący ból w nodze, ale przed zbadaniem jego przyczyny nałożył na uszy słuchawki.

— O. K! Marek, proszę wysunąć promienniki! — Maks nachylił się powoli do przodu, jego prawa dłoń zawisła w powietrzu, drżące palce zatrzymały się tuż przed pokrętle regulatora, spoczęły na nim... i znieruchomiały.

Sygnal alarmowy umilkł. Billy zdał sobie z tego sprawę dopiero później. Jak urzeczony wpatrywał się w Maksa, przyciskając dłoń do obolałej stopy: tam, gdzie wbiły się pinezki, na które nadepnął. Ranka krwawiła lekko. Wyglądała niegroźnie, ale ból był dotkliwy.

Maks...! — pomyślał raczej, niż wykrzyknął.

— Feliksie... — szept Maksa brzmiał groźnie. — Najpierw muszę otrzymać odpowiedź. Dlaczego ten obszar ma być poddany promieniowaniu?

W centrali na Ziemi zapanowało poruszenie. Ważna osobistość odwróciła się gwałtownie, oczy skryte za grubymi szklami okularów skierowały się wprost na kamerę.

Głos Feliksa zdradzał podniecenie:

— Maks, nie pogarszaj teraz sytuacji!

Na ekranie widniały liczby:

00 : 00 : 20

00 : 00 : 19

00 : 00 : 18

Czerwień napisów stawała się coraz bardziej jaskrawa i intensywna, pulsowała w półmroku centrali, w pełnej napięcia ciszy.

Jeszcze 18 sekund! Jeszcze 17!

I znowu głos Feliksa, zduszony, wściekły, pełen rozpacz:

— Otwórz promienniki! Wyjaśnię ci wszystko później!

— Panie Marek! — syczał jadowity karzełek. — To jest rozkaz!

— 15 sekund!

Billy poderwał się z miejsca, pokuśtykał do Maksa.

— Do diabła, czyś ty zupełnie oszalał?

Przejął jego czynności. Uruchomił mechanizm, wysunął promienniki.

Maks siedział przed aparaturą jak skamieniały; wydawało się, że przestał oddychać, że już nie żyje.

— Jeszcze 10 sekund!

Na ekranie:

00 : 00 : 09

00 : 00 : 08

00 : 00 : 07

— Pierwszy kompleks promienników wysunięty — zarejestrował drugi rozmówca z bazy. Ważny, jadowity karzełek zniknął na razie z ekranu.

Głos odezwał się ponownie:

— Drugi kompleks promienników wysunięty.

Na ekranie:

00 : 00 : 01

00 : 00 : 00

A potem czerwonymi literami:

START

Na obu bocznych ekranach ukazały się olbrzymie, szaro-niebiesko-szare tarcze pro-

mienników: wysunięte, ziejące złowieszczo. Donośny pisk.

Napięcie w Billym nie ustępowało, nie był nawet w stanie zaczerpnąć tchu. Było jak gęsta mgła zbierająca się w grube, szare kłęby coraz większe i większe, dławiące swym ciężarem wszystko co żywe.

— A więc jednak... promieniowanie trwa...

Na ekranie pojawił się niebieski napis:

PROMIENIOWANIE W TOKU:

00 : 00 : 01

00 : 00 : 02

00 : 00 : 03

Billy przechylił się w fotelu do tyłu. Uczynił to tak gwałtownie, że omal się nie przewrócił. Ściągnął z głowy słuchawki i zawiesił je na szyi. Na bocznym ekranie małe, czerwone czworokąty połączyły się w jedną figurę, pisk nie ustawał. Billy oparł głowę na dłoniach i — omijając wzrokiem Maksa — zapatrzył się w ekran.

Zdawał sobie doskonale sprawę z tego, co się teraz działo. Promieniowanie mikrofalowe. Emitowanie ciepła. Zastosowanie wariantu CORA, jak nazywano to czasem.

Ale skąd to podniecenie? Po co ten cholerny pośpiech? Do tej pory każde próbne promieniowanie zapowiadano odpowiednio wcześniej. A dziś? Dziś przeprowadzono by je potajemnie, gdyby nie zawiódł automatyczny system sterujący w sektorze amerykańskim. A więc znowu zabawa w tajemnicę! Gdzie sens i cel tego wszystkiego? Nie mógł tego odgadnąć. Jeszcze nie. Zresztą w tej chwili zależało mu najbardziej na tym, żeby Maks nie zauważył, że on wiedział o tajnych przygotowaniach, że to on właśnie nakrył Amerykanom stół do tej tajnej uczty. Szkoda, że nie porozmawiałem z nim wcześniej! Po prostu w jakimś momencie przestał o tym myśleć, zapomniał. Ta gra... Chris... Pozorny spokój wieczoru... Zapomniał o wszystkim innym, bo chciał zapomnieć! Do diabła!

W sekcji kontroli zapanowała głucha cisza; cisza, którą mógł zmącić jeden jedyny rozkaz Kierownictwa Programowego. Znowu zajął się swą raną. Cisza trwała. Maks w dalszym ciągu tkwił w bezruchu.

Z kranika wytrysnęła czarna, gorąca kawa, zapelniając najpierw jeden tekturowy kubek, potem drugi. Billy spoglądał nie widzącymi oczami na jasnobrązową pianę. Do jego świadomości dochodziły jedynie głosy, które słyszał dzięki włączonej na pokładzie instalacji:

— Czas promieniowania: 27 minut 40 sekund. Wartość promieniowania: 54—B—7.

A więc już od 27 minut i 40 sekund emitowano z kosmosu gorące promienie, śląc je w formacje chmur... rozkładając je... rozrywając... Bezgłośnie. Ukradkiem. Zauważalne będą dopiero skutki tego działania.

— Redukujemy indeks o pięć jednostek — rozległ się w radio jakiś męski, rzeczowy głos.

Drugi głos potwierdził:

— Indeks zredukowany o pięć jednostek.

Był to jeden z najdłuższych cykli promieniowania. Cała wieczność. I właśnie nad tym obszarem... Dlaczego?

Z zamyślenia wyrwał go donośny brzęczyk. Wyłączyła się kuchenka. Wziął kubki, wyszedł z kuchni, wdrapał się po drabinie na górę. Ostrożnie, aby nie rozlać kawy. Czuł w dłoniach jej ciepło i to sprawiło mu nieoczekiwaną ulgę.

Maks nadal siedział w fotelu z głową odchyloną do tyłu, niemal odprężony. Odizolował się od bieżących wydarzeń, był biernym obserwatorem. Billy podszedł do niego utykając na jedną nogę.

— Maks, twoja kawa...

Maks wziął od niego kubek. Milczał. Jego „dzięki” zabrzmiało dopiero po dłuższej chwili. W dalszym ciągu wpatrywał się w ekran.

Co się stanie, jeżeli czas promieniowania zostanie przedłużony ponad dozwoloną normę? Śmierć i zniszczenie.

Billy odwrócił się. W tym momencie i on pojął... Przynajmniej konsekwencje, mogące wyniknąć z faktu napromieniowania wydzielonego terenu. Widział już zniekształcone zwłoki ofiar na pół pokryte miękką, moką ziemią. Tajfuny... huragany... orkany... Ale dlaczego? W całej tej operacji nie mógł dopatrzeć się żadnego sensu...

Usiadł, zakołysał kubkiem i wypił kawę. Czarny płyn przepłynął przez gardło. Rozgrzał go, rozniósł po całym ciele rozkoszne ciepło, usuwając zmęczenie i niesmak z ust. Billy odwrócił się i spojrzał na plecy Maksa.

W centrali słychać było jedynie szum pracującej aparatury i dziwnie zduszone oddechy obu mężczyzn.

Przez radio podano informację:

— Czas promieniowania: 28 minut 30 sekund.

Na ekranie:

00 : 28 : 28

— Redukujemy indeks promieniowania o dalsze cztery jednostki.

— Zrozumiano, zredukować indeks o cztery jednostki.

— Promieniowanie wstępne zredukowane.

Billy odczuwał jakies dziwne zadowolenie, słysząc te głosy — jakby był masochistą. Ale ulgę sprawiało mu jedynie ich brzmienie, a nie to, o czym mówiono. Głosy były świadectwem życia, przerywały dręczącą ciszę. Tylko to liczyło się teraz.

— Przerwać promieniowanie przy stanie 30.00.

Na ekranie komputera pojawił się nowy kod:

35	CO	C3	F3	CO	C3
CO	C3	AC	CO	C3	1E
C3	73	C5	C5	B2	C5
OB	22	D2	OO	EB	22
CO	E3	7B	32	D4	OO
OO	19	74	23	66	6F
CO	19	7E	23	66	6F
2A	D2	CO	E3	C9	C5
C3	ES	D1	17	C2	A3

Kolumny przesuwają się ku górze.

Na ekranie:

00 : 29 : 57

00 : 29 : 58

00 : 29 : 59

00 : 30 : 00

— Przerwać promieniowanie.

Billy odetchnął głęboko, dopił resztkę kawy i odstawił kubek.

— Nareszcie!

Głos z bazy programowej przypominał:

— Zdezaktywizować reaktor!

Wartości wskazane były coraz niższe: 456; 430; 300; 190.

— Wprowadzić promienniki mikrofalowe.

— Wykonano.

— Promieniowanie wstępne zakończone, wszystkie automatyczne systemy sterujące wyłączone.

Billy obserwował cały proces na ekranie zewnętrznym.

— Jazda, jazda, pospieszcie się...

Promienniki chowały się w swoich schronach. Billy odniósł wrażenie, że odbywa się to zbyt opieszale.

— Kompleksy promienników jeden i dwa wsunięte.

Jak miał nazwać to, co odczuwał? Ulgą, że koszmar minął? Ale... czy minął naprawdę? Promienniki skryły się już całkowicie pod metalową powłoką stacji.

Billy rozmyślał o zniszczeniach dokonanych na Ziemi... O śmierci. Wyobraźnia podsuwała mu obraz całych gór zwłok, mógł nawet poczuć smród rozkładających się ciał... Było to najdłuższe promieniowanie ze wszystkich, które miały miejsce do tej pory. To tylko twoja fantazja, Billy... Dzięki Bogu nie odbywa się to tak szybko! Jednak poczuł ulgę. Zakręcił się na fotelu.

— Floryda Arklab, tu baza programowa. Dziękujemy wam za udział w akcji i życzymy dobrej nocy.

Tak jak gdyby nic się nie wydarzyło! I głos Feliksa Kronenberga:

— Słyszeliście? A więc kładźcie się teraz spać, rano nawiążemy z wami kontakt.

Billy znowu utkwiał wzrok w plecach Maksa. Wcale nie odczuwał ulgi, jakkolwiek akcja nie spowodowała ofiar śmiertelnych. Jeszcze nie. A właściwie: prawdopodobnie jeszcze nie. Dziwne uczucie powróciło. Uparcie, po kryjomu. To nie takie proste, Billy. Żeby spowodować orkan, trzeba dysponować większą mocą... Widzisz wszystko w zbyt czarnych kolorach, Hayes. To nie film katastroficzny... W końcu ci na dole wiedzą przecież, co robią. Czy aby na pewno? Właśnie oni, ci faceci za zielonym stołem? Czy kiedykolwiek udało im się ogarnąć spojrzeniem wszystko?

Maks chyba też w to nie wierzy. A on jest specjalistą w tych sprawach. Do diabła! A ja nie mogę nawet skryć się za formułką „rozkaz to rozkaz”. Nie potrafię. Teraz już nie. Robiłem to zbyt często, inni też. A teraz, o Boże! Widać, jaki jest tego skutek...

Maks pochylił się do przodu ruchem starego, zmęczonego człowieka.

— Feliksie — powiedział, a w jego głosie zabrzmiała nieprzyjemna nuta groźby. Co to było za promieniowanie?

Sprawa miała wrażenie, jakby działał w transie.

Podjął już decyzję — zrozumiał Billy. Podniósł ręce i podszedł do Maksa. Po prostu po to, aby nie siedzieć bezczynnie, aby móc coś zrobić, pozbyć się wątpliwości.

Feliks Kronenberg zwlekał z odpowiedzią, w końcu odparł głosem zdławionym jakby z bólu:

— Maks, to nie jest teraz istotne. Porozmawiamy o tym bardziej szczegółowo przy innej okazji.

— Feliksie sapnął Maks. — Zapytałem o coś i, do cholery, chcę otrzymać odpowiedź!

— Posłuchaj! Nie powinniście byli zostać w to wplątani... Najlepiej by było, gdybyś zapomniał o wszystkim i przestał zgrywać się na bohatera. Pomyśl tylko, jakie to może zrobić wrażenie na twoim przyszłym pracodawcy!

— Mam to gdzieś? Chcesz mnie szantażować?

— Nie — odparł Feliks. Raptem zrobił się cierpliwy i wyrozumiały. — Chcę tylko ustrzec cię przed pochopnym działaniem.

— Feliksie, wiesz przecież, od jak dawna uczestniczę w naszym programie badawczym — Maks również mówił teraz spokojniej. — Powiedz mi wreszcie, o co tu w ogóle chodzi?

W tym momencie kontakt został przerwany. Szum. Po chwili odezwał się chłodny, bardzo poważny głos:

— Bardzo mi przykro, musiałem przerwać połączenie.

— Przerwali! — sapnął Maks.

— Człowieku, to przecież logiczne! — tłumaczył Billy, ale tym razem kosztowało go wiele wysiłku, aby jego głos zabrzmiał swobodnie. — Przecież oni też chcą wreszcie położyć

się spać.

— Sam nie wierzysz w to, co mówisz — zachichotał w nim jakiś złośliwy głos. Ostry dźwięk wyrwał go z rozmyślań. Podszedł do Maksa, poczuł jego desperację i wzburzenie.

— Tu kierownictwo programu CORA...

— Coś tu nie gra! — mruknął Maks.

— ... słyszałem pana rozmowę z Feliksem Kronenbergiem. Tymczasowo zostaje pan zawieszony we wszystkich swoich funkcjach, jak również pozbawiony dostępu do rezultatów badań i wszelkich danych. Żądam, aby zapomniał pan o wydarzeniach tej nocy. Spoczywa na panu obowiązek dotrzymania tajemnicy...

Billy położył rękę na ramieniu Maksa i zaciskał palce coraz mocniej. Maks tkwił w bezruchu.

— ... Nie było żadnego promieniowania. Radziłbym panu zastosować się do tego rozkazu!

Na ekranie widoczny był znowu ten prawie łysy waśniak z podrygującym brzuchem. Jeszcze długo po przerwaniu łączności Billy i Maks wpatrywali się w ciemny ekran.

— Nie pozwolę, żeby rozkazywał mi taki bubek! Feliksie!

Żadnej odpowiedzi. Billy był zaszokowany. W jego umyśle kłębiły się wątpliwości. Skąd tak gwałtowna reakcja? Tylko dlatego, że Maks odważył się zapytać o sens i cel całej operacji? Do diabła! Przecież Maks kierował wszystkimi ostatnimi akcjami CORA jako naukowiec ze strony europejskiej. A więc? Co się teraz zmieniło? Jedyne cel ćwiczeń.

I morał:

„Jeżeli z armat strzela się do wróbli, ma to swoją wymowę”.

Maks stał się nagle zbyt cenny. Stanowił jedynie głupi, drobny czynnik ryzyka. Ale na czym to polega?

A Feliks? Na jakiej pozycji w tej cholernej grze stoi Kronenberg? Po czyjej jest stronie? Oczywiście, Feliks musi się liczyć z realiami... Ostatecznie nie siedzi tam na dole sam... A on, kapitan Billy Hayes? Przecież i on znalazł się po stronie spiskujących przeciw Maksowi... Wprowadził do reaktora kasetę sterującą, potajemnie podłączył segment B... Ale przy tym wszystkim martwił się o Maksa. Myślał o nim dużo, zbyt dużo. To odwróciło jego uwagę od właściwego problemu, od sedna sprawy. Boże, przecież mógł odgadnąć przebieg wydarzeń, to było tak przejrzyste... Jednak on tego nie widział. Albo nie chciał widzieć.

Maks miał swoje problemy... Z Ewą, z własnym życiem. Nie potrafił już uporać się z nią, z pracą, ze swoją egzystencją — a teraz jeszcze z tą sprawą. Powinienem być z nim rozmówić. Zaufać mu. Ale co dalej? Co by to zmieniło?

Czy dezaktywizowałby segment B? Nie było do tego żadnego powodu. Dopiero teraz. I co? Czy wyłączy sektor amerykański? Nie. Tkwiło w nim coś w rodzaju cichego poczucia przynależności: USA to jego kraj. Czy musi zdawać sobie sprawę z wszystkiego, co wymędrkują tamci waśniacy? Wcale nie.

Nie był też obrażony, że potraktowali go jak Maksa nieufnie, nie wtajemniczając go w swoje sprawy. Przede wszystkim z tą jowialną uprzejmością. Czy naprawdę nie uraziło go to wszystko? Jak silne było w nim to poczucie odpowiedzialności za ojczyznę? Od jakiego momentu powinna włączyć się jego odwaga cywilna? Po to, by zdobył się na odmowę wykonania rozkazu? Od kiedy należy zacząć się liczyć z własnym sumieniem? Z własnym, chociaż może naiwnym, poczuciem sprawiedliwości?

Maks zachowywał się nadal jak po silnym ciosie w głowę. Bezmyślnie wpatrywał się w ekran, w odbicie swojej bladej, pociągłej twarzy. I nadal trwał w odpychającym milczeniu, podkreślającym rozdźwięk pomiędzy nimi. Po chwili przesunął się do przodu i nastawił łączność z bazą programową.

Billy zrezygnowany pokuśtykał do drabinki. Czy nie byłoby lepiej, gdyby powstrzymał Maksa przed wypowiedzeniem tego, co myśli? Czy nie powinien interweniować? Nie zrobił

tego. Maks chciał być sam, on też. Nie potrafił dojść do ładu z sobą i z aktualną sytuacją, tak jak i Maks. Maks szalał. Jemu natomiast potrzebny był spokój. Odrobina dystansu. Musiał pomyśleć.

Maks pozostał w sekcji kontroli. Kiedy Billy wyszedł, on nie podniósł nawet głowy. Wrogowie czaili się wszędzie, na każdym kroku. A on... on był Don Kiszotem, który musi walczyć z wiatrakami. Który to już raz?

Trudno było wytrzymać to dłużej. Musi coś zrobić, byle co! Jeżeli dalej będzie tak leżał otoczony przygniatającą, duszną, niemal namacalną ciemnością, wpatrzony w czerń nocy, dręczony setkami, tysiącami myśli i wyrzutami sumienia, to oszaleje w końcu.

Po co to wszystko? Po co to promieniowanie? Po co? Pytania powracały do niego natrętnie, a on nie potrafił reagować inaczej: po prostu leżał sztywny jak kłoda i rozmyślał. Wbrew zdrowemu rozsądkowi. To było silniejsze od niego. Wiedział, że znajduje się już blisko rozwiązania zagadki, ale przedtem musiał wyjaśnić jeszcze kilka wątpliwości.

Maks wyklócał się w dalszym ciągu z kontrolą naziemną. Jego głos był ciągiem dźwięków, odbieranych jedynie przez najdalszy zakątek świadomości Billy'ego.

A on, Billy, jeszcze nie potrafił dopasować ostatnich elementów łamigłówni. Ofiarą promieniowania padł obszar nad Południowym Jemenem; olbrzymi teren wychodzący poza granice Arabii Saudyjskiej i jeszcze dalej, aż do Morza Czerwonego.

Ze stolicy Arabii Saudyjskiej, Riadu, nie napływały żadne wieści na temat losów wielu obywateli amerykańskich. Czyżby zostali zatrzymani jako zakładnicy? Czyżby powstańcy chcieli w ten sposób powstrzymać Stany Zjednoczone przed ingerencją zbrojną? Takiej ewentualności nie można było wykluczyć.

Ale w takim razie po co to promieniowanie? Co mogły zyskać Stany Zjednoczone przez tę akcję, gdyby rzeczywiście zatrzymano zakładników?

Stałe, nadmierne promieniowanie mogło spowodować kataklizm niesłychanych rozmiarów. Owszem, ale przecież to by nic nie dało uwięzionym tam w dole Amerykanom! Szantaż? Uwolnicie zakładników albo sprawimy wam kataklizm? Bzdura! Nawet takie supermocarstwo jak USA nie mogłoby sobie na to pozwolić; ani ze względu na swoich zachodnich sojuszników, ani ze względu na Rosjan.

A więc co?

Poderwał się, zwiesił nogi z koi i wstał. Ubierając koszulę poczuł, że klei mu się do pleców. Pocił się tak obficie, jak gdyby siedział na piecu. Co się dzieje na Ziemi? Co tam jest grane? Przeklinał w tym momencie swoją samotną wyspę w kosmosie, gdzie żył z dala od wszelkich wydarzeń, odizolowany... Ale z drugiej strony: czy mógłby coś zmienić? Ludność cywilna na Ziemi była z pewnością jeszcze mniej zorientowana niż on tu, na górze.

— Maks! — zawołał do przyjaciela. — Nie masz jeszcze dosyć? Uspokój się wreszcie i zejdź tu do mnie!

Uspokoić się! Łatwo tak mówić! On sam nie potrafił zapanować nad nerwami. Jak podrażniony tygrys krążył po kabinie i wiedział, że musi coś zrobić. I to już...

Założył skarpetki i buty treningowe, stwierdził z ulgą, że rana na stopie nie boli go już tak dokuczliwie, chwycił stojącą obok koi lekką skrzynkę metalową i zaniósł ją do pomieszczenia bagażowego. Ostatnio obiecywał sobie kilkakrotnie, że spakuje swoje rzeczy. Przynajmniej te, których już nie potrzebuje. Tak, żeby wystarczyło wrzucić do skrzyni resztę, kiedy nadejdzie wreszcie ten wielki dzień! Teraz nadarzyła się okazja, aby zrealizować zamierzenia.

Wszedł na górę, przecisnął się przez wąski korytarz zawalony wszystkim, co od tygodni wyrzucali z dołu: ubraniami, puszkami po piwie, narzędziami, ręcznikami, papierami — i zawlókł skrzynię w kąt.

Wzdrygnął się na ostry dźwięk brzęczyka. Nadstawił ucha. Czyżby Maks? Na dole

panowała cisza. Nie... Rozległ się plusk wody. A więc nareszcie dał sobie spokój, przestał wyklócać się z tymi tępakami i wszedł pod natrysk. W tej sytuacji nie mogło mu to już zaszkodzić.

Billy drgnął, przynaglany natarczywym sygnałem.

Do cholery, odezwij się wreszcie! To rozmowa służbowa — przemknęło mu przez myśl. Włączył radio.

Maks zakręcił wodę, wytarł włosy do sucha i wtedy właśnie usłyszał sygnał. Zaintrygowany przebiegł przez wąski korytarz i zajrzał do ciemnego pomieszczenia bagażowego. Billy był tam i stamtąd właśnie rozlegał się sygnał.

Włączył się w linię rozmowy. Znowu ogarnęło go jakieś niedobre przeczucie. Nie ufał Billy'emu. Nie ufał im wszystkim. Coś złego wisiało w powietrzu. Zresztą to on sam stworzył podstawę do tego. Swoimi badaniami. I odstawiono go na boczny tor.

— ... a teraz posłuchaj — mówił właśnie Billy. — Nie chcę wiedzieć nic o tej sprawie. Czy wy, tam w dole, nie rozumiecie?

Maks spojrział w górę, jego twarz wykrzywił grymas bóleści. Billy, jak głęboko tkwisz w tym wszystkim? Co masz z tym wspólnego? Jesteś przecież moim przyjacielem...

Billy nie zachowywał się spokojnie. Przesuwał skrzynie to do przodu, to do tyłu, ustawiał je jedną na drugiej. Wyładowywał się. Zawsze reagował w ten sposób, kiedy napięcie wewnętrzne stawało się nie do wytrzymania.

— Przecież chcemy tylko, żebyś miał go na oku. Wystarczy, że zameldujesz nam, kiedy zaczniesz się czymś za bardzo interesować. Wiesz chyba, o co mi chodzi...

Głos Feliksa! Feliks Kronenberg to jasne!

— Przestań wreszcie! — krzyknął Billy.

— Mam nadzieję, że nie zamierzasz sprawić nam trudności. Jeszcze ty! Tego by tylko brakowało!

— Nie wiem w ogóle, o co chodzi, i nie chcę wiedzieć! Spakuję nasze rzeczy, a potem... do domu!

— Nie wiesz chyba, co się na dole dzieje od czasu tego promieniowania! Przecież nie jesteśmy tu wyłącznymi gospodarzami!

— Zdążyłem to zauważyć — odparł Billy zgryźliwie. — A teraz muszę już kończyć, Feliksie. Koniec, słyszysz!?

Wzgardliwie i jakby z wściekłością Billy cisnął ubrania do skrzyni.

— A jednak doprowadzę ten chlew do porządku! — odgrażał się. Potrącił ustawiony już stos skrzyń, stos przechylił się na bok jakby w zwolnionym tempie, przywodząc na myśl krzywą wieżę w Pizie... i z ogłuszającym łoskotem runął na podłogę. Billy potrząsnął głową z rozpaczą:

— Coś podobnego! jęknął. — Cholerne głównie! Niech to wszyscy diabli!

Wyczerpany opadł na rumowisko i wytarł pot z czoła. Ręce mu drżały, nie nadawał się teraz do niczego. Nie chciało mu się nawet myśleć. Odczuł raptem ochotę, aby możliwie jak najszybciej opuścić tę samotną wyspę w kosmosie. Nigdy jeszcze do tej pory nie uciekał przed czymkolwiek, ale w tym wypadku... W tym konkretnym wypadku zapragnął tak właśnie postąpić. Nie wiedział nawet dlaczego.

Wiedział jednak, co się wydarzyło. Wiedział też, jak daleko tamci są gotowi posunąć się, aby urzeczywistnić swoje podejrzone plany. Chcieli nawet zrobić z niego szpicla. Nędznego szpicla! Szpiegować Maksa! Jakie to proste dla nich, bez problemu! Ale takie coś to nie ze mną, o nie!

Feliksie Kronenberg, niczego nie nauczyły cię ani ta cholerna afery Watergate, ani inne śmieszne historie, które zdarzały się w dziejach naszego wspaniałego kraju!

Z dołu rozległ się głos Maksa:

— Billy, gdzie położyłeś moje rzeczy?

— Spakowałem je, cóż innego mogłem z nimi zrobić? — odkrzyknął.
— Czy to znaczy, że mam tu ganiać z gołym tyłkiem? Zrzuć mi coś, żebym mógł się ubrać!

Jego głos zdradzał, jak bardzo był rozdrażniony.

Potem, kiedy Billy wziął już natrysk i opowiedział wszystko Maksowi, dodał:

— Przecież nie mogłem przewidzieć, o co im chodzi, prawda?

— W każdym razie nic mi nie mówiłeś... — Maks z wyrzutem spojrzął na Billy'ego. Hayes przezornie skrył się pod ręcznikiem i starannie, bardzo długo wycierał włosy.

— Ani o tym, że zamierzasz wprowadzić do reaktora moduł sterujący, ani o reaktywaniu sektora amerykańskiego! Zupełnie nic!

— Nic nie mówiłem — powtórzył z przekorą Billy.

— Zresztą nie myśl, że jestem głuchy. Feliks mówił wystarczająco głośno... Masz nie spuszczać mnie z oczu — ubierał się gwałtownie, jakby z pasją.

— A więc wiesz też chyba, co mu odpowiedziałem — odparł Billy, wychodząc z kabiny.

— Twoje szczęście!

— Boże, aleś ty dowcipny!

Ociekając wodą, z ręcznikiem owiniętym wokół głowy podszedł do swojej koi, wytarł się dokładnie i założył ubranie.

— Nie jestem na ciebie — zły wyjaśnił nieoczekiwanie Maks po dłuższej chwili milczenia. — Sprawa jest zbyt poważna — urwał, oparł się o automat kuchenny i opuścił wzrok na czubki butów.

Billy odgarnął z czoła jakiś niesforny lok, po czym zadał decydujące pytanie:

— Co zrobimy?

— Chciałbym wiedzieć, dlaczego napromieniowano akurat ten obszar! — Wstał. — Musieli mieć jakieś ważne powody, skoro zaryzykowali tak intensywne promieniowanie cieplne.

Billy skinął głową. On również doszedł już do takiego wniosku.

— Tego typu operacje mogą spowodować kataklizmy — dodał ponuro Maks.

— Chyba zwróciłeś im na to uwagę?

Maks zaśmiał się posepnie.

— Tak, oczywiście, zrobiłem im mały wykład naukowy na temat ich nieodpowiedzialnego postępowania — w jego głos wkradła się nuta goryczy. Billy spojrzął na niego zaskoczony.

— Jak myślisz, w jaki sposób zareagowali na to ci panowie z Ziemi? — zapytał Maks.

— Billy nachylił się ku niemu.

— No, jak?

— Wszczęli przeciw mnie postępowanie dyscyplinarne — powiedział to głucho, beznamiętnie. Jego twarz pozostała nieruchoma. Jedyne dłonie zacisnęły się w pięści; gest wyrażający całkowitą bezsilność.

— Tak, postępowanie dyscyplinarne — powtórzył wykrzywiając usta. W jego oczach zabłyśły ogniki.

Billy przełknął ślinę. Poczuł przenikający go dreszcz i zawrót głowy.

— To niemożliwe — mruknął. — Co się dzieje od trzech dni? Czy oni oszaleli? A co na to instrukcja Europejskiej Komisji Podróży Międzyplanetarnych?

Maks powstrzymał go szybkim ruchem ręki i potrząsnął głową.

— Już ją przekartkowałem... To nie ma najmniejszego sensu. — Zawahał się, po czym dodał cicho: — Zresztą już jutro rano zostaniemy zabrani na Ziemię. Karnie.

Billy drgnął.

— Coś ty powiedział? wykrzyknął. — Powtórz to jeszcze raz!

Ale Maks nie powtórzył, odwrócił się po prostu i przeszedł do Sekcji Kontroli. Każde dalsze słowo było zbędne. Kości zostały rzucone, jak trafnie głosiło znane porzekadło. A w tym przypadku oznaczało to, że był skończony. Nie istniało już nic, co mógłby rzucić na drugą szalę wagi; nawet jego kwalifikacje zawodowe. Fizyków było niczym ziaren piasku nad morzem, a siedemdziesiąt procent z nich czekało na swą wielką szansę móc zająć się takim projektem. Wielu było gotowych nałożyć na oczy wygodne klapki, aby tylko nie stracić tej okazji. Jego nikt już nie potrzebował, już nie. Zrobił to, co do niego należało, teraz inni mogli podążać drogą, którą on uTORował. Był na tyle zuchwały, że zadał kilka pytań. Na tyle głupi, że kierował się sumieniem.

Oczywiście, wolno im było mieć sumienie. I — oczywiście — w każdym kraju oraz na pokładzie Florydy Arklab istniała wolność przekonań. Tylko... to nie powinno przeszkadzać w sumiennym wykonywaniu zadań. Istniała drobna różnica między sumieniem osobistym a sumiennym wykonywaniem zadań.

Wiedział, że wyniki jego badań mogą być wykorzystane nie tylko w celach pokojowych, jakkolwiek miał nadzieję, że do tego nie dojdzie. Był romantyczny, ale nie naiwny. Ile przykładów było już w przeszłości? Einstein... tak, przede wszystkim Einstein. Nic na to nie mógł poradzić: za każdym razem, kiedy myślał o nim, kiedy spoglądał na jego zdjęcie, przypominali mu się zabiści z Hiroszimy.

Broń, którą on dał im do ręki, była jeszcze groźniejsza, jeżeli posługiwano się nią odpowiednio konsekwentnie i bez skrupułów. Była niebezpieczna, choć nie unicestwiała całego świata. Tymczasem on nie zrobił do tej pory nic, aby się upewnić, że owa broń, która właściwie nie miała być bronią, nie zostanie użyta. Ta świadomość dręczyła go teraz najbardziej. Nie był naiwny, nie! Tylko przespał kilka ostatnich tygodni. Albo też był ślepy, nie dostrzegał faktów. Dlatego, że chciał doprowadzić swój projekt do zadowalającego zakończenia. Sukces. Satysfakcja. Owoce jego badań. Ta ambicja...

Może myślał, że ma jeszcze dosyć czasu? Pomylił się. I to jak straszliwie. Tak, jak już wielu naukowców przed nim. Tak jak pomylił się jeszcze wielu naukowców w przyszłości. Zawsze kiedy chodziło o militarne wykorzystanie jakiegoś pomysłu, pewni panowie zaczęli działać szybko. Bardzo szybko... Nie tak, jak w przypadku pokojowego wykorzystywania tych projektów.

Teraz, kiedy siedział w ciemnej sali Sekcji Kontroli spoglądając na ślepe ekrany, gdy dręczyły go wyrzuty sumienia i poczucie wstrętu wobec samego siebie, zaczął się zastanawiać, czy nie przecenił swojego znaczenia. Czy nie liczył na wdzięczność tamtych panów za jego pracę, na ich zgodę na jego dalsze eksperymenty? Nie. To przeszło mu już dawno. Dokładnie mówiąc: wtedy, gdy uświadomił sobie, iż wiedząc o jego zamiarze przeniesienia się do Bazy Programowej, każą mu czekać na swoją zgodę, że odwołują decyzję w nieskończoność:

Na pulpicie zapłonęła pomarańczowa lampka.

ROZMOWA PRYWATNA

Potwierdził gotowość przez dotknięcie sensora. Program video był oczywiście przeznaczony dla niego. Od Ewy. Potrafił zapanować nad sobą, zachować spokój, rezerwę. Zarejestrował nawet w duszy cichą radość — i nadzieję.

Wcisnął klawisz.

Środkowy ekran zajaśniał błękitnymi smugami, pierzchła gdzieś ciemność. Utkwił wzrok w jej twarzy. Na ekranie była jakaś zmieniona...

Za każdym razem odkrywał to na nowo. Obraz, jaki nosił we wspomnieniach, odbiegał od rzeczywistości. Tej ekranowej rzeczywistości. Słyszał jej powitanie, ale nie docierało ono do jego świadomości. A potem:

— ... nie rozumiem, dlaczego próbujesz wzbudzić we mnie poczucie winy.

Jego nadzieja prysła jak bańka mydlana. Dosyć szybko przeszła do właściwego tematu rozmowy. To rozumiała. Dla nich obojga czas frazesów minął już dawno. To również było częścią rzeczywistości.

— ... jedno z nas istotnie powinno zrezygnować z pracy, masz rację — mówiła dalej, a on cieszył się z brzmienia jej czystego, silnego głosu. Dopiero teraz przejrzał na oczy, dopiero teraz widział jej twarz tak, jak prezentowała się na ekranie: łagodna, a jednak o ostrych rysach. Ewa nie wiodła życia kury domowej, była naukowcem, astronautą. Tak jak on wykonywała swoje obowiązki zawodowe. Od niedawna miała krótko przystryżone włosy, miękko opadające na czoło i tworzące czarną linię nad równie ciemnymi brwiami. Oczy wydawały się dziś obce. Opanowana, jakkolwiek z trudem — stwierdził w duchu. Jej wargi były pełne i miękkie. Poruszały się, czasem pojawiał się między nimi czubek języka, jakby musiał najpierw utorować drogę słowom, które Ewa wypowiadała. Smutny i zarazem zdecydowany grymas ust trochę zacierał ich miękkość. Nie spoglądała w kamerę, trzymała głowę nieco pochyloną. Tak, jakby przez cały czas czytała przygotowany tekst. Mimo woli Maksowi przyszedł na myśl spiker telewizyjny, którego widział wczoraj.

Uświadomił sobie, że niemal nie słyszy tego, co mówi Ewa.

— ... jestem trochę zaskoczona, że stawiasz mnie wobec faktów dokonanych...

Nie mógł znieść już dłużej biernego siedzenia przed ekranem i przysłuchiwania się jej słowom. Jakaś niewidzialna siła poderwała go z miejsca; niespokojnie zaczął krążyć przed ekranem, tam i z powrotem.

— ... powinniśmy przedtem o tym porozmawiać. Czy pomyślałeś, jak byłbyś sfrustrowany, gdybyś miesiąc po miesiącu musiał czekać aż wrócę do domu? Wprawdzie w okresach pomiędzy kolejnymi akcjami bylibyśmy razem...

Nieoczekiwanie uniosła głowę i spojrzała w kamerę szeroko rozwartymi oczami.

— Nie mogę jednak uwierzyć — powiedziała z rozpaczą — że coś się poprawi między nami... — chwila milczenia. Długa chwila milczenia oznaczająca coś ostatecznego. Nie patrzył na ekran. Chodził tam i z powrotem, czując swą samotność i nienawidząc wszystkich za to, że go opuścili... Chociaż... Wiedział, że jest w tym momencie niesprawiedliwy. Przecież to on ułatwił podjęcie takiej decyzji. Nie był człowiekiem łatwym we współżyciu. Ale... był człowiekiem! Potrafił czuć, mieć nadzieję, bać się. Nieraz, a ostatnio coraz częściej, bywał zrozpaczony. Depresja. Rozdźwięk między chęciami a możliwościami stawał się w nim coraz większy. Coraz większy.

— ... w ten sposób — mówiła łagodnie Ewa — i tak nie rozwiążemy naszych problemów.

Problemy..., Zawsze stawały przed nimi jakieś problemy. Sprawy natury finansowej. Problemy wzajemnych stosunków. Dla niego liczyła się przede wszystkim praca. W świecie, w którym żył, liczył się tylko ten, kto odnosił sukcesy... A Ewa...

Usiadł, wyjął zdjęcie z szuflady i zapatrzył się w nie... Byli na nim oni oboje, tylko twarze. Na zdjęciu wszystko było w porządku; było ono pomostem łączącym go z tamtymi dobrymi czasami. Wtedy kochali się. I była to miłość spokojna, nie szalona. Spacer, chodzenie pod rękę, delikatne pieszczoty... Krótki czas. Piękny. Potem jak z rękawa sypnęły się problemy. Tak to nieraz jest... Nie były to problemy nie do rozwiązania. Tysiące innych ludzi miało jeszcze gorsze. A jednak wtedy, mimo problemów, nie odczuwał tak bardzo samotności. Ani nieufności. Ani rozpacz, która zżerała go teraz kawałek po kawałku. Powoli, ale w rosnącym tempie.

— ... wiesz, Maks, przez te wszystkie lata odzwyczailiśmy się od siebie...

Oczywiście. Tak właśnie było — pomyślał, czując narastającą wściekłość. — A jednak, mimo iż zdawaliśmy sobie z tego sprawę, żadne z nas nie uczyniło nic, aby temu zapobiec.

Czego się po niej spodziewał? Jak miała zareagować po jego ostatniej przesyłce?

Powinna była zostać ze mną. Jeszcze ten jeden raz. Ale przecież próbowała już tyle

razy...

Spoglądała teraz prosto w kamerę. Wydawało się, że zna jego myśli. A ten smutek w jej oczach... To był żal po tym, co mogło być, ale się nie stało. Wiedział, co teraz nastąpi. Zawsze się tego obawiał. Wstał, niedbale odrzucił zdjęcie.

— ... wiem, że to okrutne — powiedziała.

Ruszył przed siebie. Byle tylko nie stać w bezruchu. Nie teraz.

— ... ale... może powinniśmy się rozstać...

Powiedziała to z trudem, jej głos był zaledwie tchnieniem, kiedy przedostał się pomiędzy jej niemal zaciśniętymi wargami. Wiedział, że Ewa patrzy nadal prosto w kamerę. Wiedział. Ale nie widział tego.

W sektorze mieszkalnym panował łagodny mrok. Billy leżał na koi, ale nie spał. Maks pomyślał, że przyjaciel czeka na niego, że chce mu coś jeszcze powiedzieć. Bez słowa usiadł na przeciwległej, nie używanej koi.

Billy wyciągnął się wygodnie. Na czole miał czarną przepaskę, która i tak nie zdołała poskromić niesfornej grzywki. Zagryzając wargi wpatrywał się w górną koję.

Zaległa cisza. Żaden z nich nie zaczynał rozmowy, która przedtem zakończyła się w sposób tak szorstki. Przykre uczucie goryczy przygniatało Maksa. Zraniona duma. Ewa opuściła go. Do tego dochodziły pozostałe rozczarowania minionej doby. Nie ufano mu. A kiedy podniósł zuchwale głowę, dano mu kopniaka w tyłek. A teraz... Teraz siedział tu, litując się nad sobą i...

Nie! Nie ma mowy o uzalaniu się nad samym sobą! Musi się przed tym bronić! Raptem odkrył, że potrafi się znowu uśmiechnąć.

— W ogóle nie rozumiem tego wszystkiego — zaczął nieoczekiwanie Billy odwracając nieco głowę, ale nadal nie patrząc na niego.

— Czego nie rozumiesz? — burknął Maks, ogarnięty jeszcze tą szaleńczą uciechą.

— Skąd ten pośpiech? — Billy wpatrywał się znowu w górną koję.

Maks zaczął rozwiązywać buty.

— Chcą się mnie pozbyć — odparł ochryplym głosem. — Tak prędko, jak to tylko możliwe.

— Ale dlaczego?

— Sam chciałbym wiedzieć... Nie wiesz nawet, jak bardzo.

Zdjął buty i nadal siedział na koi. Czuł, jak stopniowo odprężyły się mięśnie. Sprawiało mu to ulgę.

— Może — odezwał się w półmroku Billy — oni będą chcieli przeprowadzić jeszcze jedno promieniowanie... W przeciwnym razie nie wiem, dlaczego miałbym ciebie pilnować.

Był to jedyny logiczny wniosek. Twarz Maksa zaczęła drgać w nerwowym tik, ale nie podniósł głowy. Milczał. Billy sięgnął ręką do wezgowia i zgasił słabe światelko. Ciemność. I ta ciemność wchłaniała go. Maks czuł, jak ciągnie go i wabi: Chodź, chodź... zapomnij o wszystkim... nie myśl już o tym... jest mnóstwo piękniejszych rzeczy, o których warto myśleć...

Ale ta sama ciemność wzbudziła w nim straszliwe podejrzenie. Spostrzegł nagle, że jego twarz, ręce, żołądek — że całe jego ciało dygoce jak w ataku epilepsji. Ogarnął go lęk. Paniczny lęk.

W pewnym momencie drgnął gwałtownie, zaczerpnął tchu, westchnął i wtedy uświadomił sobie, że nadal wpatruje się w Billy'ego, w jego nieforemną postać rozplywającą się w mroku. Regularny oddech. Billy nie czekał na jego odpowiedź. Po prostu zasnął. Może to i lepiej. Przynajmniej dla niego. Billy zniósł to łatwiej niż on. Chyba nie miał problemów, wypełniając sumiennie swoje zadania. A może to tylko pozory? Cóż on wie o nim poza tym,

że jest dla niego idealnym partnerem: zrównoważonym, lojalnym, bez zmiennych nastrojów.

Billy nigdy nie mówił o sobie dużo. Przeważnie przysłuchiwał się tylko. Był wymarzoną słuchaczem. Co prawda, już od dłuższego czasu nie rozmawiali ze sobą tak swobodnie jak wtedy, tuż po przybyciu na pokład Florydy Arklab. Ostatnio ich wzajemny kontakt ograniczał się jedynie do pracy i rutynowych czynności. Maks wiedział, że to przede wszystkim jego wina — teraz po raz pierwszy żałował tego ze szczerego serca. Ma na swoim koncie mnóstwo błędów...

Opadł wygodnie na koję, z której nigdy jeszcze nie korzystał, i skrzyżował dłonie pod głową. Wiedział, że nie będzie mógł zasnąć, nie teraz. Cisza. Cyrkulacja powietrza wytwarzała rześki, miękki powiew muskający mu twarz i rzęsy, ocierający się czasem o brwi i wargi. Wydało mu się nagle, że leży w rzeczce ogrzanej promieniami słońca, zaledwie centymetr pod powierzchnią; wystarczająco głęboko, aby woda obmywała go całego i na tyle płytko, aby czuć podmuch wiatru pieszczącego taflę wody.

Zapieкло go pod powiekami. Zbyt długo i zbyt intensywnie wpatrywał się w ciemność. Nawet tego nie zauważył. Rozmyślał teraz o czymś innym. Pojął nagle, że jest w stanie rozwikłać całą tę zagadkę, o ile zbierze odpowiednią ilość punktów zaczepienia. A więc: co wiedział w tej chwili? Niewiele. Billy wprowadził do reaktora moduł sterujący i zaktywizował sektor B. Dzięki temu Amerykanie uzyskali bezpośrednie i niekontrolowane dojście do HARVEYA i innych urządzeń znajdujących się na pokładzie Florydy Arklab. Potem nastąpiło promieniowanie ciepłe.

Najwięcej trosk przysparzał mu teren, który stał się obiektem promieniowania... Nad Oceanem Indyjskim w listopadzie zwykle powstawały trąby powietrzne. Nikt nie potrafił teraz przewidzieć, jakie konsekwencje mogą jeszcze wyniknąć z faktu tak gigantycznej dawki napromieniowania. Dlaczego napromieniowano ten obszar? Oto kolejne ważne pytanie. Dlaczego? Nie dawało mu to spokoju. Kto ryzykuje tak wiele, musi mieć ważny powód.

Akurat tak blisko tego punktu zapalnego, jakim stała się Arabia Saudyjska... Co jeszcze? Po co to promieniowanie? Co dawał im wywołany w dole kataklizm? Czyżby chodziło po prostu o zemstę?

Cała zagadka była układanką. Kompletny obraz można było uzyskać po zebraniu wszystkich elementów. To logiczne. A więc: jakich elementów jeszcze mu brakuje? Zastanowił się, usiłując nie myśleć o Ewie ani o innych oczekujących go problemach i kłopotach. Jakby z daleka usłyszał melodię wygrywaną przez pozytywkę.

„Jedność i prawo, i wolność dla niemieckiej ojczyzny...” Niemiecka pieśń, trzecia strofa. Wiadomości.

Maks uniósł głowę. Wprawdzie nastawił automatyczny zapis, zapomniał jednak przełączyć również gotowość radiową. Program nocny, pomyślał. W ciemności płynęły miękkie tony pozytywki, potem zabrzmiał sygnał: trzy dźwięki.

— Jest godzina trzecia, wtorek, 11 dzień listopada. Podajemy wiadomości.

Niemiecki spiker:

— Według nie potwierdzonych jeszcze doniesień jednostka bojowa amerykańskich sił powietrznych dokonała ostatniej nocy próby uwolnienia przetrzymywanych w Riadzie obywateli amerykańskich. Z Riadu donoszą, że silna eskadra helikopterów dokonała nalotu na oblężone przez powstańców miasto. Stany Zjednoczone stanowczo zdementowały tę informację, powołując się przy tym na fakt, że obserwacje prowadzone przez Międzynarodowe Władze Satelitarne nie potwierdziły żadnych ruchów amerykańskich jednostek lotniczych w rejonie Bliskiego Wschodu i Oceanu Indyjskiego...

Maks poderwał się jak oparzony, wstał z koi i nałożył pantofle. Wrażenie było silne. Czuł, jak mocno wali mu serce. Środkowy ekran zajaśniał. Młody spiker w okularach ze srebrną oprawką czytał właśnie:

— Stany Zjednoczone wyraziły obawę, że powstańcy mogą zatrzymać obywateli ame-

rykańskich jako zakładników. Według ostatnich doniesień w rejon Zatoki Perskiej zdążają silne eskadry zarówno amerykańskiej, jak też radzieckiej floty wojennej. Waszyngton i Moskwa ostrzegły przed wszelką próbą ingerencji w wewnętrzne sprawy Arabii Saudyjskiej...

Maks, niezdolny do żadnego ruchu, wpatrywał się w zdjęcia ilustrujące wiadomości. Eskadry niszczycieli... Groźbę można było wyczuć namacalnie. Posępna woda i szybkie okręty wojenne. Niebo dopełniało ponurego widoku; wiszące nisko chmury zdawały się zlewać z powierzchnią wody smaganą przez wiatr.

Maks opadł na fotel. Wiedział już wszystko. A więc klamka zapadła! Nie mógł jednak zdobyć się na żadną reakcję. Nie potrafił. Jedyne co mógł, to wpatrywać się w ekran. Dopiero po dłuższej chwili wstrząsnął nim dreszcz. Szok. Z gardła wyrwał się krzyk... ale nie wydostał się z ust. Zdusił go, nie mógł jednak opanować straszliwego drżenia. Oczy wychodziły mu z orbit. Nie! Tylko nie to! Zakręcił się na pięcie i przeskakując po kilka szczebli drabinki wpadł do sektora kontroli. No, HARVEY, teraz możesz pokazać, ile jesteś wart!

Zaktywizował go, wystukał kod. W okienku zapłonął napis:

GOTÓW

Maks wziął do ręki długopis, a wolnymi palcami wystukał zadanie:

PRZEGLĄD OGÓLNY
REZULTATY AKCJI PROMIENIOWAŃ
mających miejsce od X 97.

HARVEY odparł:

WYNIKI — CORA — II

CORA 878	4565.6 II
CORA 880	4576.0 II
CORA 881	4581.2 II
CORA 885	4602.0 II
CORA 888	4617.6 II
CORA 892	4638.4 II
CORA 896	4659.2 II
CORA 897	4664.4 II
CORA 899	4674.8 II
CORA 901	4685.2 II
CORA 903	4695.6 II
CORA 904	4700.8 II
CORA 908	4721.6 II
CORA 910	4732.0 II
CORA 911	4664.0 II

KONIEC

Dane przemykały w zawrotnym tempie ku górze. Czerwonym kolorem wyróżnione były wartości dotyczące CORA 885 i 911.

Maks kiwnął głową, z uporem wystukiwał dalej:

DOSTĘP DO DANYCH CORA 911

Odpowiedź nastąpiła natychmiast:

INFORMACJE TAJNE

DOSTĘP TYLKO DLA OSÓB UPOWAŻNIONYCH

PROSZĘ PODAĆ KOD ID.

Maks oblizwał wargi; miał wrażenie, jakby miały za chwilę pęknąć. W napięciu wpatrywał się nadal w ekran. Był teraz w amoku. Szukać dalej! Najważniejsze, że trafił na jakiś ślad! Oto trop, jakiego szukał: ten brakujący element układanki. Działał machinalnie. Jak robot. Kierował się instynktem. Wszystko stało się raptem takie proste! Znał już drogę, którą miał się udać. Wystukał swój kod osobisty.

MARQ69031 — COR

Zanim skończył, wiedział, że HARVEY tym się nie zadowoli. I rzeczywiście.

KOD ID. DLA CORA 911 NIEPEŁNY

PROSZĘ POWTÓRZYĆ KOD ID.

Jakby dla podkreślenia wagi tego żądania na ekranie pojawiła się jasnoniebieska, poprzeczna linia, czemu towarzyszył przenikliwy pisk. Niemal momentalnie zapalił się napis:

PROSZĘ POWTÓRZYĆ KOD ID.

Maks rozsiadł się wygodniej, w zamyśleniu odrzucił głowę do tyłu i na pół świadomym gestem zaczął drapać się po brodzie. Myśli wirowały w jego głowie; szybko, chaotycznie jak motyle porwane przez wicher.

Nagle poderwał się z miejsca. Wiedział już, co ma zrobić. Szybko i zwinnie zszedł po drabince na dół, do sektora mieszkalnego. W pomieszczeniu rozbrzmiewał ciężki, regularny oddech Billy'ego.

PROSZĘ POWTORZYĆ KOD ID.

Maks widział przed sobą stale te litery. Napis prześladował go, zmuszał do wyciągania właściwych wniosków. Musiał mieć pewność. I nie wolno mu było zmarnować czasu. Teraz już nie! Na pokładzie stacji był tylko jeden człowiek, który musiał znać nowy kod w całości!

Billy!

Maks zaczerpnął powietrza, podszedł do koi i potrząsnął ramieniem Billy'ego.

— Billy! Obudź się! Słyszysz, Billy!

— Po co mnie budzisz? — mruknął Hayes, obracając się na drugi bok. Jego ręka podciągnęła wyżej kołdrę, jak gdyby w ten sposób można było zatrzymać sen.

— Słuchaj! — tarosił go natarczywie Maks. Nachylił się nad nim. — W jaki sposób uzyskałeś podczas promieniowania dostęp do danych? Użyłeś nowego kodu? Billy!

Billy mruknął coś; leniwe ruchy warg, dźwięki nie układające się w nic sensownego. Usiłował strząsnąć z siebie rękę Maksą. Maks nie dawał za wygraną.

— Billy, czy Feliks podał ci nowy kod?

— Laurin... albo coś w tym stylu...

Laurin! A więc Laurin! Kolejny element układanki! Ale czy nie przeczuwał już teraz, jak będzie wyglądać cały obraz?

Narastała w nim trwoga. Ucisk w skroniach rozprzestrzenił się. Wpadł z powrotem do centrali, zdyszany podbiegł do klawiatury i wystukał:

MARQ69031 — LAURIN

Tym razem HARVEY zameldował:

PROSZĘ CZEKAĆ.

Czekał więc. Napis pulsował. Maks nie czuł w ogóle nic, nie odczuwał już nawet strachu, był jak sparalizowany. Podniecenie i napięcie sprawiły, że dygotał na całym ciele.

PROSZĘ CZEKAĆ

... pulsowało niezmiennie na ekranie. Dlaczego to trwa tak długo? Czyżby do pamięci komputera było wprowadzone dodatkowe zabezpieczenie? A może HARVEY wysyła teraz meldunek do kierownictwa programowego? Informuje ich, że ktoś ubiega się o dostęp do tajnych danych?

Na ekranie zaczęły pojawiać się litery i cyfry:

CORA II

REZULTAT

PROMIENIOWANIE Q 911

LISTOPAD 11.1997

06:39:00 — 07:09:00

SEKTOR 17 OCEAN INDYJSKI

Zielona siatka. Gęstość promieniowania. Czerwone oznakowanie. Powiększenie.

Wycinek: Południowy Jemen — teren przygraniczny Arabii Saudyjskiej — okolice Riadu.

Maks czuł, jak silnie bije mu serce. Uparcie wystukiwał dalej:

POSZUKUJĘ INFORMACJI:
CEL PROMIENIOWANIA.

Czekał, wpatrując się to w klawiaturę, to znów w ekran. HARVEY odparł:

BRAK INFORMACJI.

Żadnych informacji! To niemożliwe! Oblała go fala ciepła, pot wystąpił na czoło. Wystukiwał dalej:

SZUKAM HASŁA: LAURIN
Odetchnął z ulgą, kiedy HARVEY udzielił odpowiedzi:
EFEKT LAURIN
PROMIENIOWANIE PRÓBNE 014
STYCZEŃ 12. 1995
REJESTRACJA TAŚMA B041-2

Maks odwrócił się, pospiesznie wystukał odpowiednie polecenie, pomylił się, zaklął i zaczął od nowa. Na ekranie zapłonęły litery:

CORA I
REZULTAT
PROMIENIOWANIE PRÓBNE 014
STYCZEŃ 23. 1995
SEKTOR 23

Przewinął taśmę do przodu nie spuszczać oka z ekranu i widocznego na nim licznika przesuwu. Cyfry przelatywały w szaleńczym tempie. Klawisz STOP. Oparł się wygodnie w fotelu, otarł pot zalewający mu oczy. Czerwonym kolorem oznaczony był kod cyfrowo-literowy. Maks przewinął taśmę jeszcze trochę, zatrzymał ją.

SEKTOR 23

— ... za chwilę zobaczymy to wyraźniej, w prawym rogu, ta czarna plama — rozległ się głos mężczyzny.

Maks spoglądał na zdjęcie satelitarne, na przemieszczające się pasmo chmur. Mimo woli pomyślał o duchach Billy'ego. Cofnął taśmę i włączył powiększenie. Męski głos powtórzył:

— ... za chwilę zobaczymy to wyraźniej, w prawym rogu, ta czarna plama...

— A co to takiego? — zapytał z wyraźnym zainteresowaniem drugi mężczyzna.

— Rejestracja nocnego satelity pracującego na promieniach podczerwonych...

— Aha. Rozumiem... On rejestruje jedynie refleksy naszego intensywnego promieniowania cieplnego, nie dostrzega natomiast, co dzieje się poniżej...

Zupełnie jak w jakiejś nędznej komedii! Tylko że to nie była komedia. Raczej dramat. Maks wiedział już to, co chciał. I raptem ucisk czaszki zelżał, znikło łomotanie serca, napięcie, podniecenie wszystko. Nareszcie mógł myśleć znowu spokojnie, rzeczowo, logicznie.

— ... że silna eskadra helikopterów dokonała nalotu na obleżone przez powstańców miasto. Stany Zjednoczone stanowczo zdementowały tę informację, powołując się przy tym na fakt, że obserwacje prowadzone przez Międzynarodowe Władze Satelitarne nie potwierdziły żadnych ruchów amerykańskich jednostek lotniczych w rejonie Bliskiego Wschodu i Oceanu Indyjskiego...

Właśnie! Jeszcze raz nastawił tę rozmowę:

— Rejestracja nocnego satelity pracującego na promieniach podczerwonych.

— Aha... Rozumiem... On rejestruje jedynie refleksy naszego intensywnego promieniowania cieplnego, nie dostrzega natomiast, co dzieje się poniżej...

Nie dostrzega, co dzieje się poniżej, powtórzyło echo w mózgu Maksa. A więc po to zarządzono promieniowanie. Nie chodziło wcale o wywołanie kataklizmu, lecz o osłonę. Osłonę przed widzającymi i rejestrującymi wszystko nieprzekupnymi oczami nocnego satelity.

Przyniósł swoją kamerę. Napięcie opuściło go; wypełniało przestrzeń wokół niego, ale nie było go w nim samym. Zatrzymał taśmę, przewinął wstecz. Obraz satelitarny przesunął się na środek ekranu, pojawiła się owa ciemna plama — duża, postrzępiona, groźna jak nowotwór... i w dziwny, fascynujący sposób trójwymiarowa. Osty, rzucający się w oczy kontrast z błękitnym podłożem obrazu. Maks ustawił dokładnie żółte, kwadratowe obramowanie i włączył kamerę. Działał spokojnie, w sposób przemyślany. Było to szpiegostwo wiedział o tym. Tak przynajmniej oni to oceniają.

A jednak nadal robił swoje. Bez podniecenia. Sprawnie. Kamera, którą podnosił do oka jedną ręką, nie drżała. Pracował z niesamowitym spokojem.

— Właśnie — rozmowa toczyła się dalej. — To działa jak... czapka niewidka.

A więc jednak!

— ... wiesz, co powiedzieli mi chłopcy z sekcji agitacji?

— Mogę sobie wyobrazić.

— Nazwali to „efektem Laurin”.

— A jak zareagowała na to zjawisko baza programowa?

— Nocne promieniowania testowe CORA mogą odbywać się teraz wyłącznie na podstawie specjalnego zezwolenia...

A Maks nie ustawał w fotografowaniu. Czarna plama rozrastała się, pokrywając kontynent i przesuwając się dalej. Ile czasu upłynie, zanim rozwieje się? Odsunął na bok zawodową ciekawość. Teraz nie było na to czasu. Ta rozrastająca się czarna plama oznaczała śmierć. Straszliwą śmierć. Szaleńczą śmierć.

Ci dwaj mężczyźni myśleli podczas rozmowy, niemal trzy lata temu, jedynie o efekcie Laurin, o fantastycznych możliwościach natury militarnej, jakie otwierały się przed nimi. Zapomnieli natomiast o głównym efekcie promieniowania cieplnego — o kataklizmach. Wtedy zapomnieli o tym.

Dziś — pomyślał wzgardliwie — dziś nadal ignorują ten fakt. I to nie dlatego, że zmusza ich do takiej postawy konieczność uwolnienia przetrzymywanych w Riadzie amerykańskich zakładników. O nie! Aspekty humanitarne występują dopiero na drugim i trzecim miejscu. Przede wszystkim chodzi o udzielenie rebeliantom stosownej nauczki. Stany Zjednoczone nie pozwolą się zastraszyć. Nawet jeżeli zakładnikami są ich obywatele. W takim przypadku nie ma nic lepszego niż udana ekspedycja karna. Do tego dochodzą korzyści w polityce wewnętrznej...

Ale USA zapomniały najwidoczniej jeszcze o jednej sprawie: minęły już czasy, kiedy świat przyklaskiwał im od razu. Tak było już w przypadku Wietnamu, a jeszcze bardziej — Grenady...

Uniósł do oka kamerę i wykonał kilka następnych zdjęć. Potem wystukał:

CZY PRZETRANSMITOWANO
NOWE INFORMACJE STERUJĄCE
DOTYCZĄCE PROMIENIOWANIA?

HARVEY odparł..

INSTRUKCJA NADZWYCZAJNA.
WYNIKI ANALIZ ZASTRZEŻONE.
JAWNOŚĆ ANULOWANA.

Maks stał przez chwilę osłupiały. Co, u licha? — pomyślał. Przecież wyniki nigdy nie były jawne! Ostrożnie położył kamerę na pulpicie, wstał, zaczął przechadzać się tam i z powrotem. Uzyskana informacja była dziwna, intrygowała go. Postanowił przeanalizować ją, każdy wyraz osobno. Wreszcie przepisał wyrazy na kartę, jeden pod drugim.

INSTRUKCJA
NADZWYCZAJNA
WYNIKI

ANALIZ
ZASTRZEŻONE
JAWNOŚĆ
ANULOWANA

Następnie opadł na fotel, wystukał wyrazy w tej samej kolejności, zachowując układ pionowy, oraz skasował wszystkie litery oprócz początkowych.

I oto miał odpowiedź.

Brzmiała:

I
N
W
A
Z
J
A

To był ów kod. Czerwone litery świeciły wyzywająco z ekranu. Wystukał teraz to hasło; powoli, jakby delektując się nim... i uzyskał dostęp do tajnej częstotliwości, jaką posługiwano się w sektorze amerykańskim.

Na ekranie pojawił się napis:

WSPÓLRZĘDNE DOCELOWE OSIĄGNIĘTE:

00:17:24

00:17:23

00:17:22

W głośniku rozległy się głosy:

— Na ekranie widoczny cel...

— O. K. Zaczynamy promieniowanie. Zaktywizować sektor B...

Powtórne promieniowanie! A więc Billy miał rację! Delirium. Kompletnie wyczerpanie i gorąca nienawiść. I wstręt. Rozterka. To wszystko dodało mu w końcu energii.

Jeszcze nie jest po wszystkim — tętniło gorączkowo w jego skroniach. Jeszcze nie mają dość — dudniło w nim serce. Oni nie zdają sobie nawet sprawy z tego, co robią — bulgotało w żyłach.

Jeszcze 16 minut i 3 sekundy do chwili rozpoczęcia promieniowania. Sprawdził swój kombinezon. Wartości zielone. Sam był dla siebie zbędnym balastem. Wydał się sobie ocięzają, odniósł wrażenie, że porusza się zbyt wolno. Zmęczenie usiłowało przezwyciężyć jego energię. Zwalczył je, zignorował. Nałożył sobie na głowę wypukły hełm, złączył go z kombinezonem. Uruchomił dopływ mieszanki tlenowej. Rozległ się syk i Maks poczuł rzeński powiew. Serce zabiło mu mocniej, nieregularnie. Wszedł do śluzy, odczytał z uwagą napis:

KONTROLĘ KOMBINEZONU ZAKOŃCZYĆ

PRZED ODRYGLOWANIEM GRODZI.

Uświadomił sobie, że mimo woli czeka na wycie syreny alarmowej. Ale wokoło panowała cisza. Nie było żadnego alarmu. Tym razem automatyczny system sterujący miał funkcjonować bez zarzutu, aby te pieprzone typki ze stacji naziemnej mogły zrealizować swój krótkowzroczny, bezwzględny, cholerny plan; bez oglądania się na straty, szybko i cicho. Skrycie. I ze śmiertelnym skutkiem.

Gródź otwierała się z dźwiękiem przypominającym cmoknięcie. Zbyt opieszale. Przeciśnął się przez rosnącą szczelinę, po omacku ruszył do przodu wąskim szybem. Zazwyczaj używano tu windy, ale ona była zbyt wolna. Musiał dostać się tam jak najszybciej.

Z ulgą dotarł do bocznego szybu, wiodącego pionowo w głąb. Grawitacja zmniejszała się teraz z każdym metrem, w miarę oddalania się od sektora europejskiego. Zaczął schodzić. Jeszcze dwanaście minut. Najwyżej dwanaście minut. Nie tracił nawet czasu, by spojrzeć na

zegarek. Automatyczny system sterujący miał funkcjonować sprawnie. Będzie funkcjonował. To był los. Jego los. Musiał podjąć tę decyzję — i uczynił to. Nie wolno przyglądać się bezczynnie. Trzeba z tym skończyć.

Czołgał się w dół; dziwaczny owad w nieważkości. Nie czuł zmęczenia, nie mógł sobie pozwolić na ten luksus. Skoncentrował swą uwagę na rękach i nogach; rękach wyciągających się i chwytających metalowe szczeble drabinki, nogach popychających go do przodu. Oddychał gorączkowo. Mimo włączonej klimatyzacji pocił się.

Sektor amerykański — to on właśnie odgrywał kluczową rolę. Stąd wszystko się zaczęło. Dzięki segmentowi B Amerykanie uzyskali kontrolę nad HARVEYEM, a tym samym — nad całą stacją. Efekt Laurin. Inwazja. Możliwe, że zdecydowali się na to ryzyko, że zarządzili agresję na Arabię Saudyjską. W takim przypadku dostrzegliby ich jedynie powstańcy, natomiast urządzenia satelitarne okazałyby się ślepe. Dla nich Amerykanie byłiby niewidzialni, skryci za napromieniowanymi warstwami chmur, pod czapką niewidką. Opinia publiczna musiałaby uwierzyć ich słowom. Gdyby zaś Rosjanie mimo to odpowiedzieli interwencją zbrojną w obronie swych interesów na Bliskim Wschodzie, staliby się w oczach świata jedyymi agresorami.

Nikt nie mógłby obwiniać Ameryki za rozwój wydarzeń. Amerykanie wiedzieli o tym. Dlatego zdecydowali się odbić zakładników. Skutki promieniowania obchodziły ich tyle co nic. Co było ważniejsze: życie zatrzymanych w Riadzie zakładników amerykańskich czy los dziesiątków tysięcy niewinnych ludzi, potencjalnych ofiar straszliwych kataklizmów, wywołanych przez promieniowanie cieplne? A że powtórne promieniowanie, równie długotrwałe i intensywne jak pierwsze, spowoduje katastrofę, nie ulegało wątpliwości. Wystarczająco długo zajmował się badaniami, aby orientować się teraz w zagadnieniu.

Dlatego podjął się roli sędziego. I kata.

Dziwne, że w ten sposób rozumuje naukowiec, który ze względu na swą działalność ponosi główną odpowiedzialność za niszczycielskie zastosowanie wyników jego prac — pomyślał cynicznie, a zarazem z rozpaczą. Był bezradny. Niezależnie od decyzji, jaką by podjął, miał zostać mordercą. Jeżeli na skutek jego ingerencji nie uda się uwolnić zakładników, przyczyni się do śmierci Amerykanów. W przeciwnym razie stanie się współwinny śmierci wielu bezimiennych, niewinnych ludzi w Indiach lub gdzie indziej.

Tak czy tak będę mordercą albo pośrednikiem morderców, ja, Maks Marek — pomyślał. Roześmiał się nerwowo. Wiedział już jednak, jak ma postąpić. Podjął decyzję.

Pokonał połowę drogi. A nawet trzy czwarte. Jeszcze tylko kilka metrów i dotrze do grodzi sektora B. Posuwał się teraz szybciej i łatwiej, gdyż warunki ciężenia były tu niemal normalne.

Jeszcze tylko osiem minut do chwili rozpoczęcia promieniowania. Osiem minut!

Dotarł do wylotu tunelu, sprawnie przerzucił się do przejścia poziomego, które wiodło do śluzy, po czym zaczął biec. Nie tracił nawet czasu na zapalenie światła.

Nareszcie gródź. Odryglować, otworzyć i odczekać. Pierwsza gródź była otwarta. Maks skoczył do przodu. Mimo labiryntu korytarzy odnalazł natychmiast właściwą drogę; sektor B do złudzenia przypominał sektor A.

Jeszcze tylko sześć i pół minuty do osiągnięcia współrzędnych docelowych. Jeszcze sześć minut. Zapalił latarkę, zszedł w absolutnej ciszy do centrali... i oto był u celu.

Czekał, aż się zacznie. Nie musiał czekać długo. Bez żadnego przygotowania, jakby z zaciekłością, rozległ się sygnał alarmu. Fioletowe lampy wirowały i pulsowały, śląc w zastygłą ciemność jaskrawe snopy światła. Wszystko to zdarzyło się już tej nocy. Centrala eksplodowała wielobarwną, migocącą, ruchliwą jasnością.

Maks zrzucił z komputera pokrywę, włączył ekrany i nastawił odbiornik w swoim hełmie na nową częstotliwość, łącząc się w ten sposób z bazą programową na Ziemi on, szpieg z kosmosu. W słuchawkach rozbrzmiewała kakofonia dźwięków. Na bocznym ekranie wido-

czny był teraz reaktor. Urządzenie hydrauliczne podnosiło go w górę. Gmatwanina dźwięków w słuchawce przekształcała się stopniowo w dobrze słyszalne głosy.

— 1 segment reaktora zaktywizowany!

— Sterowanie automatyczne włączone!

Maks wystukał kod włączający: PRZEJMOWANIE... Daremnie. Przesunął dźwignię gamma. Żadnego rezultatu. Wyprostował się powoli. Przez wizjer hełmu widział ekrany, a na nich świat na zewnątrz, kosmos, promienniki oraz w dole Ziemię, masywną kulę skrytą pod warstwami chmur. Ponownie wystukał kod; powoli i dokładnie, jako że grube rękawice skafandra utrudniały ruchy. Na centralnym ekranie zapłonął czerwony napis:

STEROWANIE RĘCZNE NIEMOŻLIWE.

Poczuł się, jakby dostał w twarz.

— Odliczanie w toku — rozległ się głos w słuchawkach, jakby kpiąc z jego daremnych wysiłków. — 5... 4... 3... 2... 1...

— Otworzyć promienniki!

Maks uderzył prawą dłoń w pulpity komputera, ale nie zmieniło to sytuacji: wypadł z tej gry. Tamci nie chcieli ryzykować. Wszystkie ręczne systemy sterujące były zablokowane!

— Pierwsza para promienników otwarta...

— Druga para promienników — odliczanie. 5... 4... 3... 2... 1...

Potrzebował ułamka sekundy, aby zrozumieć, co należy uczynić. W piersi poczuł ostry, kłujący ból. Teraz wiedział! Odwrócił się, zachwiał, ale już w następnej chwili wziął się w garść i zdecydowanym, sprężystym krokiem ruszył do przodu...

Z pewnością nie spał długo; przynajmniej nie za długo. Zgiełk i migające fioletem światła ogarnęły go, kiedy pogrążony był jeszcze w odmętach snu. Nie od razu zrozumiał, co się dzieje... Ale to znowu nie był sen! Podrapał się, zeskoczył z koi, potknął się o coś, uderzył głową w metalową ścianę i zaklął zirytowany. Dopiero teraz doszedł do siebie. Zaklął raz jeszcze. Co się znów stało? Przeskakując po dwa szczeble drabinki rzucił się na górę i tam opadł na fotel. Szybko założył na głowę słuchawki z mikrofonem. Co za rutyna — pomyślał z wściekłością.

— Floryda Arklab. Tu Hayes — zameldował.

— Billy, posłuchaj...

Czyj to głos, przecież ja go znam! Dopiero po chwili przyszło olśnienie. To Maks!

— Maks!

— Oni przygotowują się do powtórnego promieniowania za pośrednictwem sektora amerykańskiego...

Poczuł ukłucie w okolicy żołądka. Nie było już mowy o senności. Przeczynał to! Na ekranie widniały dane. Współrzędne docelowe oznaczone były żółtym, mrugającym krzyżykiem.

— ... i zablokowali tu sterowanie ręczne...

— Gdzie: tu?

— W sektorze B.

— A cóż ty porabiasz w sektorze B?

— Wydawało mi się, że stąd będzie łatwiej... Zresztą nie pytaj o nic. Czy dane są na ekranie?

— Tak.

— A więc zrezygnowali z tej zabawy w ciuciubabkę. Muszą czuć się cholernie pewnie. Operację przeprowadzają poprzez sektor amerykański...

— Cholera, Maks, czy powiesz mi wreszcie...

— Musisz zrobić wszystko, żeby zapobiec tej operacji! Zrozumiałeś?

Billy skinął głową, ale prawdę mówiąc zrozumiał tylko tyle, że jego rodacy powario-

wali. Powtórne napromieniowanie tego samego obszaru w tak krótkim odstępie czasu to przecież... Włączył ekrany. Widok zewnętrzny. Nic się nie zmieniło. Promienniki były już uniesione.

— Musisz powstrzymać odliczanie! — krzyczał Maks, a w jego głosie brzmiała rozpacz.

— Jeszcze trzy minuty i czterdzieści sekund do chwili osiągnięcia współrzędnych docelowych — poinformował głos z kierownictwa programowego.

Ta wiadomość nie była przeznaczona dla nich. Billy wiedział już teraz, że nie ma mowy o pozostaniu na uboczu. Jak to powiedział wtedy Feliksowi? Że nie chce nic wiedzieć o tej sprawie. A teraz? Teraz tkwił w niej po uszy. Czy miał powstrzymać Maksa? Po raz drugi walczyć za ojczyznę i tajną misję? Mimo iż wiedział, jakie będą tego skutki?

Wszedł do centrali i wystukał kod: STOP.

STEROWANIE RĘCZNE NIEMOŻLIWE

— zapłonął napis.

— Maks, tu też jest wszystko zablokowane!

Na ekranie widoczny był reaktor. Wszystko było przygotowane...

Billy odwrócił się:

— Spróbuję przerwać aktywność reaktora.

— Dobrze, ale pospiesz się! Zostało nam bardzo mało czasu!

Billy wybębnił na klawiszach nowe polecenie:

AKTYWNOŚĆ REAKTORA STOP!

STEROWANIE RĘCZNE NIEMOŻLIWE

— odczytał znowu.

A więc dlatego są tak pewni siebie! Sukinsyny! Billy wpadł w panikę.

Maks klął z pasją:

— Dlaczego nie zatrzymujesz reaktora, do cholery!?

— Chciałem to zrobić, ale wszystkie ręczne systemy sterujące są zablokowane! Nie tylko tam, w sektorze B. Maks, nie popędzaj mnie teraz! Jakoś damy sobie radę!

Wcisnął gorączkowo kolejne klawisze, nie wiedział jednak, co robić...

Billy usłyszał nagle w duchu głos, trochę podobny do głosu Kronenberga. — Billy, czy jesteś przekonany, że postępujesz słusznie? Czy rzeczywiście robisz to z własnego przekonania, czy też dlatego, że tak chce Maks? Że tego oczekuje od ciebie twój przyjaciel? Że chcesz oczyścić przed nim swoje sumienie? Albo że zaimponował ci swoją postawą, bohaterską postawą?

— 4 segment reaktora aktywny — zabrzmiało w słuchawkach.

Te typki z kontroli naziemnej nie miały z pewnością podobnych wątpliwości. Dla nich wszystko było jasne.

Skąd bierze się w nich ta pewność? — pytał sam siebie zirytowany. — To przekonanie, że postępują słusznie?

— Przygotować się do odliczania...

I zaraz potem:

— Zaktywizować segment 5 sektora...

Nie uda mu się! Wiedział już, że Billy'emu się nie uda. Wszystkie ręczne systemy sterujące były zablokowane. To było do przewidzenia. Po tej próbie, jaką im przedtem zaserwował! Na pewno woleli uniknąć ryzyka, jakim były dla nich dwie osoby na pokładzie Florydy Arklab.

Rozmyślał o tym wszystkim z goryczą i nienawiścią. Przeciskał się przez wąskie, poziome grodzie, czuł w ustach intensywny, słony smak krwi. Czy to moja krew? — pomyślał.

A może krew ludzi, których będę miał na sumieniu?

Światłówki skąpiły światła. Tak mu się przynajmniej wydawało. Cienie kryły się pod nim i nad nim, z lewej strony i z prawej, tworząc dziwaczne figury, które zdawały się wyciągać ku niemu ponure macki, aby zatrzymać go, nie przepuścić dalej.

Wstrząsnął nim atak kaszlu. Poruszył się nieostrożnie, odruchowo odpychając się od lewej ściany i natychmiast odniósł wrażenie, jakby porwała go jakaś niesłychana siła. Oga-
rnęła go panika. Skafander! Miał jednak szczęście. Nie rozdarł ubioru. To byłby pech! Tuż przed celem! Tuż przed momentem, kiedy miał spełnić swoją misję kamikaze!

Czy naprawdę myślisz, że ci się uda? Nie? A więc dlaczego chcesz to uczynić? Chcesz zostać bohaterem? Męczennikiem? Skrzywił się z udręką. Nie chciał rozmyślać teraz o tym. Tam gdzie kieruje uczucie, nie ma miejsca na logiczne rozumowanie.

Trzeba iść dalej. Ruszył do przodu, odpychając się od ściany i przeciskając się przez wąskie przejście. Aby dalej. Do centrali pomiędzy sektorami A i B. Do serca stacji, jak nazwali kiedyś to miejsce. Do reaktora.

Billy ocknął się z odrętwienia i włączył monitor z podglądem wnętrza stacji. Zrobił to instynktownie, zaniepokojony długim milczeniem Maksa. Na ekranie zjawił się czerwony, wędrujący punkt, słychać było stukot butów, towarzyszący ruchowi punktu. Klak — klak — klak. To Maks. Billy przywarł plecami do oparcia fotela i najpierw lekko, potem coraz gwałtowniej — zaczął potrząsać głową.

— To niemożliwe! — nieświadomie rozładował dręczące go napięcie histerycznym krzykiem. — On chce dostać się do reaktora!

Wpił wzrok w czerwony, przesuwany punkt.

Klak — klak — klak — klak.

Billy zerwał się z miejsca, ożywiony jedną tylko myślą: Idź za nim! Zatrzymaj go! Przecież to szaleństwo! On zginie! Odbiornik przemówił nagle. Rozległ się przeciągły, przenikliwy dźwięk, wdzierający się w jego czaszkę jak rozżarzony pręt. Zamarł w bezruchu, oparty o poprzeczny, metalowy filar, czując z ulgą jego chłodny, kojący dotyk. Nie mógł jednak zapanować nad oddechem, pierś unosiła się i opadała gwałtownie, miał wrażenie, jakby ścisnęły go żelazne kleszcze.

Co za zwariowana noc!

Brzęczący dźwięk nie ustawał.

— Co za gówno! — wykrztusił przez zaciśnięte zęby. — Co za gówno!

Przechylił się w fotelu.

— Maks?

Powiedział to niemal z nadzieją.

— Tu Feliks! Słyszysz mnie?

— O Boże! Jeszcze ciebie tu brakowało! O co chodzi?

— Żądam, żebyś natychmiast powstrzymał Maksa! To co tam wyprawiacie, to czysty sabotaż. Chyba zdajecie sobie z tego sprawę?!

Klak — klak — klak! Czerwony punkt przesuwał się dalej, uparcie, jakby przyciągany przez magnes; w głąb wąskiego szybu, wiodącego wprost do reaktora. Billy nie odpowiadał Kronenbergowi. Jak zafascynowany wpatrywał się w ów drobny punkt, oznaczający Maksa. Drobny punkcik, zagubiony w olbrzymim cielsku stacji.

Klak — klak — klak...

Billy odniósł wrażenie, jakby słyszał nawet bicie serca Maksa, jego ciężki, świszczący oddech... I tę samotność. Tę dźwięczącą samotność. Tam w dole trwał szaleńczy, obłąkany wyścig z czasem, wyścig odbywający się w próżni.

Głos Feliksa wyrwał go z zamyślenia.

— Maks jest już przy reaktorze! Billy, musisz z nim pomówić!

— Chyba nie myślisz serio, że on mnie usłucha! — warknął Billy. Był rozdrażniony, narastała w nim panika. Niczym rozżarzona, gotująca się lawa. — Chyba sam w to nie wierzysz, co?

W ciemnym ekranie dostrzegł odbicie swojej twarzy. Mokre od potu, potargane kosmyki włosów opadały w nieładzie na czoło. Potarł je dłonią: szybki, gwałtowny gest zdradzający zdenerwowanie. Potrząsnął głową, jakby w ten sposób mógł odegnać od siebie widok zniechęconego teraz, czerwonego punktu.

A więc Maks był we wnętrzu reaktora! Wszystko migotało mu przed oczami.

— Zaczynamy już odliczanie. Jeżeli Maks wyciągnie kasetę, może się zdarzyć, że cała stacja rozleci się na strzępy!

Głos Kronenberga brzmiał natrętnie, hipnotyzująco owa moc narzucania innym własnej woli wyłącznie dzięki sile i intonacji mowy była jedną ze szczególnych umiejętności Kronenberga. Billy znał to już od dawna. Ale dziś czar tego głosu nie działał. Hayes milczał. Wpatrywał się w ekran... nie widząc go wcale.

Czy naprawdę robisz to z własnego, szczerego i prawdziwego przekonania? Pomyśl o konsekwencjach... dla ciebie... dla twojej kariery... Oni nie ścierpią żadnej samowoli. Udowodnili to już. Takim żywym dowodem jest Maks. I... pomyśl o konsekwencjach dla twojej ojczyzny. Jeżeli z twojej i Maksa winy wyjdzie na jaw, że to Stany Zjednoczone przeprowadziły tę operację... Obojętne w jakim celu... Nie jest przecież żadną tajemnicą, że poddawanie długotrwałemu, intensywnemu promieniowaniu tego samego terenu może doprowadzić do katastrofy... Nie wiesz, dlaczego to robią. Nie możesz tego oceniać.

Ale jedno jest pewne: dla nich ma to olbrzymie znaczenie. Tylko w ten sposób można wytłumaczyć ich reakcję, zabawy w tajemnice, brutalne naleganie na bezwzględne posłuszeństwo. Chyba to właśnie drażniło go najbardziej. Tak, właśnie to, a nie zagadkowe wydarzenia. No, może jeszcze ciekawość. I pewne zaskoczenie... A poza tym? Czy zrobił coś, żeby wyjaśnić szczegóły? Nie. Zadowolił się tym, że odczuwa wyrzuty sumienia. Miał żal do siebie, że nie pisał Maksowi nawet słowa o uaktywnieniu reaktora i sektora B. Martwił się o Maksa, martwił się szczerze.

Ale jego własne stanowisko w tej diabelskiej rozgrywce opierało się na bardzo ostrożnej, wyważonej kalkulacji... Czyżby strach? Itrach przed własną odwagą? Był zaszokowany... Zaszokowany sposobem, w jaki potraktowali Maksa — po tym jak zgłosił im swoje wątpliwości, określił swój punkt widzenia.

A poza tym? Poza tym nic. Kiedy wolno było otworzyć usta? Kiedy odwaga cywilna mogła nakazać, aby postąpić wbrew rozkazowi? Kiedy należy być w zgodzie z własnym sumieniem? Z własnym, może nieco naiwnym, poczuciem prawa i sprawiedliwości?

I w tym momencie, który był pozornie ponadczasową wiecznością, zrozumiał, że nie może ociągać się z zajęciem zdecydowanej postawy. Chowanie głowy w piasek nie jest żadnym rozwiązaniem, nigdy nim nie było. Najwyżej kopniak trafi cię wtedy w tyłek. Oto cała różnica. A więc...? Czy nie lepiej stanąć po stronie zwycięzców? A w tej grze może być tylko jeden zwycięzca na pewno nie Maks. Za bazą programową kryła się ogromna siła, cały autorytet USA...

Ale czy to właśnie oznacza zajęcie stanowiska? Położyć się pod walec, a potem wstać, okryty błotem i połamany, ale za to żywy? Zapomnieć na jakiś czas o... sumieniu?

— Billy! — nalegał Feliks.

— Przestań wreszcie! — krzyknął i odwrócił się gwałtownie jak rozjuszone zwierzę. Na centralnym ekranie przebiegało miarowo odliczanie:

00 : 00 : 28

00 : 00 : 27

00 : 00 : 26

Czas upływał z bezlitosną precyzją i tak samo bezlitośnie zwiększał się ucisk, jaki Billy

odczuwał w żołądku, w skroniach, w klatce piersiowej. Przestań już rozmyślać! Zrób coś wreszcie, na Boga! Maks podjął już decyzję. Czas, żeby i on zrobił to samo. Ale... czy rzeczywiście jeszcze jej nie podjął? Kilka godzin temu? Czy w ogóle miał jakikolwiek wybór? Zawsze ma się jakiś wybór. Aż do ostatniej chwili.

Włączył bezpośredni podgląd komory reaktora. Kamera C14 przesunęła się o odpowiedni kąt, a na ekranie zamigotały niebieskie i fioletowe cienie, wśród których Billy dostrzegł postać Maksa. Czerwień skafandra była wyblakła, zdawała się zlewać z próżnią. Wizjer hełmu świecił czernią, jakby pokryto go lakierem. Zarysy twarzy były niewidoczne.

Maks opuścił się niżej. Pod nim jak dziwaczna, pokryta bliznami powierzchnia mieścił się reaktor z doskonale widocznym bębniem. Billy mógł rozróżnić każdy szczegół. Z wysiłkiem wykrztusił do mikrofonu:

— Maks, słyszysz mnie? To się nie uda...

Maks wyciągnął prawą rękę, przytrzymał się uchwyty obok bębna i wciągnął się do środka reaktora.

— ... na pewno się nie uda! Odliczanie już trwa!

Nie było odpowiedzi. Ma za mało czasu, aby wyjąć pięć kaset sterujących i zdezaktywować segmenty! A kiedy zaczną się promieniowanie, elementy pozostałe w bębnie zostaną siłą rzeczy przeciążone, stopią się, a wtedy...

00 : 00 : 23

00 : 00 : 22

00 : 00 : 21

00 : 00 : 20

Znowu spojrzął na Maksa, na tę zjawę w posępnej próżni, w pustelni komory reaktora. Teraz otworzył bęben, wyciągnął coś z niego. To była... Billy poczuł ucisk w gardle.

Na ekranie widniało potwierdzenie.

STATUS REAKTORA:

SEGMENT 1 ZDEZAKTYWIZOWANY

Wiedział już o tym również Kronenberg. W słuchawkach rozległ się jego ryk:

— Billy, to przecież szaleństwo!!!

Na ekranie znowu migotały czerwone liczby, odliczanie odbywało się dalej z bezlitosną perfekcją:

00 : 00 : 18

00 : 00 : 17

— Jeszcze 16 sekund! Na pewno mu się nie uda! Spróbuj go powstrzymać!

Znowu ten Kronenberg! Twarz Billy'ego była zimna jak lód, a mimo to złana potem...

— Mam cię gdzieś! — wykrztusił i uderzył pięścią w pulpit komputera.

Na ekranie widoczny był teraz segment 2. Kamera C09 skierowała się w odpowiednią stronę. Billy otarł pot z czoła, brakowało mu tchu.

— Proszę cię, Maks, proszę — mruczał. Dodał głośniejszym głosem: — Nie możesz tego zrobić! — Teraz już krzyczał: — Zabijesz nas obu! Zrozum wreszcie, spalisz reaktor, człowieku!

Nie było odpowiedzi. Kaset sterująca uniosła się już do góry...

— Jeżeli nie chcesz mnie posłuchać — krzyknął Billy z wściekłością — to przynajmniej pospiesz się, bo zaraz cały ten kram rozleci się na strzępy! Szybko...

Kamera C14 uchwyciła Maksa. Billy ujrzał jego wykrzywioną, rozedrganą twarz, nie-naturalnie rozszerzone źrenice... świetne refleksy pelzające mu po policzkach, nosie, brodzie. Fioletowe światło. To lampy alarmowe w komorze reaktora. Maks wyciągnął 2 segment. Następnie 3. i 4. Uwijał się jak maszyna. I był szybszy niż mechanizm reaktora.

Zadyszany głos Feliksa informował:

— On ma teraz 4 segment. Pozostało jeszcze 10 sekund...

00 : 00 : 09

00 : 00 : 08

00 : 00 : 07

Jakaś irracjonalna, szalona nadzieja ogarnęła Billy'ego. Nachylił się do przodu, wpatrując się w niezwykle napięciu w ekran. Maks opuścił się jeszcze niżej, otworzył ostatni bęben.

Segment 5. Wcisnąć klawisz, otworzyć korpus i wcisnąć następny klawisz. Kasetka uwinęła się, wysunęła na tyle, że można ją było ująć za krawędź. Teraz wyciągnąć ją, ostrożnie, żeby się nie zacięła.

— Maks, chyba jednak ci się uda! — dyszał Billy.

Maks otworzył już bęben jak również korpus. Kasetka... Dlaczego jej nie wyciąga? Billy wpił wzrok w obraz, przesyłany przez kamerę C09. Co z tą kasetką? Billy zmrużył oczy, odgarnął włosy z czoła, popatrzył uważnie. Kasetka tkwiła krzywo w uchwycie. Krzywo! Widocznie Maks wyciągnął ją zbyt gwałtownie...

— No, stary, pospiesz się! — szeptał Billy jak w modlitwie. — Pospiesz się!

— On nie może sobie poradzić z 5 segmentem! Słyszałeś, Billy?

— Niech to szlag!

— Jeszcze cztery sekundy, jeszcze trzy... rzeźił Kronenberg. — To już koniec! Nie uda mi się wyciągnąć tej kasetki!

A przecież jeden segment nie wytrzyma całego obciążenia! huczało Billy'emu w uszach. Na pewno nie wytrzyma! Wpatrywał się w ekran, nieomal słysząc huk orkanu. Krew jakby zastygła mu w żyłach, rozsadzając całe ciało... Jeszcze dwie sekundy. Jeszcze jedna. Maks!

Na ekranie centralnym zapłonął napis:

UWAGA!

Boczne ekrany ukazywały widok kosmosu. Czerń była niemal całkowita, raczej domyślał się istnienia promienników, niż je dostrzegał. Dopiero kiedy uniosły się do góry, stały się widoczne. Billy przełączył widok reaktora na ekran centralny.

Segment 5. Powiększenie.

KONTAKT!

Maks nie zdołał już wyciągnąć kasetki sterującej. Promienniki ustawiły się w pozycji gotowej do akcji. Promieniowanie mogło się rozpocząć. Ale za jaką cenę!

W pierwszej chwili Billy nie mógł tego pojąć. Nadzieja, która przed chwilą dodała mu energii, przysła teraz bezpowrotnie. Był jak sparaliżowany. KONTAKT! Nie dopuszczał tego faktu do świadomości. KONTAKT! W tym konkretnym przypadku oznaczało to... śmierć. On zaś siedzi tu, bezsilny, i wodzi jedynie wzrokiem od jednego ekranu do drugiego. Poczł, że narasta w nim niepoahamowany gniew...

KONTAKT!

Początkowo nie działo się nic, zupełnie nic. Jedynie szum w uszach Billy'ego przybrał na sile, aby raptownie ucichnąć w tym samym ułamku sekundy, kiedy ekran wypełnił jaskrawo słup ognia. Billy odskoczył do tyłu i zakrył twarz dłońmi — instynktowny gest samoobrony. Szare kłęby dymu osłoniły reaktor, ale Billy nadal wpatrywał się w ekran. Jaskrawe błyski strzelały w górę, pochłaniając segment.

Był to właśnie ten segment, który nie wytrzymał obciążenia. Z pewnością topił się już. Z obu stron ociężale wydobywał się dym, pełzając po ścianach. Billy patrzył na to narastające piekło bez tchu, w olbrzymim napięciu. Co teraz? Co się stanie? A Maks? Co z Maksem? Po jego przyjacielu nie było nawet śladu. Gdyby funkcjonowało ręczne sterowanie...

Ale nie funkcjonuje! Zostało zablokowane! Przez tych zimnych, bezwzględnych sukinyków ze stacji naziemnej! Niech no tylko któryś z nich wpadnie mu w ręce...

HARVEY umieścił na ekranie ostrzegawczy napis:

UWAGA!

PODWYŻSZONA TEMPERATURA W SEGMENTIE 5.

— Co za mądrała! — parsknął Billy.

Zadźwięczał alarm, ale Billy myślał już o czymś innym. Co mogą zrobić? Na Boga, co mogą zrobić? Co?! Modulowane wycie syreny alarmowej nie było tej nocy niczym szczególnym, uzupełniało tylko złowieszcze wydarzenia. Zakręcił się na swoim obrotowym fotelu. Przed jego oczami zawirował chaos demonstrujących to piekło ekranów.

TEMPERATURA CHŁODZENIA: SEGMENT 5

630 K

To przekraczało już stopień jego odporności. Do diabła z dumą!

— Powiedzcie mi wreszcie, co mam robić! — krzyknął do mikrofonu.

Stacja naziemna milczała. Czyżby zemsta? Po chwili...

— Tu baza programowa. Przerwaliśmy blokadę systemu ręcznego sterowania.

Ach! Coś podobnego! Tak nagle? Pospieszyli się!

— Maks! — zawołał znowu do mikrofonu. — Słyszałeś?

— Tak... — zatrzeszczało w słuchawkach.

— Musisz... spróbować... teraz... — trzaski zagłuszyły i tak już ledwie słyszalne słowa.

Billy zaklął i wcisnął klawisz. Kamera C14 obróciła się ukazując komorę reaktora, całą pogrążoną w niesamowitym mroku. Światłówki przestały już najwidoczniej działać. W następnej chwili Billy ujrzał twarz Maksa, zwróconą ku kamerze. Nie była to już ludzka twarz, lecz raczej maska śmierci. Odnosiło się wrażenie, jakby ciało osłaniające kości uległo stopieniu, a oczy zostały wyciśnięte ze swego miejsca przez czyjeś niewidzialne ręce. Usta stanowiły niewyraźną, głęboką czeluść.

— Maks, na miłość boską...

Billy urwał, nie mógł wykrztusić już ani słowa. Zafascynowany, a jednocześnie ze wstrętem, zawisł wzrokiem na tym przerażającym otworze, w który zmieniły się usta Maksa. Wreszcie zdobył się na rozpaczliwe, ledwie słyszalne tchnienie:

— Maks — a potem krzyknął — Maks!

Wargi Maksa rozciągnęły się jeszcze bardziej, obnażając zęby i tworząc dziwaczny grymas. Refleksy świetlne i cienie kładły się na przemian na jego twarzy. Czołgał się dalej.

— Billy... — jego głos w słuchawkach rozbrzmiewał teraz trochę wyraźniej.

Sekundy mijały.

— Billy... musisz zrobić wszystko, żeby... zamknąć promienniki! Wtedy... dopływ energii zostanie automatycznie przerwany...

— Przecież nie mogę wsunąć z powrotem promienników przy tej cholernej temperaturze!

Spojrzał na ekran:

TEMPERATURA CHŁODZENIA:

SEGMENT 5

890 K

921 K

929 K

930 K

945 K

987 K

Wnętrze 5 segmentu było piekłem dymu i płomieni. Ciśnienie rosło.

— Billy! — rozległ się nieoczekiwane głos Kronenberga. — Zrób to, co ci mówi Maks!

— Przestań wreszcie! Zaraz całe to gówno rozpadnie się na kawałki, ja ci to mówię! Maks! Maks!

Maks usiłował odsunąć się od reaktora; z determinacją czołgał się i pelzał po podłodze

— byle dalej! Był ranny. Jego ruchy przypominały poruszanie się fok na suchym lądzie.

TEMPERATURA CHŁODZENIA:

SEGMENT 5

1001 K

1015 K

1130 K

— Zamknij wreszcie te promienniki! Zamknij promienniki! — krzyczał ktoś.

Palce Billy'ego przesuwały się po pulpicie, czując każdą nierówność, każde zadrapanie... Wyłącznik. To jest wyłącznik... Znowu się zawahał. Ale przecież o to mu właśnie chodziło: o pretekst, żeby wreszcie zacząć działać! Oto jego szansa! Usiłował zebrać myśli, ale bezskutecznie. Nie potrafił teraz uporządkować myśli w logiczny ciąg, nie był w stanie ocenić sytuacji ani konsekwencji... nie czuł się nawet na siłach, aby wykorzystać swoją wiedzę technologiczną. Wszystko, czego się uczył, uleciało mu raptem z głowy.

Pozostało tylko jedno — strach. Dławiący, paraliżujący strach. I panika.

Do diabła, Maks, jeżeli wsunę te promienniki, to szyb przekształci się w płonące piekło...

Przesunął wyłącznik w dół. Promienniki wpełzły do szybu. Jednocześnie w reaktorze nastąpiła detonacja. Kamera C09 przesłała na ekran swoje ostatnie ujęcie. Kamerę C010 otaczały płomienie. Oślepiająca, pomarańczowa jasność panowała w korytarzu... Gdzieś wzmacniał się szum.

Potem szyb wypełniła kotłująca się biel. Podmuch okręcił Maksa dokoła i cisnął nim najpierw o jedną ścianę, potem o drugą. Jego ręce, raptem bezsilne, usiłowały bezskutecznie znaleźć jakieś oparcie — oparcie, którego nigdzie nie było...

Wtem...

Billy krzyknął i odwrócił się. Cała stacja zadygotała, rozległo się głuche, nieludzkie wycie. Światło w centrali zamigotało — i zgasło. Zapłonęło oświetlenie awaryjne. Przyciski i światełka komputera świeciły jak diabelskie ogniki: czerwone, zielone, żółte, niebieskie... Zewsząd dochodziły trzaski... Czyżby koniec? Jak to koniec? Zagłada? A więc wszystko było na próżno? Czy nadszedł ten moment? Czy to właśnie była ta ostatnia sekunda poprzedzająca ów wielki, niszczący wszystko huk?

Szum i świst wzmogły się jeszcze bardziej. Obraz na ekranach gasł, zewsząd wydobywał się dym. Kable topiły się z nieprzyjemnym sykiem, tryskały fioletowe i krwistoczerwone iskry, wszystko spowijały kłęby dymu, unosił się swąd rozpalonej stali, płynnego metalu.

Kamera 010.

Już nie pracowała. Przełączył na 011.

— Maks! Maks! — szepnął Billy. Z rozpaczą wpatrywał się w rozmigotany obraz, jaki kamera 011 przesyłała z szybu reaktora. Ciemność. Ostatnie poszarzałe resztki szalejącej tam białej burzy. Żadnych śladów Maksa. Billy nie zauważył nawet, że pot spływa mu po twarzy, kapiąc z brody na blat komputera. Trzaski. Szum.

Zdawał sobie tylko sprawę z wiszącego nad nim niebezpieczeństwa. Nic się jednak nie działo. Ale dlaczego? Skąd ta cisza...? Raptem dostrzegł jakiś ruch, cień podnoszący się w ponurym pomieszczeniu i podążający z trudem dalej, przed siebie. Poczul, że ciężar spada mu z serca. Odetchnął z ulgą.

— ... Billy... otworzył się... wentyl bezpieczeństwa... systemu chłodzącego...

— Czy wszystko w porządku? — zapytał ochryple, z nadzieją w głosie.

— ... jestem ranny, ale chyba lekko — skrzypiał w słuchawkach głos Maksa. — Moja ręka... Zaraz zejść na dół...

Zaraz zejdzie na dół - powtórzyło echo w umyśle Billy'ego. Potrząsnął głową i odczytał na komputerze status reaktora:

WENTYL BEZPIECZEŃSTWA OTWARTY.

Odczytywał ten napis jak wiadomość szczególnie radosną.. Siedział wygodnie w fotelu, rozkoszując się świadomością, że żyje i pozostanie przy życiu. Pojawiło się w nim również poczucie nieopisanego wyczerpania, dziwnego rozbicia, — a co gorsza — nie potrafił już być dumny ze swego kraju. Zbyt dużo wydarzyło się ostatnio.

Siedział w fotelu, nie mając wcale ochoty na zajęcie się czymkolwiek. Po pewnym czasie zaczął, ku swemu zdziwieniu, odbierać wrażenia, które wywoływała całość otoczenia: słyszał ciche trzaski, czuł swąd stopionej izolacji, wdychał świeże powietrze wdmuchiwane przez szumiące dyskretnie urządzenie klimatyzacyjne, ulegał błogiemu nastrojowi mrocznej centrali.

Oczywiście, martwił się też o stację. Właściwie myślał wyłącznie o niej, ale w dziwny sposób. Zdawał sobie sprawę, o czym rozmyśla, nie potrafił jednak sprecyzować żadnego wniosku. Były to myśli jak fatamorgana, troski jak fatamorgana. Spodobało mu się to porównanie.

Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w ekrany, nie dostrzegając jednak ani jednego obrazu z kamer rozmieszczonych w szybach i w reaktorze. Wszystko było tu irracjonalne, dziwne. Z oczu płynęły mu łzy, na czole czuł ucisk, przemieszczający się w okolice kręgów szyjnych. Nie spuszczał wzroku z Maksa, dążącego niezmordowanie przez tunel, byle dalej od reaktora, od tego stygnącego żaru.

Na usta cisnęły mu się setki pytań. Billy, jak czujesz się teraz? Jesteś szczęśliwy? Zadowolony? Odczuwasz ulgę? W końcu pokazałeś tym na dole, na co cię stać. Ale za jaką cenę... Wiedział, że cena będzie wysoka, a zapłatę wyegzekwują od nich natychmiast, kiedy wylądują na Ziemi. Karierę Maksa można już teraz spisać na straty. To, co zrobił, było sabotażem. Przynajmniej według ich pojęć. A co z jego karierą? Wprawdzie nigdy mu na tym nie zależało, zawsze mierziło go kopanie słabszych i podlizywanie się stojącym wyżej od niego, ale skoro wlałeś między wrony, musisz krakać jak i one. Właśnie. Nie powstrzymał Maksa. Nawet nie próbował tego zrobić. Ale przecież... Maks był jego przyjacielem!

Na razie udało im się, wyszli z tej afery obronną ręką. Wentyl bezpieczeństwa otworzył się w ostatniej chwili. System chłodzący zadziałał. Stacja nie przekształciła się w ogniste piekło.

NALEŻY USUNĄĆ DEFECT SEGMENTU 5

poinformował HARVEY migocącym czerwonym napisem.

Właśnie, przyjacielu, skinął głową Billy. Ale później, nie teraz. Na razie jest dobrze tak, jak jest.

Sygnał, na który w głębi duszy czekał już od dawna, wyrwał go z zamyślenia.

— Tak?

W słuchawkach rozległ się głos Feliksa.

— Jaki jest stan stacji? — zimny ton głosu sprawił, że Billy'ego przeszedł dreszcz.

— Jest właściwie jak nowa.

— Oczekuję szczegółowego meldunku o zaistniałych uszkodzeniach, zrozumiano? Koniec.

Billy opadł z powrotem na fotel: oto znowu znalazł się bliżej rzeczywistości. Oderwał wzrok od ekranów, od HARVEYA, od pulpitu i odwrócił się. Tuż nad podłogą snuły się jeszcze resztki dymu, ale filtry wchłaniały je systematycznie. W dalszym ciągu rozchodził się zapach rozgrzanej gumy, ale jednocześnie urządzenia wentylacyjne doprowadzały do centrali świeże powietrze. Billy czuł, jak z jego świadomości znikają stopniowo panika, strach, szaleńcze wizje piekielnego ognia i końca, aby ulokować się gdzieś w ciemnych, niedostępnych zakamarkach podświadomości. Niemal spieszenie pomyślał o pracy, która go teraz czekała. O licznych niezbędnych mniejszych i większych naprawach, bez których życie w centrali i w całej stacji było nie do pomyślenia. Wstał i wziął swoją skrzynkę z narzędziami.

Światło. Przede wszystkim potrzebne im było światło.

Upłynęło dużo czasu, zanim Maks zjawił się z powrotem. Billy nie zwrócił na to większej uwagi — świadomie. W ciągu ostatnich dziesięciu, może nawet piętnastu minut przyłapywał się często na tym, że z jednej strony chciałby Maksowi pomóc — z drugiej zaś — nie potrafił przeskoczyć bariery, jaka wyrosła pomiędzy tym pragnieniem a jego urzeczywistnieniem. To wewnętrzne rozdarcie tkwiło w nim nadal. Rzucił się do pracy z prawdziwym zapalem, który miał potwierdzić jego zaangażowanie: Musisz się tym zająć! Koniecznie!

Winił Maksa za wszystkie cholerne wydarzenia ostatniej nocy, za wszystkie wypadki, które wyprowadziły go z równowagi. A przecież to nie wina Maksa. W każdym razie nie tylko jego. Wszystko jedno.

Nie nałożył na siebie skafandra, nie wyszedł z sektora kontroli, nie zapuścił się w celu szybów próżniowych, aby pomóc Maksowi. Kiedy od strony służby dobiegł go jęk, nachylał się właśnie nad rozdzielaczem, wpatrując się w zamyśleniu w kable, zwęglone, dymiące jeszcze i śmierdzące.

Maks wszedł do centrali zataczając się, zranioną rękę przyciskał do ciała. Serce Billy'ego zabiło mocniej. Zrezygnowanym gestem przesunął dłonią po kablach i wyprostował się. Nie mógł tak postąpić, nie potrafił ignorować Maksa, chociaż to on właśnie zabawił się w kamikaze. Gdyby wentyl bezpieczeństwa nie otworzył się w porę, byłoby już po nas — pomyślał.

— Dasz radę zejść na dół? — zapytał ochryłym głosem, podchodząc powoli do Maksa. Tamten mruknął coś, co mogło oznaczać bardzo wiele, przygarbił się, przytrzymał ściany. — To... tylko ręka — szepnął, jakby chciał uspokoić siebie i przyjaciela.

— Ja... — Billy urwał bezradnie i odchrząknął — opatrę ci ranę,

Zeszli do segmentu mieszkalnego. Twarz Maksa była zmieniona; ból dawał mu się widocznie we znaki. Jego oczy były nadal nienaturalnie rozszerzone, powieki opuchnięte i rozdygotane. Ciało było zimne jak lód, kiedy Billy dotknął go po raz pierwszy, wzdrygnął się przerażony. Musiał go jednak podtrzymać, musiał dotykać, musiał czuć zimno jego ciała.

Segment mieszkalny nie wyglądał lepiej niż reszta stacji. Dym snuł się leniwie w powietrzu, oświetlenie w większości pomieszczeń nie działało. W kąciu wypoczynkowym dostrzegli słaby snop światła, w którym krążyły pyłki kurzu.

— Pokaż, jak to wygląda.

Ułożył rękę Maksa tak, aby padało na nią światło. Widok nie należał do przyjemnych. Spoglądał na napęczniałe ciało, na zaczerwienioną, popękaną skórę, na sączącą się krew...

— Nie wygląda to ładnie — mruknął, wstydząc się teraz swej poprzedniej bezczynności. Powinien był pomóc Maksowi już wcześniej, powinien był... — Spróbuję znaleźć bandaż.

Wyciągnięta dłoń Maksa drżała, usiłował poruszyć palcami, co oczywiście musiało zwiększyć ból: cała powierzchnia dłoni wyglądała jak otwarta rana. Jego usta drżały.

Billy wstał i podszedł do koi. Apteczka była na swoim miejscu, dzięki Bogu! Nawet jeżeli nie przestrzegali skrupulatnie porządku, to na szczęście nie dotyczyło to rzeczy istotnych. Pogrzebał w pojemniku, odłożył na bok kompres z muslinu i zdecydował się na opatrunek przeciw oparzeniom. Podchodząc do Maksa czytał instrukcję. Potem powiedział uspokajającym tonem:

— No, a teraz nie ruszaj się! — Ujął delikatnie rękę Maksa i nałożył na nią kompres. Poczul na twarzy gorączkowy oddech i podniósł głowę. Spojrzał na zaczerwienione oczy przyjaciela, głębokie zmarszczki i krople potu pokrywające mu twarz jakby warstwą ochronną. Jednak ta warstwa nie uchroni go przed sankcjami, groźącymi po przybyciu na Ziemię.

Billy ostrożnie owinął rękę bandażem; opatrunek nie mógł być zbyt obcisły. Maks zaczerpnął głęboko powietrza. Jego ręka drżała teraz jeszcze mocniej.

— Oni... oni wykorzystują efekt uboczny promieniowania, aby wprowadzić w błąd satelity obserwacyjne Międzynarodowych Władz Satelitarnych... — wykrztusił nagle.

Billy podniósł na moment wzrok zdumiony, ale tylko trochę. Spodziewał się takiego, w

przybliżeniu, rozwiązania zagadki... Może nawet podświadomie zdawał sobie z tego sprawę od samego początku. Może przeczuwał to. Wszystko jedno. Przynajmniej teraz.

— Widocznie chcą w ten sposób wydostać z Riadu niepostrzeżenie swoich rodaków... Nie interesuje ich przy tym fakt, że ustawicznie poddają promieniowaniu ten sam obszar. — Jego głos brzmiał znowu normalnie, zdecydowanie, ale w oczach lśniły łzy. Spojrzał na Billy'ego i szepnął: — Możesz sobie wyobrazić, co to oznacza!

O tak, mógł to sobie wyobrazić!

— Rzeczywiście, co za idiotyzm! — powiedział to raczej tylko po to, aby sprawić Maksowi przyjemność, nie pozostawić jego słów bez komentarza — ale czy Maks oczekiwał w ogóle jakiegoś komentarza? Czy przypadkiem nie rozmawiał sam ze sobą? A może chodziło nawet o coś w rodzaju... przeprosin skierowanych do nich obu? Na przykład: Nie chciałem cię narażać na śmierć, Billy, możesz mi wierzyć. Ale czy ty na moim miejscu, znając te same informacje, nie postąpiłbyś tak samo? Nie można przecież pozwolić...

Niewykluczone też, że chodziło tu o wszystkie czynniki razem wzięte.

— ... rozregulują całą strefę klimatyczną tego obszaru — kontynuował Maks. — Myślę tu przede wszystkim o wiatrach monsunowych... o Indiach...

Opatrunek był już niemal gotowy: biały, gruby kloc.

— Teraz spokojnie! — upominał ponownie Billy, gdyż Maks gestykulował żywo, podkreślając w ten sposób każde swoje słowo. Nie pozwolił sobie jednak przeszkodzić.

— Ale na tym koniec — wykrztusił z triumfem. — 5 kaset sterująca zacięła się. Gdyby tamci na dole próbowali znowu zaktywizować reaktor, cała stacja wyleci w powietrze...

Raczej w kosmos — poprawił go w duchu Billy. — A my... my też nie wyjdziemy na tym dobrze, Maks! Czy sądzisz, że oni w ogóle przejmują się losem tej stacji? Czy nie udowodnili już, że są skłonni iść na całego, byle tylko osiągnąć swój cel? Udowodnili to, Maks, udowodnili! Chociaż... z drugiej strony... nie wszyscy tam, w stacji naziemnej, są mordercami. Teraz to przesadził. Po prostu był już przewrażliwiony.

Zresztą to, co powiedział Maks, ułatwiało sytuację: kaset sterująca zacięła się... no cóż... to jest argument. Chwilowo należy zawiesić wszelkie operacje. Tego samego zdania jest HARVEY: należy usunąć defekt w segmencie 5. A więc: spokojnie, Billy! Ostatecznie nie pracujesz dla mafii, tylko dla Europejsko-Amerykańskich Władz Kosmicznych. Nie powinieś w każdym widzieć wroga.

Chris, czy pamiętasz święta Bożego Narodzenia w 1996 roku? Byliśmy zaproszeni wtedy do twoich rodziców na Wigilię, punktualnie na godzinę dwudziestą czasu środkowoeuropejskiego. Twoi rodzice zawsze przywiązywali dużą wagę do punktualności... Gwiazdkę zrobiliśmy sobie przy śniadaniu: ty w swojej zwiewnej, błękitnej nocnej koszulce, ja — w zbyt obszernej pidżamie. I ty, i ja byliśmy uszczęśliwieni, że nie musimy się spieszyć. Nakryłem do stołu — ta piękna serweta obszyta koronkami, talerze, podstawki i filiżanki. Ustawiłem różową świecę, nigdy bowiem nie zapomniałem, że to twój ulubiony kolor. Obok niej położyłem samotną, ale pachnącą prawdziwym lasem gałązkę jodły, koszyczek z tostami, marmoladę, miód... Ty przyniosłaś ser i szynkę. Tego ranka pachniało u nas naprawdę świętecznie: ciastem i żywicą, ale przede wszystkim twoją miłością.

Zawsze lubiłaś zaczynać dzień w ten sposób. Ładnie nakryty stół do śniadania jest miarą jakości życia, tak kiedyś powiedziałaś. Dobrze, że nie stało się to naszym codziennym zwyczajem. Podobało mi się, że stół nakryty w ten sposób do śniadania oznaczał u nas coś szczególnego.

Tego ranka jedliśmy śniadanie bardzo spokojnie, rozmawiając przy tym. O ile pamiętam, często się śmiałaś. Byliśmy zadowoleni. Potem bawiliśmy się z naszymi kotkami. Rozśmieszały nas ich pierwsze, niezdarne jeszcze próby chodzenia. Wszystko nas cieszyło. W ogóle nie myśleliśmy o tym, co nas czeka. Było wspaniale, Chris. Nigdy nie zapomnę tego

ranka, tego wyjątkowego śniadania.

Ani tamtego wieczoru. Kiedy było już po wszystkim, a my wracaliśmy do domu, śmialiśmy się, wiem, ale był to śmiech rozpaczny. Nie mogliśmy zrozumieć dlaczego ludzie, i do tego ludzie dorośli, mogą stać się tacy niewrażliwi i podobni do automatów. Nigdy nie potrafiłem tego pojąć, mimo że często rozmyślałem na ten temat. A ty — ty również nie rozumiałaś.

Oczywiście spóźniliśmy się wtedy o jakieś pół godziny. A inni, twoja najstarsza siostra, jej mąż, ich niemal już dorosła córka i rodzice, nie czekali na nas. Powiedziałem coś zdawkowego, aby przełamać tę lodowatą atmosferę, jaka nas otaczała. Potępienie było wyczuwalne. Zignorowaliśmy je. Tamci zaczęli już jeść. Świece na choince nie paliły się jeszcze. Ale wszyscy zgromadzeni przy dużym, owalnym stole jedli, chociaż zawsze, jeszcze w tych czasach, kiedy my byliśmy punktualni, a twoja siostra spóźniała się, panowała żelazna zasada, aby czekać z rozpoczęciem posiłku na ostatniego członka rodziny. Nawet gdyby takie długie czekanie miało zepsuć świąteczny nastrój. O.K. Tym razem zaczęli bez nas. Może należało uznać to za postęp. Może...

Ja w każdym razie pomyślałem wtedy: Chris, twoją siostrę zawsze ktoś faworyzuje. Dawniej robił to ojciec, później matka, chociaż właściwie nie mogła jej znieść.

W ogóle, Chris, za dużo wybaczałaś swojemu ojcu, a przede wszystkim — matce. Wydaje mi się, że jesteś jedynym człowiekiem tak na wskroś dobrym. Zawsze byłaś fair. Kochałaś ich. A oni nie zdawali sobie z tego sprawy.

Byli zbyt zaabsorbowani. Twój ojciec swoją pracą, a matka tysiącem prawdziwych i urojonych chorób, wizytami u lekarzy i całą masą innych zajęć. Kochałem ją, mimo jej wad. Ale jedna rzecz drażniła mnie w niej najbardziej: plotkarstwo. Rozgłaszała, co się dało, wszystkim na prawo i lewo, oczywiście jako największy sekret.

Właśnie twoim rodzicom chodziło o to, żebyśmy utworzyli jedną zwartą rodzinę, żelazny klan. Ale to właśnie oni skłócali swoje dzieci: przekazując plotki, wyróżniając jedno z nich. Czy nigdy nie zwróciłaś uwagi na to, że zawsze kiedy byliśmy u twoich rodziców, oni rozmawiali jedynie z twoją siostrą i jej rodziną...? Czy nie napiłabyś się czegoś? Czy siedzisz wygodnie? Może nalać ci trochę likieru...?

Zawsze skora do usług. Mimo to kochali nas chyba wszystkich. Tyle, że najbardziej twoją najstarszą siostrę.

Zawsze spędzałem chętnie czas z twoimi siostrami i rodzicami. Zwłaszcza jeżeli nie mówiło się o wadach twoich rodziców. Ale twoi rodzice nie bywali zbyt często u swojej średniej córki. Wprawdzie kupili jej jakiś ładny prezent, kiedy urodziła drugie dziecko, ale przez cały czas, który spędziła w łóżku, pokazali się tylko raz. Ty gotowałaś kilka razy dla siostry, jej męża i dziecka, robiłaś to nawet chętnie. Matka ciągle tylko obiecywała: przyjdę, zajmę się trochę dzieckiem, żebyś miała więcej czasu dla noworodka, ale niestety nie mogę ci gotować; muszę troszczyć się o ojca, pójść tu i tam, wiesz przecież, jak ciężkie jest teraz życie, ciągle tylko stresy i to tempo. Ale dobrze, wezmę małą na jeden dzień do siebie... Niestety, w ciągu pierwszych tygodni po porodzie nie uczyniła tego, a był to przecież czas, kiedy dla twojej siostry byłoby to dużą pomocą. Matka znajdowała za każdym razem jakąś wymówkę.

Z pewnością miewała też wyrzuty sumienia. Wtedy dzwoniła do ciebie i zaczynała się tłumaczyć: przez całe życie miałam obowiązki, wychowałam trójkę dzieci bez niczyjej pomocy, ale żyję i nie jestem jeszcze tak stara, abym miała żyć wyłącznie dla swoich wnuków, ja też chcę mieć coś z życia... I co można było na to odpowiedzieć.

Ale do rzeczy. Wydaje mi się, że w tamten wieczór wigilijny twój ojciec pomyślał również o swojej średniej córce, która ze względu na małe dziecko nie spędzała świąt z całym klanem. W oczach miał łzy, jak wtedy, kiedy po raz pierwszy ujrzał swojego wnuka. W gruncie rzeczy twoi rodzice to porządni ludzie, nie życzą nikomu źle. Ale to właśnie komplikuje

sprawę jeszcze bardziej.

A więc owego wieczoru siedzieliśmy, gadaliśmy o tym i owym. Było całkiem miło. A potem nagle stało się.

— A teraz — powiedziała twoja matka — weźcie się w garść, w końcu mamy dziś Wigilię, przydałoby się więc trochę odpowiedniego nastroju, chociaż brakuje śniegu.

Zgasiła światło, zapaliła świece na choince i zaczęła:

— Pokażcie, co umiecie, zaśpiewajcie kilka kolęd, albo ty, wnuczko, poczytaj coś na głos, poczekaj, może tę książkę.

I dopiero gdy ta prawie już dorosła wnuczka, córka twojej najstarszej siostry, przesyłała tekst, gdyż nikt jakoś nie miał ochoty śpiewać, twoja matka była zadowolona. Nie usiadła jednak obok nas. Stała oparta o ścianę, oczy błyszczały jej podejrzenie. Nie minęły jeszcze dwie minuty, a twoja matka, może przypominasz to sobie, Chris, przyniosła aparat fotograficzny, taki co to nie trzeba w nim nic nastawiać, i zaczęła robić zdjęcia. Z lewej strony, z prawej, z tego rogu, z tamtego, z przodu, z boku, tata z profilu, teraz najstarsza córka z profilu, a w ogóle trzeba zrobić jeszcze raz z tatą, teraz z Billym i z Chris... poczekaj, papo, teraz ty zrób nam zdjęcie, też chcę mieć chociaż jedno... I pstryk, pstryk, pstryk... Pięknie. Nastrój świąteczny już był, został nawet uwieczniony na zdjęciach. Zdjęcie dla ciotki Takiej-atakiej i dla wujka Bógwiejakiego. Zdjęcia do albumu.

A więc to był ten nastrój świąteczny, o jaki jej chodziło. Chciałem już coś powiedzieć, ale ty kopnęłaś mnie w kostkę. Powstrzymałem się. Spoglądałem tylko na świecę, jak ty. Chyba myśleliśmy o tym samym.

Dlaczego przypomniała mi się akurat ta stara historia — pomyślał, kiedy uświadomił sobie, gdzie się znajduje. Zauważył szklankę z jogurtem i łyżkę, którą już od dłuższego czasu stukał monotennie o szkło. Uśmiechnął się niewyraźnie, z zakłopotaniem, ale jednocześnie ubawiony potrząsnął głową.

Wybawienie nadeszło przez radio. Przenikliwy pisk przerwał ciszę i Billy, który zdążył już usadowić się wygodnie na fotelu, gdzie zamierzał się zdrzemnąć, odwrócił się zaciekawiony.

— Tu Feliks Kronenberg! — rozległ się znany mu głos.

Zdziwiony uniósł brwi, wyciągnął lewą nogę i dużym palcem wcisnął klawisz.

— Tak, tu Billy Hayes.

— Chciałbym mówić z Maksem.

— Aha... chwileczkę. — Odwrócił się wraz z fotelem. — Maks! To do ciebie!

Maks wyłonił się z ciemnej koi, mruknął coś i sztywno trzymając zabandażowaną rękę przeszedł obok Billy'ego. Rozmowę przyjął w studio telewizyjnym. Billy przyglądał mu się w milczeniu. Bez zbytniego apetytu łyknął trochę jogurtu ze szklanki.

Pokładowe urządzenie nagłaśniające było włączone, ale i bez tego mógł słyszeć wyraźnie każde słowo.

— Muszę przekazać ci informację bazy programowej — zaczął Kronenberg.

— W porządku. Słucham.

Dobrze się maskuje — pomyślał Billy. — Ma tak obojętny głos... A przecież musi się domyślać, co teraz nastąpi. Wstrząsnął nim dreszcz, zakręcił się na fotelu obrotowym raz i drugi, coraz szybciej i szybciej, aż ekrany zwały się w jedną długą wstęgę, wirującą w obłąkanym tempie.

Kronenberg przeszedł od razu do rzeczy.

— Zostałeś zwolniony ze skutkiem natychmiastowym — oznajmił.

— I co? — W głosie Maksa dźwięczała ironia. — Czy mam wracać teraz do domu?

— Nie wydaje mi się, aby była to odpowiednia pora do żartów. Za kilka godzin zluzują was Ewa Thompson i Gregor Vandenberg.

— Ewa?

Fotel wirował teraz wolniej... coraz wolniej... Billy nie zwracał już na to uwagi.

— Tak jest, Maks — odparł Kronenberg z naciskiem — Ewa. A po chwili: — Billy? Słyszałeś wszystko?

— Nie.

— To i dobrze. Koniec!

Billy westchnął, odstawił na pulpit szklankę z jogurtem i znowu zakręcił się wraz z fotelem.

Oczywiście, jeżeli spojrzeć na to wszystko oczami Amerykanów, to cała sprawa wygląda inaczej. Dla nich interwencja była całkowicie legalna. Chcieli uwolnić zakładników. Prawdopodobnie spodziewali się, że w ten sposób zażegnają powstały kryzys. Pokój na kuli ziemskiej został zagrożony — kolejny raz. Interesy USA i Związku Radzieckiego na Bliskim Wschodzie kolidują za bardzo. A więc uwolnienie zakładników. Do przeprowadzenia tej akcji potrzebna im była seria promieniowań, a raczej — jak nazwał to Maks — ich efekt uboczny. Wszystko inne nie liczyło się w tym przypadku. Grożąca katastrofa. Sumienie ludzi. W interesie sprawy dozwolone stały się wszelkie środki. Potem... potem można było wszystko posklejać z powrotem, poskładać to, co się połamało lub popękało. Przyszłaby kolej na dyplomatów, nadeszłaby ich wielka chwila.

Przypomnij sobie ... 1961... Okres bezpośrednio po nieudanej interwencji w Zatoce Świń... po wspieranej przez USA próbie inwazji emigrantów na Kubę... Wielka chwila dla dyplomatów.

Maks siedział nadal w studio telewizyjnym, wpatrując się w zamyśleniu w nadajnik radiowy. Może wspominał Ewę. Fotel Billy'ego wirował szybko. A więc zacięła się kasetka sterująca — zastanawiał się Billy. — W takim razie nie wolno im teraz używać reaktora. Wiedzą o tym równie dobrze, jak my tu na górze. Sprawa umarła śmiercią naturalną: dalsze promieniowanie jest niemożliwe. Ryzyko byłoby astronomicznie wielkie... Mogliby utracić stację.

Co stanie się teraz z zakładnikami w Riadzie? Czy udało im się ich odbić? Raz promienniki zadziałały. A jeżeli nie zdołali ich uwolnić? Co wtedy? A jeżeli inwazja Amerykanów nie jest już tajemnicą? Czy w takim razie Rosjanie pozostaną bierni?

Gdyby nie Maks, wszystko odbyłoby się bez problemów. A tak? Czapka niewidka zawiodła. Maks, będziesz miał całą masę kłopotów. Zwolnienie ze służby oznacza jedynie preludium do wielkiego koncertu.

A więc zakładnicy mogli zostać uwolnieni... Co ma większą wagę: odpowiedzialność za życie garstki Amerykanów przetrzymywanych jako zakładnicy czy odpowiedzialność za wywołanie kataklizmu o nieobliczalnych rozmiarach?

Do tego dochodziła jeszcze jedna odpowiedzialność. Za trzecią wojnę światową. Trzecią i ostatnią.

Maks opowiedział mu wszystko. O swojej nocnej pracy detektywistycznej, wykonanej za pomocą HARVEYA. O tym, co wykrył — począwszy od straszliwej tajemnicy, skrytej pod kryptonimem Laurin. O wszystkim. Nie taił też, jak sobie wyobraża dalszy przebieg wypadków... A jednak... Czy Maks miał prawo postąpić tak, jak postąpił? Działał wprawdzie zgodnie z własnym sumieniem, ale czy to sumienie nie powinno go było ostrzec przed możliwością wywołania wielkiego, ostatniego już konfliktu supermocarstw?

Wojna. Poczul ukłucie w okolicy żołądka. A co będzie, jeżeli wybuchnie wojna? Maks, czy dobrze sobie wszystko przemyślałeś? A Kronenberg? Jest przedstawicielem europejskim w Europejsko-Amerykańskich Władzach Kosmicznych. Czy od samego początku orientował się, na czym polega akcja Laurin? Czy też może — jak to często bywało — Europejczycy zostali wtajemniczeni dużo później? Dopiero kiedy zapadła już decyzja o rozpoczęciu operacji promieniowania? Kronenberg tkwił w całej tej sprawie aż po uszy, ale w jakim charakterze?

Czy jako nieświadoma ofiara, czy jako współnik?

A jeżeli chodzi o groźbę wojny... Porcelana pękła. Szybciej niż przypuszczano. Billy, czy nie przypomina ci to szkolnych lekcji historii? Niedawnej przeszłości? Wtedy gdy prezydent USA uznał, że można prowadzić wojnę, wojnę atomową o ograniczonym zasięgu, w Europie... Wszystko się powtarza.

Maks jedynie wykrył świństwo. Był to jego cholerny obowiązek moralny. Może w ten właśnie sposób zapobiegł wybuchowi wojny. W porządku. Teraz pora na sklepanie tej porcelany. Dyplomaci — do dzieła! Biegiem, marsz! Wasz wkład w tę sprawę to już i tak rzecz postanowiona. Zmieniła się jedynie wasza pozycja, jest teraz bardziej niepewna. Będziecie musieli wiele rzeczy wyjaśniać, zamiast — gdyby nie ingerencja Maks — wszystkiemu zaprzeczyć. Bo przecież nie byłoby żadnych dowodów. Międzynarodowe Władze Satelitarne nie zarejestrowały żadnych prób inwazji. A bez dowodów...

Billy usłyszał szuranie i odwrócił się; Maks wracał na swoją koję. Ujrzał tę cholerną drugą stronę medalu — medalu, jaki wręczył im pracując dla nich, prowadząc dla nich badania. Teraz miała go zmienić Ewa. Właśnie Ewa. Jacyż oni są okrutni...

— Właśnie Ewa — mruknął sam do siebie. To nie był zbieg okoliczności. Takie postępowanie nazywają wojną psychologiczną. A więc zaatakowali. Tak jakby zapomnieli, że są ludźmi, a nie drapieżnymi bestiami. Są bezwzględni. Maks wpakował ich w paskudne położenie. Za to mszczą się teraz. Oko za oko.

A Maks? Może właśnie do takiego postępowania skłoniła go ich postawa: nieustępliwa, bezwzględna. A ja? Jestem po jego stronie. Dokonałem już wyboru, Maks. Ale czy na pewno, czy aby na pewno?

Starał się nie patrzeć na zegarek. Harował jak osioł: sprawdził już przewody w centrali i wymienił je na nowe tam, gdzie to było potrzebne. Potem przez jakiś czas spał niespokojnym snem, ustawicznie zrywał się, dręczony myślami, których po otwarciu oczu nie był w stanie sprecyzować. Wreszcie ubrał się. Czy to już poranek? Właściwie było mu to obojętne. Cicho, żeby nie obudzić Maks, przeszedł do sekcji kontroli i tam zajął się pracą, w końcu usadowił się na fotelu przed radiem, czekając na dalszy bieg wypadków.

Zanim jeszcze ułożył się na wypoczynek, rozmyślał o wielu sprawach, teraz jednak nie potrafił przypomnieć sobie żadnego szczegółu. Wiedział tylko jedno: rację ma Maks, a nie baza programowa lub ten, kto zarządził powtórne promieniowanie. Ryzyko płynące z tej operacji było zbyt duże. Dwa promieniowania takiej mocy w ciągu krótkiego czasu... to nie może skończyć się dobrze. Stosunki polityczne można naprawić, ale tak bezwzględną i intensywną ingerencję w strefę klimatyczną...

Na pulpicie zapłonęły rzędy świateł. Łączność radiowa. Piszczący sygnał. Prom. Mimo woli wyprostował się, usiadł prosto w fotelu. Nagle zapragnął powiadomić Maks, że tamci już przybywają. W następnej chwili odprężył się. Maks leżał wprawdzie na koi, ale czy naprawdę spał? Billy nie wierzył w to. Z pewnością wie już o ich przybyciu, niech sobie jeszcze poleży, uporządkuje myśli.

— ... pierwsza korekta kursu... — poinformował niski, sympatyczny męski głos.

Gregor Vandenberg. Billy nie słyszał jeszcze nigdy tego nazwiska. Włączył kamery zewnętrzne i zaktywizował komputer oraz ekrany. Prom srebrzył się na tle ciemnego, nieprzerzanego kosmosu.

— Odstęp: siedem-cztery-trzy. — To Ewa. Billy rozpoznał ją, chociaż jej głos był nieco zniekształcony. Brzmiał łagodnie, a zarazem energicznie i pewnie. Wiedziała oczywiście, przeciw komu ma wystąpić na pokładzie Florydy Arklab.

— Dystans: cztery-siedem-osiem-jeden-zero... automatyczny system sprzężenia włączony — potwierdził Vandenberg.

Baza programowa wyjaśniła:

— O.K. Przejmujemy.

Prom mknął przez pustkowia, a Billy wbrew własnej woli utkwiał w nim wzrok, splatając dłonie jak do modlitwy. Był spokojny. Może tak będzie lepiej. Niech inni ich zluzują. W każdym razie tak będzie wygodniej. Odpowiedzialność... To było wygodne. A jednocześnie boleśnie uderzało w sumienie. Ich następcy... czy też będą mieli takie skrupuły jak oni, jeżeli zaistnieje podobny przypadek? A może będą działać w myśl zasady: „rozkaz to rozkaz”? W ten sposób zaoszczędziliby sobie wiele kłopotów i nieprzyjemności. Sobie, ale nie światu — biednemu — i tak już wstrząsanemu spazmami.

— Współrzędne lądowania: brawo-alfa-jeden-zero! Różnica rotacji minus jeden-cztery koma pięć.

— Synchronizacja włączona.

Billy wcisnął klawisz i zameldował się:

— Tu kapitan Hayes...

A prom zostawił już za sobą mleczną poświatę księżycy i zanurzył się w olbrzymim cieniu Florydy Arklab, podchodząc do ciemnej otchłani śluzy sprzęgającej sektora A... Billy poprawił sobie słuchawki, przysunął mikrofon do ust i mówił dalej:

— Pozdrawiamy załogę „Marylandu”. Zaktywizowałem już śluzę sprzęgającą.

Wcisnął klawisz. Wartości zielone. Szum. Następnie wprowadził do komputera odpowiednie informacje na temat promu. Magnetyczne taśmy HARVEYA zaczęły się obracać.

— Ruch rotacyjny zsynchronizowany — potwierdziła rzeczowo Ewa.

Zapłonęły dysze hamujące promu. Potężne, niemal bezbarwne płomienie rozrywały szklistą czerń kosmosu wyzwalając go z bezruchu, ożywiając na parę chwil.

— Automatyczny system sprzęgania działa — poinformowało kierownictwo programowe. — Wiadomość dla „Marylandu”. Powtarzam automatyczny system sprzęgania działa.

Oczywiście że działa, idioto! Dlaczego nie miałby działać? Teraz widzą wszędzie wrogów. Niech ich szlag trafi z tą nieufnością! Odchylił się do tyłu urażony, obserwując na ekranie zbliżający się prom.

— Drugi system sprzęgania działa — odezwała się stacja naziemna. — Sprzężenie za dwadzieścia pięć sekund.

Dane migotały na ekranie. Wszystko przebiegało zgodnie z planem. Żadnych odstępstw od normy.

— Manewr sprzęgający, faza końcowa...

Następnie odliczanie:

— 10... 9... 8... 7... 6... 5... 4... 3... 2... 1...

Prom został zadokowany: potężny dziób wsunął się w otwór śluzy, uchwyty magnetyczne przywarły mocno. Billy odczytał wartości: kokpit wahadłowca został sprzężony ze stacją. Z zewnątrz musiało to wyglądać tak, jakby w górnej części kadłuba Florydy Arklab utkwiała ogromna strzała. Wejście nowych astronautów na pokład stacji było już kwestią chwil. Billy odniósł wrażenie, jakby słyszał ich kroki. Z uwagą śledził wskaźniki komory śluzowej. Ciśnienie: wartości zielone. Warunki klimatyczne: optymalne.

Śluza kokpitu rozwarła się. Kamera S01 obróciła się i oto Billy ujrzał na ekranie Ewę. Schodziła po lekkim, metalowym trapie: pomarańczowa, nieforemna istota, poruszająca się mimo wszystko z wdziękiem. Na dole odpięła hełm, zdecydowanym ruchem zdjęła go i potrząsnęła głową rozrzucając włosy — gest typowo kobiecy.

Prawie się nie zmieniła — pomyślał Billy. Usta przybrały nieco surowszy wyraz, ma trochę krótsze włosy, ale nawet jej z tym do twarzy. Na bardziej dokładną obserwację zabrakło mu już czasu.

Nadszedł Vandenberg. Był to wysoki, barczysty mężczyzna — i to ostatnie wrażenie sprawiał nie tylko obszerny skafander. On również odpiął hełm, kiedy znalazł się w dolnej komorze śluzowej, po czym odwrócił się przodem do kamery. Wtedy Billy ujrzał jego twarz:

zaskakująco szczupłą, o szerokim podbródku, zmysłowych, wyrazistych wargach, ciemnych oczach i wydatnym nosie. Prawie tak duży jak mój — przemknęło Billy'emu przez głowę bezsensowne porównanie.

Ewa wydostała się już ze skafandra i sprawdziła go, chociaż na pokładzie stacji było mnóstwo kombinezonów zapasowych, po czym podeszła do Vandenberg. Żadne z nich nie zauważyło, że kamera w służbie jest włączona. Tak powinno być — pomyślał Billy. W ten sposób możemy ich obserwować, a powinniśmy przecież poznać lepiej naszych gości.

— Gregor — zwróciła się Ewa do swojego towarzysza. — Czy mógłby pan zająć Billy'ego przez pewien czas rozmową... a potem dołączyć do mnie?

Coś takiego!

— W porządku — odparł tamten swoim niskim, miłym głosem, trochę zniecierpliwionym, jak gdyby chciał powiedzieć: — Oczywiście, przecież tak to przedtem uzgodniliśmy. Nie musisz zgrywać się tu na komendanta! Zrobię wszystko tak jak trzeba.

Powiesił swój skafander, obciągnął ciemny, lekki kombinezon, sprawiając przy tym wrażenie, jakby Ewa przestała dla niego istnieć.

Ona natomiast przeszła przez komorę służową, kierując się do górnego pomieszczenia towarowego, skąd mogła się przedostać szybem do sektora kontroli. Poruszała się zwinnie, z wdziękiem. Ewa była kobietą atrakcyjną.

Billy wyłączył kamery i powrócił do prac naprawczych, nie potrafił jednak skupić się na tym zajęciu. Ból głowy zmniejszył się na tyle, że mógł go znieść, osłabł też ucisk w skroniach i na karku. Po chwili do sektora kontroli weszła Ewa.

— Maks...? Och, cześć Billy... Gdzie jest Maks?

Jej głos był teraz bardziej kobiecy. Ciepły, jedwabisty odcień jej brązowych włosów wydawał się bardziej intensywny. W nowej fryzurze było jej do twarzy. Miała delikatnie podkreślone oczy, nawet bez makijażu bardzo ładne.

— Na dole — odparł Billy.

— Jest ranny?

— Teraz jest już O.K.

Skinęła głową, jak gdyby nie oczekiwała innej wieści, po czym zwróciła się w stronę szybu i zawołała do Vandenberg:

— Billy jest w sektorze kontroli!

— Maks ucieszy się z pewnością z tego spotkania — mruknął ironicznie, ale Ewa zignorowała jego uwagę i zeszła na dół.

Billy odgarnął włosy z czoła patrząc za nią. Będą kłopoty. Cała masa kłopotów. Na szczęście to nie będzie trwało długo. W najbliższej przyszłości zmywamy się stąd. Vandenberg nie nadchodził. Nie można powiedzieć, by spełniał rozkazy zbyt gorliwie — pomyślał Billy. — Właściwie to dobry znak.

Wyjął bezpiecznik z rozdzielacza, podłączył przewód obejściowy i wsunął bezpiecznik z powrotem. Lekkie trzaski oznaczały, że świetlówki zapłoną niebawem. Po chwili tak też się stało. Normalne światło zalało centralę, sektor kontroli, stacje meteorologiczną i botaniczną, a następnie pomieszczenia mieszkalne i resztę stacji. Billy z westchnieniem ulgi rozparł się w fotelu, uśmiechnął się jak dziecko na wieść o przedłużeniu wakacji i poklepał się z uznaniem po ramieniu.

— Dobra robota, Billy! — pochwalił samego siebie.

Światło i Ewę, która zeszła do niego kocim krokiem, bezszelestnie choć niezbyt szybko, potraktował jak objawienie. Tak zresztą widział ją od dawna: była dla niego kimś świętym.

Teraz zjawiała się jako przeciwnik. Jego konkurentka. Stała po stronie tamtych. Mimo to nie potrafił myśleć o niej z nienawiścią czy choćby ze wzgardą. Uśmiechnął się: był to raczej odruch zrodzony z nerwów. Chciał odwrócić od niej wzrok, ale nie mógł się na to

zdecydować. Spojrzał na jej nogi — ani za długie, ani za krótkie. Potem na pośladki. Zawsze robiły na nim duże wrażenie. Ubawiony przypomniał sobie, że nigdy nie chciała jeść śniadania w łóżku... Z powodu okruszków. Z powodu okruszków, kłujących jej nagie ciało — uzupełnił w myśli. Dziwne, że właśnie teraz przyszło mu to do głowy. Nagle ich współzycie przestało mu się wydawać tak katastrofalne.

Ewa stała już na najniższym szczeblu drabinki. Odwróciła się i spojrzała na niego w tej samej chwili, kiedy on spojrzał na nią. Na jej twarzy błąkał się jakby uśmiech. Nie czuje do mnie nienawiści — pomyślał — nie sprawia już wrażenia chłodnej, zburzyła ów mur otaczający ją dokoła, jest... inna. Spostrzeżenia te były dla niego zaskoczeniem. Odwrócił od niej wzrok i spojrzał na swoje dłonie. Niezgrabny opatrunek, dzieło Billy'ego. Poczł znowu ból i postanowił go zignorować.

Ewa przystanąła tuż za nim. Musiał podnieść na nią wzrok, to było silniejsze od niego. Czł jej bliskość, ciepło ciała, jej zapach — specyficzny, jedyny w swoim rodzaju zapach, który tak w niej kochał. Przywoził na myśl pole pszeniczne i świeżą wodę źródlaną, mech i błękitne niebo, świeżość i przygodę.

Maks Marek. Morderca pośredni. Meteorolog radiostacji RTC i Florydy Arklab. Znowu przywdział na twarz swoją maskę z marmuru. Nie istniało już nic, o czym musiałby rozmyślać podejmując decyzję. Wszystkie zagadki zdołano już rozwiązać. W nim zaś narastał bunt. Nie przeciw Ameryce, ale przeciw wszystkim zagorzałym nacjonalistom, którzy sądzili nadal, że Ameryka to pępek świata. Wiedział, jakie punkty oskarżenia zostaną wysunięte przeciw niemu. Wiedział o tym, ale nie odczuwał strachu. A Ewa... Uśmiechnęła się słabo.

— Jak się masz, Maks?

Powiedziała to cicho, jakoś bezbarwnie, a jednak delikatnie. Patrzył na nią. Oparzona dłoń swędziała go coraz bardziej.

— Porozmawiajmy! — zaproponowała.

Opuścił wzrok, patrząc na kąty i białe zasłony wiszące dokoła. Czynił to bezwiednie, chociaż zapragnął nagle, by coś konkretnego przykuło jego uwagę.

Ewa poruszyła się. Słyszał szelest jej ubrania, zwinne kroki. Tym razem przystanąła tak, że mogła spoglądać na niego z boku, nachyliła się nad czytnikiem mikrofilmów i oparła o niego. Maks milczał uparcie. Sprawiał mu ulgę chłód metalowego stołu, przytwierdzonego do podłogi.

Ciszę panującą w pomieszczeniu przerwała Ewa.

— Chyba nie myślisz, że przyszło mi łatwo podjęcie tej decyzji?

Miała na myśli jej ostatnią transmisję video. Raptownie odegnał od siebie apatię, po czym spojrzał na nią.

— Dobrze — skinął głową z namysłem, niemal przyjaźnie. Nie potrafił traktować jej jak wroga. Nie chciał też jej zranić. — A więc podjęłaś decyzję. W takim razie co tu robisz?

— Chciałabym ci pomóc — jej głos był tak samo beznamiętny jak jego.

Maks wstał.

— Posłuchaj, Ewo... — zawahał się. — Ja... nie chciałbym, żebyś była w to zamieszana — podszedł do niej. Bał się, że podejdzie za blisko, ale szedł nadal, krok za krokiem, nie spuszczając z niej wzroku. — Tamci w dole wiedzą doskonale, co nas łączyło — powiedział cicho. — Nie daj się wykorzystać...

Łagodnie potrząsnęła głową: dwa, trzy jedwabiste kosmyki włosów musnęły jej prawy policzek.

— O czym ty mówisz?

— Oni chcą napuścić nas na siebie.

Milczała. Po chwili dodał, niemal wprost do jej ucha:

— Nie chcę, żebyś znalazła się w tarapatkach.

— Ja... ja wpędziłam cię w kłopoty, prawda? — ostatnie słowo wymówiła bardzo cicho

i łagodnie.

Utkwiła wzrok w jego oczach, budząc w nim falę ciepła... Może właśnie tam, gdzie ciemniowy wieniec oplótł tę kruchą rzecz, tę rzecz, którą niegdyś nazwał miłością. Wszystko się zmieniło, odkąd tu była. Maks usiłował wziąć się w garść. Nie ma czasu na sentymenty. Ale gdyby mógł sobie na to pozwolić, gdyby okoliczności zezwalały, gdyby... Gdyby nie było tego wszystkiego. Uświadomił sobie, że ona nadal czeka na odpowiedź. Skinął twierdząco głową, uśmiechając się przy tym.

— Przykro mi z tego powodu — powiedziała.

Tym razem wytrzymała jego spojrzenie, nie odwróciła wzroku, jak wtedy...

— Może... powinniśmy wreszcie zacząć wspólnie rozwiązywać nasze problemy.

Uśmiechał się nadal, ale jakoś żałośnie. Czyżby nie zdawała sobie sprawy, że jest już na to za późno? A może nie chciała tego wiedzieć? A może... to tylko trick? Żeby go zmiękczyć? Przeciągnął go na drugą, według niej lepszą stronę? Ale na to też było już za późno.

— No, nareszcie!

Billy zerknął raz jeszcze na nowy rozdzielacz, skontrolował przewody i kontakty. Rozejrzał się dokoła: oświetlenie funkcjonowało bez zarzutu. Pierwszy krok na drodze do normalizacji warunków życia na pokładzie został uczyniony. Billy wcisnął klawisz KONTAKT i... światło w centrali zgasło ponownie.

Wściekły, bezradny potrząsnął głową.

— Do diabła! Co za gówno! — klął niepomahowanie. Wyciągnął rozdzielacz. — Japońskie główko.

Dał za wygraną. Na razie musieli się zadowolić oświetleniem awaryjnym, które jak dotąd zdawało egzamin doskonale: nad blatami roboczymi i pulpitemi sterowniczymi rozpościerała się łagodna, sina poświata, kontrastująca z wielobarwnymi światełkami komputera.

Ostatnie ślady swądu zdążył już wchłonąć odświeżacz powietrza. To musiało na razie wystarczyć. Od tamtej chwili wymienił już osiem rozdzielaczy, ale cały jego wysiłek okazał się daremny. Pracował, nie potrafiąc się już skoncentrować. Piekły go oczy, zmęczenie brało w nim górę nad sumiennością. Wystarczyłoby pięć, sześć godzin snu... Ale o tym nie można było nawet marzyć!

Ciekawe, kiedy padnie rozkaz wymarszu!

Kroki. Tuż za nim. Vandenberg!

— Mam nadzieję, że nie przeszkadzam — powiedział tonem, który zdradzał, że nastawił się na konfrontację.

Brzmienie głosu było jednak nadal miłe, tworząc ostry kontrast z tonem: wyniosłym, lekceważącym.

Dureń! — pomyślał. Na głos powiedział:

— Witamy na pokładzie Florydy Arklab! — Trudno było nie wyczuć w jego głosie drwiny.

Vandenberg zignorował to. Jego ponura sylwetka pasowała do otoczenia: przygnębiającego i posępnego. Przywodził na myśl psa, idącego określonym tropem. Ale jakim?

— Niezły bałagan macie tu na pokładzie!

— Co pan powie!

Billy wykonał na fotelu obrót i wpatrywał się teraz w twarz swojego „miłego gościa”.

— A co z Maksem — zapytał Vandenberg. Jego wyniosły głos przybrał raptem rzeczowe brzmienie. Oczywiście wcale go to nie obchodziło. Było to jedynie zdawkowe pytanie. Chęć odwrócenia uwagi? Od czego? Ewa? A może po prostu sondaż? Na ile można sobie pozwolić z tym Hayesem? Czy jest niebezpieczny? Czy jest w zмовie z tym Maksem? Jeżeli Vandenbergowi rzeczywiście o to chodziło, to był kiepskim dyplomatą.

Billy obserwował go przez dłuższą chwilę, czując dziwne wibracje emanujące z tam-

tego, emocje, jakich nie potrafił określić. Vandenberg pocił się obficie, a jego pot miał zapach soli, cementarnych kwiatów i grzybów niejadalnych.

— Dlaczego pan pyta? — zdziwił się Billy. — Interesuje to pana?

— Oczywiście, i to nawet bardzo.

Nie przestawał chodzić tam i z powrotem, czujny jak drapieżnik szykujący się do skoku. Billy odwrócił się. Przez pewien czas patrzył na płataninę kabli, jakby nie było nic ważniejszego na świecie. Potem, nagle zdecydowany nie unikać konfrontacji z Vandenbergiem, odwrócił się do niego.

— Przybyliście tu, aby przeprowadzić ponownie promieniowanie — oświadczył, spoglądając na szerokie ramiona rozmówcy.

Szerokie i muskularne. Czujny. Ale czuje się pewnie. Otrzymał jasno sprecyzowane zadanie. Dlatego czuje się pewnie. Nie odpowiadał. To zrozumiałe.

— Czy nie mam racji? — indagował go uparcie Billy.

Vandenberg oderwał wzrok od klawiatury HARVEYA, odwrócił nieco głowę, ale w dalszym ciągu nie patrzył na Billy'ego, ukazując mu tylko swój profil.

— Wykonujemy jedynie rozkazy.

Jak mógł z początku uznać jego wargi za zmysłowe? Były po prostu grube. Dziwne, Vandenberg prawie nie poruszał nimi, kiedy mówił.

— W porządku. Niech pan dalej wykonuje swoje rozkazy, o ile ma pan dosyć życia.

— Ewa rozmawia już z Maksem.

— To ładnie z jej strony.

— Mam nadzieję, że uda jej się przemówić mu do rozumu. W końcu on też przeprowadził pierwsze promieniowanie... a... — jego wargi odsłoniły zęby w brzydkim grymasie — kiedy dowie się, jakie są skutki jego późniejszej odmowy, na pewno zmieni zdanie...

Billy hamował się z trudem. Nie daj się sprowokować! To podstęp z jego strony, on chce poznać szczegóły. I dopnie swego, jeżeli stracisz panowanie nad sobą. Vandenberg cofnął się o krok. Sprawiał wrażenie zadowolonego z siebie, ale nadal był chłodny, zachowywał pełną rezerwę. Jak zaprogramowana maszyna.

Billy czuł do niego niechęć. Wiedział jednak, że nie jest bezstronny. A przecież uprzedzenia nie były w jego zwyczaju. Pierwsze wrażenie jest na pewno ważne, ale istnieją jeszcze inne czynniki, które należy uwzględnić.

O tym wszystkim wiedział, ale nie mógł na to nic poradzić. Nie cierpiał Vandenberg. Nie bez znaczenia był tu też fakt, że to właśnie Vandenberg zajmie jego miejsce. Jest bezczelny. Albo takiego udaje. Ale jeżeli tak jest, to czyni to w sposób przekonywający. Ach, mam to gdzieś! A może jesteś na niego wściekły, gdyż jest to typ człowieka, który działa zgodnie z rozkazem i w ten sposób radzi sobie ze skrupułami?

Vandenberg przeszedł do stacji meteorologicznej, jego kroki były ciche, ostrożne, jak gdyby bał się kogoś zbudzić. Rozglądał się bacznie dookoła.

Billy przechylił się w fotelu, nie chcąc stracić go z oczu.

— O jakich skutkach pan mówi? — zapytał.

— Czyżby Ewa nic panu nie powiedziała?

— Do diabła! Niechże pan wreszcie mówi! O jakie skutki chodzi?

— Po prostu o skutki — brzmiała lakoniczna, a zarazem znacząca odpowiedź. Czarne oczy Vandenberg'a zabłysły diabolicznie w mętnej, z rzadka przerywanej świetlnym refleksem ciemności.

Billy zaczerpnął głęboko tchu, jego powieki rozwarły się szeroko, aby po chwili utworzyć wąskie szparki. Zaraz mu przyłożył — pomyślał. Jednak i tym razem zdołał się opanować. Udając obojętność wzruszył ramionami, wsunął na miejsce rozdzielacz, wstał i podszedł do szybu. Nie, nie dam się sprowokować, przyjacielu. Nie uda ci się ze mną ten numer — pomyślał. Zszedł po drabinie do sektora mieszkalnego. Maks mówił właśnie:

— ... i nagle cała moja praca stanęła pod znakiem zapytania. Z pokojowych eksperymentów naukowych USA uczyniły groźną broń! — w jego głosie brzmiały nienawiść i wzdarda. Nie było już delikatnego, wrażliwego Maksa. Maks, oceniłem cię źle. Teraz wiem, że dla świata byłoby lepiej, gdyby istniało więcej takich jak ty.

Podszedł bliżej, oparł się o ścianę i zaczął się przysłuchiwać.

— ... zawsze wierzyłem w pozytywne aspekty ingerencji w warunki klimatyczne, Ewo... A teraz? Co zostało z naszych wzniosłych haseł? Pamiętasz? Deszcz dla każdej strefy suszy! Wydajemy bitwę kataklizmom...! — zaśmiał się z goryczą.

Billy usiadł przed ekranem, rozmyślając o dalszym przebiegu wypadków, jaki przedstawił Maks. Włączył kamery rozmieszczone w sektorze mieszkalnym i przyjrzał się twarzy Maksa w powiększeniu. Maks sprawiał wrażenie starca. Zrozpaczonego starego człowieka.

Vandenberg odetchnął z ulgą. Hayes jest mądry, dlatego dał za wygraną i zszedł na dół. To dobrze. A więc jego taktyka okazała się słuszna. Miał wolną drogę. Wcale nie za wczesnie. Właśnie odebrał meldunek z bazy programowej:

— Windą towarową zostaną panu dostarczone dokumenty.

Bez przeszkód. Będzie mógł przeczytać je swobodnie. Reszta była zajęta czymś innym. Maks i Ewa. I ten Hayes... Najważniejsze to zyskać teraz na czasie. Niczego więcej nie potrzebował. Wszystko przebiegało zgodnie z planem. Cicho jak kot pospieszył do sektora kontroli, zaglądając po drodze do szybu. Uśmiechnął się zadowolony, nie widząc nikogo. Wszystko zgodnie z planem! Wszystko przebiega bez komplikacji! Wspaniale!

A jednak, mimo tego żelaznego spokoju, nerwy dawały znać o sobie. Słyszał odgłos uruchomionej windy, metaliczny zgrzyt trybów, skrzypienie liny. Panująca wokoło ciemność niepokoiła go, nie lubił jej — od tamtej chwili...

Nieświadomie liczył sekundy. Dwadzieścia pięć, dwadzieścia sześć... Winda z turkotem zjeżdżała w dół. Kiedy stanęła, otworzył ją i wysunął dużą, metalową skrzynię, którą uprzednio tam „zdeponował”. Ewa nic nie wiedziała o tym, nie miała w ogóle pojęcia o jego misji. I bardzo dobrze. W takich przypadkach nie można polegać na kobietach. Przekonywał sam siebie, ale to nie pomagało. Gorzki smak żółci rozprzestrzenił się w gardle. Panie Vandenberg, udowodniłeś wtedy bardzo przekonująco, jak znakomicie potrafisz sobie dać radę w takich sytuacjach.

Ta drwina! Jak to możliwe, by był wobec siebie tak okrutny! Czas płynął. Ryzyko rosło, należało więc działać szybko. Przyciągnął skrzynię do sektora kontroli, postawił ją tuż przy głównym pulpicie dyspozycyjnym, obok szybu. Nie da się zaskoczyć, o nie! Zdołał zwabić ich na dół, niech więc łaskawie pozostaną tam, póki on nie...

Szarpnął za pokrywę skrzyni. Otworzyła się i po chwili wyciągnął potrzebne dokumenty. Przeglądał je w słabym blasku oświetlenia awaryjnego, przebiegał wzrokiem poszczególne wyrazy, zdania... **ŚCIŚLE TAJNE. GREGOR VANDENBERG — DO RĄK WŁASNYCH.**

Wiedział doskonale, że trzyma teraz w ręku swoją jedyną szansę. Ostatnia możliwość, aby się zrehabilitować. Nie tracił czasu na dalsze czytanie. Położył dokumenty na pulpicie i zaktywizował systemy. Znał dobrze tę stację. On również odbywał tu w górze służbę, wprawdzie nie w sektorze A, ale... znał ją dobrze. Nie chciał myśleć teraz o przeszłości. Kosztowało go to zbyt wiele nerwów.

Komputer był zaktywizowany. Szum. Światelka. Żywe, radosne kolory, odbijające się w jego oczach, połyskujące na jego paznokciach. Szybko przywołał się do porządku. Kod identyfikujący. Najpierw musi wprowadzić kod ID. Wystukał go na klawiaturze.

IDENTYFIKATOR:

VANDENBERG, GREGOR

Luty, 02. 1965

Zawahał się przez chwilę, po czym dodał:

ZADANIE POUFNE KLASA PRIORYTETU T2

Ostatni wiersz zabłysnął czerwienią. Vandenberg przejrzał pobieżnie instrukcję. Z dołu dobiegały go głosy. Nadal byli zajęci sobą. Wspaniale. Wspaniale. Włączył ekrany nad pulpitem, zjawił się na nich obraz Maksa.

Siedział w fotelu i mówił właśnie:

— ... oczywiście, zdaję sobie sprawę ze skutków...

— A mimo to chcesz to zrobić! — w głosie Ewy brzmiał wyrzut, ale Vandenberg nie ufał jej. W sytuacji krytycznej zawiedzie. Tak jak wtedy ja. Takie już są kobiety. Zawsze takie były. I drwiąco, gdyż to sprawiało mu ulgę, pomyślał jeszcze: Jeżeli do głosu dochodzi serce. Pogardliwie wydał wargi. A więc planują coś, próbują go nabrać. Albo jego mocodawców. Jeszcze nie mają dosyć.

Był świadomy tego, że rozmyśla po to jedynie, by dodać sobie odwagi. By mógł działać zgodnie z rozkazem. Bez względu na uczucia osobiste. A te istniały w nim mimo wszystko. Lubił Ewę. Naprawdę. A ten Hayes... ma szczerą twarz, sympatyczny uśmiech, jest uczciwy... Mój Boże!

I Marek. Ten to ma charakter! Właśnie dlatego prowokował wybuch wojny światowej! A przecież chodzi o coś więcej niż interesy osobiste. Jednostka powinna podporządkować się dobru państwa. Ustawicznie powtarzał to sobie w duchu. Żadnych uczuć. Zadanie. Misja.

— Tak — skinął głową Marek — tak, mimo to chcę to zrobić... nawet gdybym miał wywołać kryzys polityczny... Chcę zwrócić uwagę opinii publicznej na niebezpieczeństwo płynące z nadużywania nauki...

Vandenberg poczuł ukłucie. A więc o to chodzi. Ale dlaczego dopiero teraz? Dlaczego czekał tak długo? Czyżby czuł się teraz pewniej? Czy naprawdę myśli, że jestem tak głupi? Ja albo ci w bazie programowej? Że tego nie zauważą, bo ich czujność osłabi fakt, że ja i Ewa jesteśmy tu w górze? Zachichotał nerwowo. Wywodom Maksa przysłuchiwał się już tylko jednym uchem. Jestem od nich szybszy. I będę szybszy. Skoncentrował się na tym, co robi. Założył videokasetę, zaznaczył na brzegu wypowiedź Maksa. Jestem szybszy. Wkrótce będę miał dowody, które skręcą ci kark, Maks. Ja nie popełniam błędów.

KLASA PRIORYTETU T2

— pulsował przed nim na ekranie czerwony napis. Szansa, na którą czekał tak długo. Weiskał odpowiednie klawisze. Obraz na ekranie centralnym zmienił się, coś zaszumiało, pojawiły się niebiesko-biało-czarne pasma. Potem:

CORA II

TRANSMISJA DANYCH

Spoglądał niecierpliwie na rzędy liczb. Wreszcie przekazywanie danych zakończył ostry dźwięk. Po chwili ekran zajaśniał ponownie.

INFORMACJE DODATKOWE:

OPERACJA LAURIN

TRANSMISJA DANYCH

Vandenberg stukał; dalej, wprowadzał swój program specjalny. Odsunął na bok instrukcję i nagle znieruchomiał. Co to za szelest? Czyżby wchodzili po drabince?

Nie, to tylko złudzenie. Dobrze. Bardzo dobrze. Był już gotów. Taśmy magnetyczne HARVEYA obracały się. Na ekranie widniała baza programowa, a pod nią płonęły czerwienią rzędy kodów. Rozległ się głos z bazy:

— Wylczyliśmy na nowo wszystkie dane dotyczące promieniowania. Za około siedem minut osiągnie pan współrzędne docelowe.

Tylko tyle. To wszystko. Krótco. Rzeczowo. Nienawidził tego sukinsyna, tego wora sadła, który został szefem bazy programowej. Ale co on mógł mu zrobić?

Drżąc z podniecenia Vandenberg spoglądał na ekran. Na schemacie dostrzegł niebie-

skozielony zarys kontynentu afrykańskiego, z prawej strony, bardzo wyraźnie, Morze Czerwone i wreszcie Arabię Saudyjską. Medyna, Mekka i Riad oznaczone były drobnymi punktami świetlnymi. Floryda Arklab przesuwiała się jak ruchliwy żółty czworobok w stronę Morza Czerwonego. Na ekranie zapalały się i gasły rzędy liczb. Vandenberg ze świstem wypuścił powietrze przez zaciśnięte zęby. Jeszcze sześć minut.

— Rozumiem to wszystko bardzo dobrze — mówiła Ewa do Maksa. Billy siedział znużony w fotelu, kołysząc się w jedną i drugą stronę.

Chodzi jednak o to, że zachowujesz się tak, jak gdybyś tylko ty troszczył się o prawidłowe wykorzystanie wyników badań. A przecież są jeszcze inni ludzie. Zaufaj im. Jesteś skazany na ich pomoc. Billy...

Gwałtownie odwróciła się ku niemu, pełna pasji i podniecenia. Wierzyła w to, co mówiła. Nie przeżyła jednak tego, co on i Maks przeżyli tej nocy.

— Billy — powtórzyła spokojniej. — Powiedz mi, że w tej sytuacji politycznej nie może sobie pozwolić na zrobienie sprawozdania!

Billy zakręcił się na fotelu i wlepił wzrok w ekrany.

— Podjąłem już decyzję. Jestem po stronie Maksa. Przeciw tym bezwzględny typkom, siedzącym gdzieś na dole.

To prawda, nie pochwalał tego, że Maks wyjawiał jej wszystko. Pozbawiał się tym samym szansy uzyskania efektu zaskoczenia. Ale Ewa jest jego towarzyszką życia. Kocha ją. A może nawet... może nadal jej ufa? A jak ty byś postąpił, gdyby zamiast Ewy przybyła tu Chris? Tak samo.

— Wyobraźcie sobie, co się stanie, kiedy cała ta sprawa wyjdzie na jaw! — mówiła to gwałtownie, gniewnie, przede wszystkim do Maksa. — Gdyby to wyszło na jaw — odpowiedziała sama na pytanie — Amerykanie byliby zdolni do wszystkiego! Wtedy nie mieliby nic do stracenia!

Była to fatalna sprawa.

Obaj z Maksem rozprawiali o tym, łamali sobie głowy, rozważali wszelkie „za” i „przeciw”. Teraz decyzja była już podjęta, nie mieli wiele czasu. Bo kierownictwo programowe — albo ci, którzy faktycznie wydawali rozkazy — też już się zdecydowało: obrano twardy kurs. Vandenberg, jako ich wierny paladyn, miał zaktywizować ponownie reaktor i promienniki. A Ewa?

Billy zastanawiał się nad tym. Wiedział tylko, że hasło brzmi: „Bez względu na straty”. Tamci nie troszczyli się o to, co się stanie z klimatem, z ludźmi zamieszkującymi tereny nawiedzone przez kataklizm. Nie obchodził ich też los stacji i jej załogi.

Liczyło się tylko osiągnięcie celu.

Chociaż... jeżeli chodzi o stację... Może naprawdę wierzyli, że on i Maks tylko blefują. Jakby nie było, nie mieli już czasu na rozmyślanie. Kości zostały rzucone.

Ewa spoglądała na niego płonącym, pełnym wyrzutu wzrokiem. Dlaczego odmawiasz mi pomocy? — wołały jej oczy. — Ty i ja moglibyśmy wspólnie przekonać Maksa, by działał rozsądnie. Nie może przecież zrujnować sobie całego życia.

Ewo, nie zrozumiałaś tego. Są jeszcze ludzie, którzy żyją, a jednocześnie są już od dawna martwi. Maks nie chce do nich należeć. A ja... ja też nie.

Na centralnym ekranie pojawiła się plansza stacji telewizyjnej RTC, zabrzmiał sygnał rozpoznawczy.

— Dziś w nocy — oznajmił spiker — jednostka helikopterów Marynarki Wojennej USA usiłowała dokonać nalotu na Arabię Saudyjską. Na nadzwyczajnym posiedzeniu ONZ strona amerykańska zdementowała stanowczo te doniesienia...

Billy wsłuchiwał się w rzeczowy, stanowczy głos spikera, patrzył na widoczne na ekranie działa, które stały w niebo śmiertcionośne pociski, a po chwili oglądał już zdjęcia z sali

posiedzeń ONZ, debatujących delegatów, słyszał ich głosy...

— A teraz nasza korespondencja z Waszyngtonu — zapowiedział spiker.

Głos zabrał korespondent:

— Już w kilka godzin po podaniu pierwszych wiadomości przed Białym Domem zebra-
li się zwolennicy ruchów pokojowych. Silne jednostki policji usiłowały rozpedzić demonstra-
cję...

Billy spojrzał na bladą twarz Ewy.

— Vandenberg powiedział, że wiedziałas o tym.

— Jak to?

— W każdym razie dał to do zrozumienia.

Ewa podchodziła do niego wolnym krokiem, teraz odwróciła się raptownie i odeszła
bez słowa.

Billy wpatrywał się znowu w ekran.

— ... doszło do zamieszek ulicznych, które częściowo trwają jeszcze w chwili obecnej
— kontynuował mówca. — Pod przewodnictwem Prezydenta zebrał się w trybie pilnym sztab
kryzysowy i od kilku godzin omawia się zaistniałą sytuację. O ile doniesienia o tajnej operacji
amerykańskich sił zbrojnych zostaną potwierdzone, to logicznym następstwem tego stanu rze-
czy będzie interwencja zbrojna wojsk radzieckich w Arabii Saudyjskiej. Trudno teraz przewi-
dzieć ewentualne skutki tych wydarzeń dla pokoju światowego...

Ewa wstała i udała się w stronę sektora, gdzie przebywał Vandenberg. Maks opuścił
głowę. On wiedział o tym — przemknęło Billy'emu przez głowę. — Od samego początku
działał w pełni świadomie. Nie tak jak ja. I w tym momencie poczuł złość, że zwlekał tak
długo. Ani razu nie zadał sobie trudu, by przeanalizować sprawę. Potrafił tylko szaleć, kłąć,
wymyślać, oznajmiać, że nie chce mieć z tym nic wspólnego. Natomiast Maks działał. To on
rozwiłką zagadkę tajnego programu „Laurin”, ujawnił całą tę śmierdzącą aferę. A konsekw-
ncje...

Jak brzmiało pytanie, które zadał wtedy? „Gdzie przebiega ostateczna granica, za którą
sumienie zaczyna odgrywać większą rolę niż rozkaz?” Teraz znał już odpowiedź.

Billy odwrócił się i spojrzał Maksowi prosto w oczy. Wszelkie słowa stały się zbędne.
Dzieląca ich przepaść przestała istnieć.

— Uwaga, Vandenberg, przekazujemy zmienione dane sterujące w celu zaktywizowa-
nia reaktora. Czynny jest jedynie segment 5.

— Gregor? — zapytała ze zdumieniem Ewa, wchodząc właśnie do sektora kontroli.
Słyszała ostatnie słowa meldunku z bazy programowej. — Co pan tu robi? Co to za dokume-
nty?

Vandenberg zerwał się gwałtownie z miejsca, na jego twarzy malowały się jednocześnie
czujność i podejrzliwość. Jego wzrok zdawał się hipnotyzować, usta zamieniały się w cienką
kreskę. Po raz pierwszy poczuła przed nim strach. Po plecach przebiegł dreszcz, oblewając ją
falą żaru. Całą siłą swej woli kryła te uczucia: napięcie, nerwowość, strach. Nie czekając już
na odpowiedź Vandenberg podeszła zdecydowanym krokiem do pulpitu. W ciemności maja-
czyły białe kartki dokumentów, jak gdyby były nafasforowane. W głowie kołatała jej jedna
myśl: zaktywizowanie reaktora... zaktywizowanie reaktora...

A więc naprawdę chcą to zrobić... Wyciągnęła rękę. Sprawiała wrażenie, jakby działała
nieświadomie. Palcami chwyciła dokumenty...

Vandenberg krzyknął agresywnie:

— Proszę mi to oddać! — po czym wyrwał jej z ręki dokumenty.

Zmierzyła go gniewnym wzrokiem, ale zignorował to. Poczuła, że dygoce na całym cie-
le — nie ze strachu, lecz z oburzenia. Odwróciła się, podbiegła do pulpitu i wcisnęła klawisz:
ODWOŁANIE DANYCH.

— Niech pani przestanie — rozkazał ostro, łamiącym się głosem. Był zdenerwowany, chociaż do tej pory udało mu się tego nie okazywać. Teraz brzmienie jego głosu zdradzało go, jeszcze trochę, jeszcze trochę... i nie wytrzyma tego napięcia...

— Niech pani odejdzie stamtąd! Szybko!

Uniósł prawą rękę.

Dopiero po chwili spostrzegła pistolet, który trzymał w dłoni: czarny przedmiot, połyskujący metalicznie. Nie czuła nic, zupełnie nic. Czas stanął w miejscu. Wpatrywała się jedynie w otwór lufy. Jeżeli myślała o czymś w tej chwili, to odbywało się to wyłącznie w najdalszych zakamarkach zwojów mózgowych. Jej twarz była teraz jak wykuta z kamienia...

— Niech pani odejdzie! — powtórzył Vandenberg, podkreślając rozkaz gwałtownym ruchem pistoletu.

Nie żartował. Jego oczy płonęły dziwnym ogniem, na czole perlił się pot. Za nim migotały wskaźniki komputera. Systemy działały. Przekazywanie danych było w toku.

— Szybko!

Tym razem był to już tylko szept. Posłuchała go. Stojąc na drabince odwróciła się jeszcze raz, spojrzała na Vandenberga. W mroku tworzył jedynie ciemny zarys.

Vandenberg usiadł. Nie odrywał od niej wzroku, trzymając nadal wycelowaną broń. Dopiero po dłuższej chwili odprężył się, odłożył pistolet i nachylił się nad pulpitem. A więc tak dziś wygląda człowiek opętany...

W głośniku zabrzmiało polecenie:

— Proszę nadawać poprzez amerykańską bazę programową!

Billy przysunął mikrofon do ust:

— Jedyne wolne kanały ma pan w europejskiej centrali. Proszę nam przekazać, kiedy możemy nadawać — odlepił kołnierz koszuli od zroszonej potem szyi.

Napięcie rosło, stawało się nie do zniesienia. Czy im się to uda? A jeżeli centrala europejska odmówi, jeżeli znowu skieruje ich do Amerykanów. Co wtedy? '

Boże, jak długo będzie to jeszcze trwało? Z pewnością Amerykanie pilnują i tego kanału. Nie dopuszczą, żeby zaczął sypać. A dla nich i wszystkich mieszkańców terenów zagrożonych jest to ostatnia szansa!

Trzask. Billy zaczerpnął tchu, napięcie rozsadzało go.

— Zrozumiano, Floryda Arklab — usłyszał głos z Ziemi. — Za cztery minuty jesteście na wizji. Możecie zacząć nadawanie.

Odetchnął z ulgą, wolno i przeciągle, jakby rozkoszował się powietrzem.

Na ekranie pojawiła się mapa. Afryka Południowa, Arabia Saudyjska. Szare pasma biegnące w dół ekranu sygnalizowały zakres odbieranych częstotliwości.

— Udało się! — wykrzyknął Billy z pewnym opóźnieniem, najpierw musiał przetrwać ten fakt. Jednak szczęście im dopisało! — Maks, przygotuj się, zaraz zaczynamy!

Opowiedzą tę historię, opowiedzą ją całemu światu. Przecież kiedyś wreszcie musi skończyć się to szaleństwo! Rozpoczęło się dręczące oczekiwanie. Wpatrywał się z napięciem w żółty, wędrujący po ekranie świetlisty punkt oznaczający ruch stacji. Ruszaj się! Szybciej! Baza programowa nie reaguje jeszcze. Nie zorientowali się w czym rzecz. Boże, spraw, by byli ślepi jeszcze przez pewien czas! Niech nadal wierzą, że Vandenberg załatwi tu w górze ich brudne sprawy...

Ewa weszła do studia telewizyjnego, zauważył ją jednak dopiero, gdy stanęła przy nim. Spojrzał na nią przelotnie, coś w jej wyrazie twarzy zaalarmowało go, zaniepokoiło.

Maks, widoczny na centralnym ekranie, mówił właśnie: — Jestem gotów. — Opuścił wzrok na notatki. — Zacznę od wprowadzenia ogólnego i dopiero potem przejdę do sprawy zasadniczej...

Billy skinął głową.

- A ty, Ewo? Nie przeszkodzisz nam?
- Chcę, żebyście to nadali!
- Skąd u ciebie ta nagle zmiana poglądów?
- Dowiesz się o tym w odpowiednim czasie.

Eksplozja! Coś rozpadło się na kawałki. O Boże, coś pękło! Vandenberg zaniósł się histerycznym śmiechem. Ewa zjawiała się za wcześnie. Za wcześnie. Jego misja! Gorączkowo uniósł głowę, spojrzął na wylot szybu: nic. Następnie w stronę sektora meteorologicznego: również nic. Spokój. Ona wypaple im wszystko. A może nie? Pozostał w bezruchu, siedział tylko i wpatrywał się w ciemność. Nic. Po chwili dobiegły go z dołu głosy. Maks. Hayes. I Ewa. Teraz... teraz na pewno mówi im o wszystkim. Dygotał tak silnie, że musiał przytrzymać się oparcia fotela. Wtedy dopiero pojawił się ta eksplozja, to pęknięcie... dokonały się w nim. Nie odrywał wzroku od czarnego, połyskującego pistoletu.

Bał się tej broni, była jednak jego jedyną nadzieją. Stwarzała szansę wypełnienia misji wbrew wszelkim przeciwnościom. Drgnął, kiedy przed jego oczyma zapłonęły jasne rzędy świateł. Urządzenie radiowe. Brzęczyk uszedł niemal jego uwadze. Wcisnął klawisz, wsłuchując się jednocześnie w głosy swoich przeciwników... O czym rozprawiają tak żywo? Co uczynią, aby mu się przeciwstawili? Będą chcieli go zabić. Zabić. Oni...

— Vandenberg, co się tam u was dzieje? Natychmiast przerwać łączność radiową z centralą europejską! Słyszysz pan? Jeżeli to będzie konieczne, może pan użyć przemocy!

No tak, przecież zapowiedzieli, że to zrobią... Marek uprzedził, że będą nadawać... że chcą poinformować cały świat. Oczywiście. Wiem o tym. Na pewno teraz rozmawiają właśnie o tym.

Poczuł nagle zawrót głowy. Zaciśnął dłonie na oparciu krzesła i potrząsnął głową. Spokojnie. Spokojnie. Dasz sobie radę. Jesteś szybszy. I lepsi... I... masz nad nimi przewagę!

Szef bazy programowej czekał na jego odpowiedź, na reakcję, dysząc przy tym ciężko. To okropne. Vandenberg wzdrygnął się. I nagle uświadomił sobie, że to jego własny oddech.

— Czy wyście zupełnie poszaleli tam na dole? — zasapał. A w jego umyśle rozbrzmiewało echo: Jeżeli to będzie konieczne, może pan użyć przemocy... przemocy... przemocy...

— Vandenberg! — Powtórzył z naciskiem głos z Ziemi — Vandenberg, to rozkaz! Pana ostatnią szansą jest sumienne wykonanie zadania, mam nadzieję, że nie zapomnieliście o tym!

— Za dużo ode mnie wymagacie!

...przemocy... przemocy... przemocy...

— Wcale nie za dużo! Już raz pan nas zawiodł. Nie muszę chyba przypominać katastrofalnych skutków pana fatalnej decyzji. Vandenberg, proszę natychmiast przerwać łączność radiową z centralą europejską!

Drżał na całym ciele. Kłął, ale brzmiało to raczej jak żalostny skowyt. Czuł wstręt do siebie samego. Najchętniej ukryłby się gdzieś, zagrzebał, zniknął innym z oczu. Zadarł głowę do góry, utkwiał wzrok w suficie, jakby chciał przeniknąć ciemność, która powoli, ale nieubłaganie zsuwała się ku niemu; powoli, lecz nieprzerwanie...

Nie! Potrząsnął gwałtownie głową. Nie! Tym razem: Nie! Nie zawiodę ich! Niezależnie od napięcia nerwowego czy psychicznego obciążenia udowodnię im, że można na mnie polegać. Nawet w trudnych sytuacjach. To pomogło.

Poczuł, jak ciemność wycofuje się, opuszcza jego mózg, poczuł siłę... energię w sobie. Odetchnął głęboko, potem wstał, odłożył pistolet na pulpit i przykrył go serwetką, a następnie pospieszył w stronę rozdzielacza.

Użyć przemocy... przemocy... przemocy... — dudniło mu w głowie. Nie mógł wyłączyć tego głosu ani go zignorować: był wszechobecny.

Billy wpatrywał się w ekran, w twarz Maksa. Wszystko było już przygotowane do pro-

gramu, mogli zaczynać. Wiedział, że za bardzo się pospieszył, ale świadomość pełnej gotowości sprawiała mu ulgę.

Oczywiście pora rozpoczęcia programu niej zależała do niego, chodziło o to...

Obraz zamigotał, przesunął się w dół, następnie twarz Maksa, powielona w licznych pomniejszeniach, zaczęła płynąć szybko ku górze... i wreszcie znieruchomiła.

Billy rzucił na Ewę szybkie, niespokojne spojrzenie. Żadne z nich nie odezwało się nawet słowem. W dalszym ciągu nie ufał jej. Ta nagła zmiana zapatrywań wydała mu się podejrzana, nie potrafił jednak zrozumieć zaistniałej sytuacji.

Nałożył sobie słuchawki, przysunął do ust mikrofon i zapytał:

— Maks, co u ciebie?

W tej samej chwili odezwała się centrala europejska:

— Za dwie minuty osiągniecie zakres naszej częstotliwości telewizyjnej. Jesteście gotowi?

— Tak, wszystko w porządku — zapewnił Billy.

Czy istotnie wszystko było w porządku?

Vandenberg uwijał się jak w ukropie, nie oszczędzał się. Nawet nie wiedział, kiedy wysunął bezpieczniki. Bezustannie walił z całych sił w płataninę kabli, rozrywał je, wyginał druty... Poczul nagle piekący ból — zorientował się, że rozciął sobie dłoń i że krwawi. Nie powstrzymało to jednak jego żądzę niszczenia. Połamane kontakty spadały na podłogę, sypały się iskry...

— Jeszcze pięćdziesiąt sekund — poinformowała spokojnie spikerka z centrali europejskiej. Dla niej była to jedynie czynność rutynowa.

Na ekranie pojawiły się wartości oznaczające zakres odbieranych częstotliwości. Żółty czworobok przesunął się na wyznaczone miejsce. Całe studio wypełnił donośny, piszczący dźwięk. Billy oddychał z trudem, ogarniało go napięcie, rosło w nim jak tajemna moc, która czai się, by uwolnić się i ulecieć gdzieś dalej...

Dźwięki umilkły raptownie, zgasły ekrany, zapanowała ciemność.

— Co się dzieje?!— krzyknął Billy. Po omacku dotarł do pulpitu, sprawdził kontakty, systemy... Wszystko było w porządku. Wtedy zrozumiał. Może nawet przeczuwał to, ale ludził się, że do tego nie dojdzie.

— Przerwali nam łączność!

Odwrócił się, dobiegł do metalowej drabinki, wspiął się szybko na górę.

— Billy! — krzyknęła za nim Ewa. — Billy!

Za późno. Billy był już w sektorze kontroli. Otoczyła go zimna, groźna ciemność.

Zwalczył podniecenie. Ostrożnie! Uważaj! On tu gdzieś jest. Bezszelestnie odsunął się od szybu, wyteżył wzrok, nie mógł jednak dostrzec Vandenbergą. Nie było go w sektorze kontroli. Może w meteorologicznym... Tam również panowały egipskie ciemności. Billy posuwał się dalej. Systemy działały. Szum. Tu i ówdzie migocące światełka. Wiedział, co to oznacza.

— Billy!

Głos Ewy odbił się echem i przebrzmiał. Nie odpowiedział jej, nie mógł się odezwać, gdyż w ten sposób zdradziłby Vandenbergowi miejsce, gdzie stał. Zapanowała cisza. Oddychając przez usta przeszedł na palcach do rozdzielacza C4. Poczul się nagle raźniej. Vandenberg miał teraz z pewnością takiego samego pietra jak on, bo w przeciwnym razie po cóż by się chował?

Jeszcze raz zabrzmiał krzyk Ewy.

— Zaraz zejść na dół — zawołał.

Znowu szedł po omacku, witając z ulgą każdy refleks świetlny przerywający ciemność. Wreszcie ujrzał wyciągnięty rozdzielacz.

— Do diabła! — syknął, a potem wybuchnął z gniewem: — Wprost trudno w to uwierzyć! Wszystko zniszczone! Wszystko zniszczone.

— Halo! — krzyczał Maks do mikrofonu. — Halo! Słyszycie nas jeszcze?

Ewa podbiegła do niego bezszelestnie, jakby unosiła się w powietrzu.

— Co się dzieje?

— Właśnie nic! — odparł wściekle. — Mamy przerwana łączność! — z oburzeniem machnął ręką, wskazując przy tym na pulpit sterowniczy. — Kim jest właściwie ten Vandenberg? — dodał po chwili, patrząc na nią badawczo.

Ciało Ewy sprężyło się, ukradkiem oblizła wargi. Opuściła głowę.

— On ma uruchomić promienniki. My... musimy ściągnąć na dół Billy'ego. Grozi mu niebezpieczeństwo. Vandenberg jest uzbrojony. Ma... ma pistolet.

— A dlaczego mówisz o tym dopiero teraz?

Zanim odpowiedziała, zamknęła na chwilę oczy:

— Bo chciałam, żebyście nadali ten program.

— Tu baza programowa...

Billy drgnął gwałtownie na dźwięk tego donośnego, nawykłego do rozkazywania głosu. — Tu baza programowa... Vandenberg, proszę zaktywizować reaktor w ciągu dwóch minut...

Cisza.

I znowu:

— Vandenberg... czy pan nas słyszy? Proszę zaktywizować reaktor! Vandenberg!

Billy wstrzymał oddech. Przez cały czas odczuwał instynktownie lęk przed chwilą, kiedy zgromadzone w nim napięcie znajdzie sobie ujście.

Teraz ta chwila nadeszła — i nic się nie stało. Ogarnął go spokój. Coś odpływało od niego. Drżał na całym ciele. Vandenberg. Na pewno jest tu gdzieś. Zaczaił się w ciemności, a teraz nie spuszcza go z oczu.

— Vandenberg! — powtórzył z naciskiem głos szefa bazy programowej. — Niech pan się odezwie i potwierdzi otrzymanie rozkazu!

Billy odwrócił się i krzyknął głośno, by usłyszeli go na dole Maks i Ewa.

— Maks, oni zaczęli odliczanie!

— Jeszcze wysadzą nas w powietrze!

— Spróbuję zablokować odliczanie.

Podbiegł do HARVEYA i wcisnął klawisz. Przełączył wskaźniki na wartości zerowe, skasował dane. Na ekranie pojawił się napis:

PRZEŁĄCZENIE WSTECZNE NA ZERO

— Udało się! — krzyknął Billy.

Nie ustawał w wysiłkach. Zero. Zero. Zero. Wszystkie przełączniki przesuwiał do oporu, anulując akcję.

ODLICZANIE: STOP

Jaskrawoniebieska linia podkreślała tę informację.

Znowu odezwała się baza programowa:

— Vandenberg, dlaczego wstrzymał pan odliczanie?

— Mówi Marek — odezwał się Maks. — To my wstrzymaliśmy odliczanie. Nie dopuścimy do dalszych promieniowań!

— Marek! — warknął szef bazy programowej. W jego głosie narastała furia. — Gregor Vandenberg został w momencie przybycia na pokład Florydy Arklab waszym komendantem. Jest upoważniony do użycia siły, jeżeli okaże się to niezbędne. Vandenberg, niech się pan odezwie!

— Vandenberg jest teraz niedysponowany — poinformował Maks.

Ale w tej samej chwili Billy zorientował się, że to nieprawda: tuż za nim, w ciemności, rozległ się cichy szcęk. Ktoś odbezpieczył broń.

Pistolet! Ten łajdak jest uzbrojony! Chciał odwrócić się i rzucić na Vandenberg, wyrwać mu z ręki pistolet — ale nie zrobił tego. Pragnienie zostało zduszone w zarodku — przez strach, który zadomowił się w nim, opanowując go całego. Stał nieruchomo, a Vandenberg, stojący gdzieś za nim, odetchnął z ulgą. Był zadowolony z siebie. Rozkoszował się sytuacją. Podszedł bliżej.

— Włącz! — syknął.

Przerażenie Billy'ego sięgnęło szczytu. Vandenberg nie był teraz człowiekiem normalnym, w subiektywnym odczuciu Billy'ego stanowił coś bezcielesnego, upiornego, skradającego się w ciemności. Na dole, w studiu telewizyjnym, Maks zapewniał bazę programową:

— Powtarzam: nie dopuścimy już do kolejnego promieniowania. Kasetą sterująca w segmencie 5 jest uszkodzona. Ponowne włączenie mogłoby spowodować całkowite zniszczenie stacji!

— Włącz.

Billy czuł na karku chłodny dotyk lufy pistoletu; czuł, chociaż Vandenberg nie był na tyle głupi, by podejść do niego tak blisko. Billy skinął głową, uniósł ręce. Zrób coś! Odwróć jego uwagę! Boże, jeżeli ten wariat nie wytrzyma nerwowo i strzeli...

— Powiedziałem: włącz — dyszał Vandenberg.

Wizja niesamowitej zjawy ustąpiła przed prawdą: Vandenberg też się bał. Ale czego? Czyżby mnie? A może siebie samego? Swojej gotowości do zabijania? Słyszałeś przecież, co powiedziano Maksowi: Vandenberg jest upoważniony do użycia siły.

Mimo to Billy nie dawał jeszcze za wygraną.

— Tak przecież nie można...

— Vandenberg — odezwała się baza programowa. — Nic nie stoi na przeszkodzie, by zaktywizować reaktor! Słyszysz pan! Niechże pan wreszcie zaktywizuje reaktor!

— Sam pan słyszał! Jeżeli zaktywizuje pan reaktor, to...

— Powiedziałem: włącz!

Billy odwrócił się powoli i ujrzał twarz Vandenberg; pokrytą potem, wykrzywioną. Jego wargi poruszały się bezustannie, jakby mówił coś do siebie.

— Nie wolno tego robić! — krzyknął Billy. — Kasetą w 5 segmencie zakleszczyła się, nie działa!

— Jazda, ruszaj się! — Vandenberg podszedł bliżej, wciskając mu lufę pistoletu w brzuch.

Billy cofnął się. Lada chwila spodziewał się; usłyszeć huk wystrzału, poczuć piekący ból... ale nic się nie działo, zupełnie nic. Vandenberg nie strzelił. Jeszcze nie.

Cofnął się znowu trochę — w stronę szybu. Vandenberg milczał. Jedyne jego wargi poruszały się nadal. Wyglądało to strasznie. Sprawiał wrażenie, jakby wsłuchiwał się sam w siebie. Bał się. Jeszcze dwa, trzy kroki do szybu, oceniał Billy. Minął już rozdzielacz, poczuł swąd spalonego kabla...

... i w tym momencie rzucił się w bok, uderzył o ścianę, zaciskając dłonie na czymś, co raczej wyczuł, niż widział. Vandenberg również skoczył przed siebie i Billy zdążył jeszcze pomyśleć: Teraz! Teraz strzeli! W następnym ułamku sekundy rozległ się huk wystrzału i wszystko odbywało się jak w filmie: Billy ujrzał oślepiający błysk, usłyszał detonację i zdziwił się, że w jego głowie następuje tak dużo wybuchów. Rzucił się w ciemności, a może po prostu runął na podłogę, przetoczył się kilkakrotnie, słysząc nadal odgłos wystrzału. Następnie poczuł potworne uderzenie w czoło i...

Krew. Gorąca i kleista ciecz ściekała mu po twarzy. Padł na podłogę — tym razem naprawdę, zataczając się, wymachując rękami, jakby musiał uchwycić się czegoś i... nie znalazł żadnego oparcia. Poczuł chłód. Ból. Osuwał się po drabinie. Leciał w dół szybu. Sektor

mieszkalny. Usiłował przytrzymać się drabiny, ale osunął się jeszcze bardziej, aż zatrzymał się, uderzywszy o coś twardego. Leżał skulony, przyciskając dłoń do zranionego czoła, do krwi, nie dającej się powstrzymać, ciekącej nieprzerwanie...

Cienie. Echo wystrzału. Oślepiający błysk wystrzału — jeszcze raz, i jeszcze... Następnie przeżył upadek, spadał na dno szybu, obracając się wokół własnej osi, ujrzał ciemną czełuść pod sobą i krzyknął przeraźliwie — po czym uderzył o coś twardego i...

Nie. Wcale nie głową. Ujrzał nad sobą Maksa, jego twarz przywodziła na myśl jasny, dobroduszny księżyc.

— Billy!

Głos wydał mu się zniekształcony, rozciągnięty... jak guma do żucia. Słyszał gwar.

— Ewo, podaj mi opatrunek... prędko...

W ciemnościach zajaśniała obandażowana ręka Maksa. Billy widział ją jak przez mgłę. Jak przez zamgloną, pokrytą kurzem szybę. Ewa pobiegła przez korytarz, który widział w makabrycznie wykrzywionej perspektywie. Grzebała przez chwilę w szufladach, po czym wróciła. Poznał to po odgłosie jej kroków.

Ktoś ujął jego prawą rękę, postawiono go na nogi. Znowu czuł pod stopami podłogę. Usiłował postawić kilka kroków, nogi przesuwaly się miarowo: jedna, druga, jedna, druga, buty szurały po podłodze. Nie, to nie on sunął do przodu, to ciągnęli go ci, którzy go podtrzymywali. On zaś czuł się tak, jakby unosił się w powietrzu. Nic już z tego nie rozumiał, zupełnie nic.

Zaciągnęli go w kąt. Nic nie widział. Miał nadzieję, że nie oślepl. W jego umyśle narastał krzyk: Boże, spraw, żebym nie oślepl!

Pocisk trafił go w głowę, przebił tkankę kostną i utknął w mózgu, niszcząc tam nie wiadomo co... Nie oślepl jednak. To krew zalewająca mu oczy.

— Co się stało?

Słyszał pytanie, ale nie był w stanie odpowiedzieć na nie.

— Billy, co się stało?

— On... strzelił... do mnie — odparł bezradnie, nadal zdumiony tym, co zaszło.

Cienie. Wszędzie te cienie. Ułożyli go na koi.

— Ona... jest z nim w znowie — wykrztusił z trudem, siadając.

Maks zmusił go, by położył się z powrotem.

— Chyba oszalałeś! — ofuknął go.

Sprawnie zaczęli przemywać mu ranę. Kiedy wsunęli w nią gazik, ogarnęła go ciemność. Umarłem — pomyślał.

— Powiedziałem temu sukinsynowi... że nie wolno tego robić! Mówiłem mu!

Aktywizacja reaktora. Vandenberg...

Ewa zdezynfekowała ranę. Drgnął gwałtownie. Ale najgorsze bóle miał już poza sobą. Znowu mógł myśleć. Przynajmniej w pewnym stopniu. Przyłożyła do rany gazę, zakleiła plasterem.

— O.K.? — zapytał Maks.

Skinęła głową.

— O.K.

— Vandenberg — grzmiał nawykły do rozkazywana — głos niech pan spróbuje uruchomić wrota awaryjne śluzy! Za wszelką cenę! Czy pan zrozumiał? Niech je pan uruchomi, a potem bezzwłocznie rozpoczyna odliczanie.

Ten głos... Nie mógł mu się przeciwstawić, nie wolno mu było tego robić, jeżeli miał im udowodnić, że mogą na niego liczyć...

Dyszząc ciężko skinął głową i już biegł w ciemności, przygniatającej, dusznej; oparł się o pulpit, wciskał klawisze. Żadnej reakcji. Poszarpane kable iskrzyły... Dobrze wywiązał się

ze swego zadania. Udało mu się. Ten Hayes... Nie. Nie chciał teraz myśleć o tym. Nie potrafił odczuć satysfakcji. Strzelał do człowieka.

Przez głowę przebiegały mu tysiące myśli, dudniąc w szaleńczym staccato: Musisz zamknąć śluzę. Tak, tak będzie najlepiej. Wtedy zostaną zamknięci na dole. Jak szczury. Tak. Tak. A ja będę mógł przeprowadzić w spokoju swoją misję. Wszystko będzie dobrze. Jeszcze nic nie jest stracone.

Czuł, że ogarnia go spokój. Zachichotał. Śmiał się nadal nawet wtedy, kiedy wiedział już, że nie zdoła zamknąć śluzu. Wprowadził do komputera zakodowaną informację.

ŚLUZA AINIĘCZYNNA!

Baza programowa zakomunikowała:

— Wrota awaryjne śluzu są uszkodzone. Powtarzam: wrota awaryjne śluzu...

Sami nie wiedzą, o co im chodzi! Cóż za idioci, ci w dole. Vandenberg odwrócił się: był w podniosłym nastroju, ale mimo to jego zdenerwowanie nie ustępowało. Czuł to. Głowił się, jak na przekór wszystkiemu zamknąć śluzę. Ale takiej możliwości nie było. Przecież niedawno zerwał kable, wśród nich z pewnością odpowiedni przewód...

Przechodząc obok pulpitu zabrał pistolet. Rękojeść była jeszcze ciepła. Podszedł do HARVEYA i mrugnął doń porozumiewawczo. Dlaczego nie zostawili mnie w spokoju? — pomyślał. — Nie mogłem postąpić inaczej. Czy nie mogą przestać mi przeszkadzać? Jestem przecież spokojnym człowiekiem!

Zaktywizował na nowo systemy. Na ekranie zabłyśły czerwone cyfry.

00 : 00 : 00

— Uwaga, baza programowa, tu Vandenberg zameldował. — Włączam odliczanie. Zaraz otworzę promienniki.

Otwierając promienniki oglądał je na ekranie: jak zwykle fascynowała go ich majestatyczna powaga, z jaką unosiły się powoli.

— Tu baza programowa. Niech pan się pośpieszy, Vandenberg! Znajduje się pan już nad współrzędnymi docelowymi.

Poczuł się niedobrze, mdliło go. Starał się jednak nie okazywać tego po sobie. Nie martwcie się! Na mnie możecie polegać — zapewniał w myślach swoich mocodawców. — Tym razem wszystko pójdzie jak z płatka. Zobaczycie, będziecie ze mnie zadowoleni!

Machinalnie gryzła paznokcie: ostatni raz robiła to, gdy miała nie więcej niż dwanaście lat.

— Nie wiedziałam, co oni zamierzają — zapewniała.

— Teraz to już wszystko jedno.

Maks machnął ręką. Dręczące go poczucie pustki i osamotnienia wypierało inne emocje. Ewa opatrzyła ranę, na szczęście nie było to nic poważnego, jakkolwiek draśnięcie sprawiło ból. Ale do tego Billy będzie się musiał przyzwyczaić.

Maks odszedł na bok, zostawiając ich samych. Ta broń! Vandenberg stanowił poważne zagrożenie. Jeżeli miał mu się przeciwstawić, również potrzebował broni. Ale czy na pewno? Do tej pory jedynie dwa czy trzy razy miał w ręku pistolet: nawet podczas służby wojskowej udało mu się uniknąć strzelania. I właśnie teraz miałby...? Nie. Zamknął szufladę z powrotem. Zresztą wiedział, że na pokładzie Florydy Arklab nie znajdzie i tak żadnego pistoletu, najwyżej kilka brudnych noży.

— ... tu baza programowa. Niech pan się pośpieszy, Vandenberg! Jesteście już nad współrzędnymi docelowymi.

— Promienniki znajdują się już na stanowiskach — rozległ się głos.

Żeby tylko nie stracić głowy — powtarzał sobie w duchu. — Porozmawiaj z nim. Wyjaśnij mu wszystko jeszcze raz. Musi przecież zrozumieć, że...

Przesunął się do przodu, niepostrzeżenie, ukradkiem. Nie chciał, żeby Ewa domyśliła

się, o co mu chodzi. Wiedział, że zrobiłaby wszystko, by go powstrzymać. Nie dlatego, że była w zмовie z Vandenbergiem, ale po prostu...

Cisza. Opatruje jeszcze Billy'ego. Wspaniale. A Billy otrząsnął się już trochę z szoku. Z pewnością sama świadomość, że został trafiony, była dla niego okropna. Maks mógł sobie wyobrazić, jak czuł się Billy.

— Ten facet to szaleniec, przez niego cały system chłodzący wymknie się spod kontroli! Cholerny idiota! — klął Billy.

— Leż spokojnie — mówiła Ewa.

Maks odwrócił się od nich i znowu podszedł do szybu.

— Za dwadzieścia sekund początek promieniowania. — Słyszał pisk towarzyszący odliczaniu na ekranie i mimo woli zaczął liczyć do wtóru.

19... 18... 17... 16...

Zaczął wchodzić po drabinie. Powoli. Nieubłaganie jak los. A więc to tak. Aktywizacja reaktora. Promieniowanie. Jego interwencja podczas próby powtórnego promieniowania. A teraz ten pośrednik morderców wkracza znowu do akcji.

Na samo brzmienie słowa „morderca” oblał go pot. Wchodził coraz wyżej. Prawa ręka, lewa ręka. Prawa noga, lewa noga. Najważniejsze, żeby nie prowokować Vandenberg. Ten typ jest zdolny do wszystkiego. Pisk. Pisk. 15... 14...

— Vandenberg, co tam się dzieje? — rozległ się głos szefa bazy programowej. — Vandenberg, niechże się pan wreszcie odezwie!

Maks wspinał się coraz wyżej. Vandenberg nie jest mordercą. On jest jedynie ofiarą. Tak jak oni. Tamci wywierają na niego presję. Vandenberg, za co musisz się rehabilitować? Co oni ci zarzucali? Czym szantażują cię tak skutecznie? Nie jesteś wariatem czy szaleńcem, najwyżej fanatykiem. Ale to oni sprawili, że stałeś się taki. Dużo słyszałem i jeszcze więcej zrozumiałem. Vandenberg, daj pomówić z sobą! Proszę, daj z sobą pomówić! Zawahał się, po czym dodał: — Mój Boże, jakże się boję!

Wspinał się coraz wyżej, podciągnął się na kolejne szczeble drabinki wiedział, że Vandenberg już go zauważył. To dlatego się nie odzywał.

— Vandenberg — rozległ się głos z Ziemi. — Dlaczego, do diabła, pan się nie melduje? Dlaczego...

On ma ku temu swoje powody, przyjacielu. Chce spokojnie wycelować. Wie, że nadchodzi. Wie. Metaliczny trzask rozległ się wyraźnie mimo szumów i pisków rozbrzmiewających w centrali. Vandenberg odbezpieczył pistolet.

Maks zapragnął nagle papierosa, chciał zaciągnąć się, poczuć zapach tytoniu.

— Wiem, że ma pan broń, Vandenberg! — powiedział w ciemność. Po suficie przemykały cienie i podłużne refleksy świetlne. Raptem zrozumiał, że Vandenberg nie będzie wdawał się w żadne rozmowy.

— Porozmawiajmy o tym wszystkim — zaproponował energicznie. To zdumiało go najbardziej. W jaki sposób zdobył się na taki ton? Nic nie zdradzało jego strachu. Zyskać na czasie! Muszę zyskać na czasie! Odwrócić jego uwagę... Może... Ale kiedy dostrzegł w końcu Vandenberg tego tkwiącego przy pulpicie gнома o pokrytej potem twarzy i dygocących wargach, trzymającego oburącz gotowy do strzału pistolet — wtedy uświadomił sobie z przerażającą jasnością, że jest już za późno. Nie zdąży obmyśleć już żadnego planu...

Płakał. Płakał bezgłośnie, nie roniąc nawet jednej łzy. Ale płakał naprawdę. Czuł w dłoniach, swoich spoconych, lepkich dłoniach dotyk pistoletu. Słyszał bicie swojego serca: puk-puk-puk-puk. I Maksa. Odbierał każdy, najdrobniejszy nawet odgłos zdradzający jego obecność: szelest materiału, skrzypnięcie kości.

Był zwinny. I cichy. Tak, przede wszystkim zwinny. A w jego umyśle, rozmiękczone, przeżartym przez strach i panikę, rozbrzmiewało natrętnie polecenie: Jeżeli to konieczne siłą. Czy pan rozumiał, Vandenberg? Jeżeli to będzie konieczne, użyje pan siły. Musi pan wyko-

nać to zadanie. To rozkaz. Siłą, siłą...

Kurczowo ścisnął w dłoniach pistolet. Czekał. W jego umyśle kłębiły się myśli, które nie on chyba stworzył. Nie, nie on. Ale powtarzał je bezustannie, odmawiał jak litanie. Jak cytat z Ewangelii.

Potem usłyszał głos Maksa.

— ... Porozmawiajmy o tym wszystkim!

Nie ma o czym, Marek! Niech pan odejdzie! Jeszcze jeden krok i strzelam!

Nie pozwoli, by ktoś przeszkodził mu w wykonaniu zadania. Odliczanie już trwa! Za kilka sekund rozpocznie się promieniowanie. Jeszcze trochę! Musisz wytrwać! Wtedy udowodnisz wszystkim, że potrafisz postawić na swoim, że mogą na tobie polegać.

Boże, jakże się bał tej próby! A jednak okazało się to tak proste! Wystarczyło zacisnąć zęby. W razie konieczności użyć broni. Użyć siły. Pot spływał mu po twarzy. Ale to zadanie zdecydował się wykonać tak, by zadowolić swoich mocodawców. Tym razem nie zawiedzie ich. Na pewno nie. Nie wolno mu było myśleć teraz o innych. Tylko o sobie. O sobie i o szansie, jaką mu stworzono.

Ten Marek i ten Hayes... oni chcieli go nabrać. Kasetą sterująca się zakleszczyła? I zaktywizowanie reaktora miałyby być groźne? Akurat! Zachichotał, ale ku swemu przerażeniu usłyszał, że chichot przeradza się w suche, zduszone łkanie. Ponad lufą pistoletu skierował wzrok na Maksa. Na jego bladą twarz. Chciał go nabrać. Ale czy na pewno? Nie wierzył w to. Boże, nie mógł w to uwierzyć. Jego sumienie... Ale rozkaz to rozkaz. Nie zawiedzie ich... nie wolno mu... Ta panika! Musi im udowodnić, że jest pełnowartościowym człowiekiem ich... ich... ich czego?

Plakał, nie zdając sobie nawet z tego sprawy. *M a r e k, d l a c z e g o p o p r o s t u n i e z e j d z i e s z z p o w r o t e m n a d ó ł?* — pomyślał bezradnie. — Dlaczego jeszcze tu jesteś? Co to? Wchodzisz jeszcze wyżej? Twoja głowa... Widzę twoją głowę. Teraz ramiona. I tułów.

Dlaczego tak na mnie patrzysz? Nic na to nie poradzę! Naprawdę! Wcale nie czuję do ciebie nienawiści! Tylko że... Nie. Nie czuję do ciebie nienawiści. Muszę tylko wypełnić swoje zadanie. Wykonać rozkaz.

— Odliczanie w toku.

Ucisk w głowie Vandenberg'a przybrał na sile, umiejscawiając się pomiędzy oczami.

— Strzelam! — ryknął rozpaczliwie.

Wiedział, że nigdy nie zapomni spojrzenia Maksa.

— Niech pan posłucha, Vandenberg — rzekł z naciskiem Maks. Jego słowa brzmiały tym razem jasno i wyraźnie. — Vandenberg, pan nie wie, co robi!

Odliczanie trwało, czerwone cyfry przemykały po ekranie: upiornie szybko, zdecydowanie jak śmierć.

00 : 00 : 06

00 : 00 : 05

00 : 00 : 04

00 : 00 : 03

I Vandenberg widział to kątem oczu, a jego panika i narastające szaleństwo przerodziły się w zadowolenie i satysfakcję. Jeszcze trzy sekundy cieszył się nędzne trzy sekundy! Teraz już nie odbiorą mu zwycięstwa, zadanie będzie wykonane!

— Marek! Niechże pan stąd wreszcie idzie! W przeciwnym razie będę musiał strzelić — szeptał, rozkoszując się swoim spokojem i odzyskaną przewagą. Ale dlaczego nie chce mnie posłuchać? — myślał zdziwiony. — Dlaczego? Przecież musiał już uznać moją przewagę. Byłem szybszy od niego i mądrzejszy. Jeszcze trzy sekundy, dwie, jedna! Dlaczego jest przeciwko mnie?

— Musiałem być posłuszny, panie Marek. Musiałem wypełnić zadanie.

Stacja wcale nie ulegnie zniszczeniu. To tylko blef ze strony twojej i Hayesa. Nie chcecie po prostu przyznać, że przegraliście, że to wy zawiedliście. Stacja nie ulegnie zniszczeniu. Promieniowanie musi się odbyć. Boże, kiedy wreszcie miną te trzy sekundy?

Nie odważył się odwrócić głowy, by spojrzeć na przemykające po ekranie liczby. Nie wolno mu było spuszczać Maksa z oczu. Nie mógł osłabić swej czujności, nie teraz, tuż przed osiągnięciem celu.

— Pan oszalał! — wykrztusił Marek.

— Do jasnej cholery, niech się pan stąd wynosi, bo będę strzelał!

— 3... 2... 1... — liczył osobiście szef-bazy programowej.

A Marek wpił wzrok w Vandenberg: tym spojrzeniem zaklinał go, przeklinał, zabijał. Nie mówił już nic... ale i nie odchodził. Tkwił tak jak upiór, przytrzymując się oburącz górnych szczebli drabinki.

Może rozmyśla teraz gorączkowo, czy nie powinien zaryzykować, skoczyć na niego, zaatakować go... Jak tamten, Hayes. Billy rzucił wtedy czymś w niego. Ale on okazał się szybszy.

Musi pan wypełnić to zadanie, Vandenberg. Nawet gdyby miał pan użyć siły! Siły... siły... siły... — Ten głos rozbrzmiewał w nim nieprzerwanie, nie umilkł ani na chwilę, był jego motorem.

A Marek spoglądał na niego, był tu w dalszym ciągu. Nie odszedł. Nie posłuchał go. Vandenberg dygotał na całym ciele. Coś dudniło mu w głowie. Przypomnił sobie, że jeszcze niedawno płakał; bezgłośnie i bez łez. Teraz łzy oślepiały go akurat w tym momencie, kiedy musi strzelić! Tak. Musi, bo za wszelką cenę ma wypełnić zadanie. Dlatego musi zabić tego zastygłego przy drabince upiora. Wystrzelił! I okazało się, że nie jest to wcale takie trudne: starczy wyobrazić sobie, że to tylko niewinne strzelanie do tarczy, a kiedyś osiągał na strzelnicy dobre wyniki. Teraz więc pokaże wszystkim, że nadal jest dobry. Zdziwił się, że języczek spustowy stawia opór. Ale on był silniejszy, pokonał ten opór śmiejąc się i płacząc zarazem. Tym razem miał naprawdę łzy w oczach może pojął, iż Marek nie jest żadną tarczą, że też potrafi myśleć, czuć, snuć plany, może nawet płakać...? A jednak wystrzelił. Jeden raz, drugi i trzeci. Trzy razy. Sama obecność tego upiora stanowiła groźbę.

Wszystko potoczyło się bardzo szybko. Strzelał, trzymając mocno i kurczowo pistolet, a mimo to lufa podskakiwała po każdym strzale do góry, jakby broń była żywą istotą. On jednak był silniejszy, poskromił ją i pociągnął za spust raz, drugi i trzeci. Widział błyski przezywające ciemność, mknące ku Maksowi, trafiające go w pierś, słyszał trzy głuche uderzenia, poprzez łzy spoglądał na pierś Maksa, na wykwitającą na niej jasną czerwień, a w głowie rozbrzmiewało echo wystrzałów, zagłuszając szept „siłą... siłą... siłą”. Potem nastąpiła cisza.

Siła uderzenia odrzuciła Maksa do tyłu, na ściankę szybu, jego ręce uniosły się bezradnie, ale nie znalazły już żadnego oparcia. Runął w dół.

START

— zapłonął napis na ekranie i to była ostatnia rzecz, jaka dotarła do świadomości Maksa. Rozpoczęło się promieniowanie. Przed jego oczami eksplodowała oślepiająca jasność, błyskawica, która rozerwała jego umysł, nie pozostawiając nawet czasu na zdumienie. Potem nastąpiła ciemność. Jego ciało uderzyło ciężko o podłogę jak wielka bela materiału.

Obok stał Billy. I Ewa. Promieniowanie trwało. Promienniki emitowały swą energię, reaktor działał. Promieniowanie trwało, chociaż tylko jeden segment był sprawny. Przeciężenie...

Zakaszał. Chciał podeprzeć się, wstać, zrobić coś, cokolwiek, porozmawiać z Vandenbergiem, błagać go, by przerwał akcję, w każdym razie uczynić coś, co pomogłoby uniknąć nieszczęścia, nie chciał bowiem, żeby Billy i Ewa zginęli, nie mógł ich sobie wyobrazić jako bezwładne ciała, chciał...

Nie mógł się podnieść! Nie czuł już ani rąk, ani nóg, ani w ogóle ciała, nie słyszał nawet

swego głosu, którym wykrzyczał przepełniający go strach...

Nie potrafił wykrzesać z siebie żadnych emocji, kiedy miękka, podobna do cienia postać spadła do szybu uderzając o podłogę; nawet wtedy, gdy nachylał się nad leżącym zawiąniętym. Nie było czasu na uczucia. Spoglądał w dół na Maksa, patrzyła nań również Ewa, stojąca tuż obok. Jej oddech przywodził raczej na myśl łkanie. Maks został trafiony. Trzy otwory. Trzy czarne otwory w piersi. I tylko trochę krwi. Dlaczego jest tak mało krwi?

Wymienili z Ewą zatrwożone spojrzenia. Billy poczuł zawrót głowy, w jego ranie na czole bulgotała lawa. Zbyt gwałtownie podbiegł do Maksa, nie czuł się jeszcze dobrze. A przed nim leżał Maks. Umierał, chociaż rany nie krwawiły zbyt obficie: te trzy czarne otwory nie wyglądały groźnie.

Cofnął się. Ewa opadła na kolana tuż obok Maksa, dotknęła go nieśmiało, jakby próbując zbudzić go z mocnego snu. W następnej chwili pierwszy szok minął. Billy zakręcił się na pięcie, niemal tracąc równowagę, uderzył o ścianę, po czym pobiegł co sił w nogach. Zastrzyki morfiny! Musi mu przynajmniej pomóc uśmierzyć ból.

Maks nie jęczał. Leżał zupełnie cicho i przez jedną straszliwą chwilę Billy odniósł wrażenie, że już umarł.

Z tyłu odezwała się Ewa, dziwnie opanowanym głosem:

— Maks, zrobimy ci zastrzyk...

Billy wyciągnął spod koi apteczkę, otworzył ją gwałtownie. Jedną ręką ujął strzykawkę, drugą igłę i już biegł z powrotem. Po drodze nałożył igłę. Ewa podciągnęła rękaw Maksa. Billy klęknął obok i wbił igłę w żyłę, nie dezynfekując nawet ciała, po czym zaczął przesuwać tłok strzykawki aż do oporu.

Początkowo widział jedynie migotanie fioletowych światełek. Cisza. Maks poruszył się nieznacznie. Potem rozpoczął się alarm. Ciemność rozprysła się na strzępy. Ewa odwróciła się gwałtownie. Billy odczekał chwilę i wyciągnął igłę z żyły.

Z góry dobiegł ich głos szefa bazy programowej:

— Vandenberg, przegrzanie jest zjawiskiem normalnym...

Głos brzmiał metalicznie, spokojnie. W takich sytuacjach nie wolno ujawniać uczuć.

— Proszę zachować spokój! Sprawujemy nad wszystkim kontrolę...

Nad wszystkim kontrolę? Odliczanie! Promieniowanie! Wspomnienie powróciło podrywając Billy'ego dosłownie pod sufit.

Vandenberg spoglądał na przemian to na pistolet, to na czerwony, pulsujący napis na ekranie centralnym:

OSTRZEŻENIE

Taka sama przestroga pulsowała w jego umyśle. Zabił. Dwa razy. Hayesa i Maksa. Pot wystąpił obficie, zaklejając mu szczelnie wszystkie pory. Poczł mrowienie na skórze. Jego ręce poruszały się teraz, jakby były samodzielnymi istotami: odłożyły pistolet na stół, uniosły się ku górze, zaczęły drapać ciało na karku, podbródek, skronie... Mrówki przeszły na plecy tam gdzie nie mógł dosięgnąć ich dłońmi. Vandenberg wygiął się w kabłąk i siedząc w fotelu zaczął trzeć plecami o oparcie, tam i z powrotem. Swędzenie nie ustępowało. Odniósł nagle wrażenie, że nie może złapać tchu, że musi krzyknąć. Ale nie! Trzeba być ostrożnym! Jeżeli otworzysz usta do krzyku, mrówki wejdą ci do gardła, potem jeszcze dalej...

O Boże, a wtedy...

Nie krzyknął. Alarm ostrzegawczy rozbijał jego myśl na cząstki w rytmie, w jakim wymawia się słowo: MOR — DER — CA, MOR — DER — CA, MOR — DER — CA, MOR — DER — CA. Ale przynajmniej przestał go dręczyć tamten szepczący głos.

Vandenberg odwrócił się gwałtownie, wydało mu się, że widzi pierzchających przed nim wrogów, bez celu przebiegł przez centralę, następnie zawrócił zastanawiając się, co teraz robić. Właściwie wszystko było już zrobione, zadanie wykonane. Dlaczego nie nadchodzi

pochwała? Dlaczego z Ziemi nie potwierdzają, jak wiele dla nich zrobił? Dlaczego informują go tylko, że sprawują nad wszystkim kontrolę? I dlaczegoż to nie miałyby zachować spokoju? Do tej pory nie stracił panowania nad sobą, nie załamał się, dowiódł, że na nim można polegać bardziej niż na innym zwykłym śmiertelniku. Był szybki. I sprawniejszy niż te szczury. Biedne, biedne szczury.

Znowu poczuł łązące po nim robactwo. Zaczął się drapać, kalecząc sobie powieki i wyrwijając brwi, ale swędzenie nie ustępowało.

— ... wszystko przebiega zgodnie z planem — dobiegł go jeszcze głos z Ziemi.

OSTRZEŻENIE

— pulsował nadal napis na ekranie centralnym.

OSTRZEŻENIE

PODWYŻSZONA TEMPERATURA

W SEGMENTCIE 5

Kamera C05 włączyła się automatycznie, ukazując zdefektowany segment.

Vandenberg przemierzał pokój szybkimi krokami tam i z powrotem, ale nie odrywał wzroku od ekranu. Groźba promieniująca z segmentu 5 była... Nie potrafił oddać tego słowami. Ani sprecyzować w myślach.

— Billy... — szepnął Maks.

Ewa wyprostowała się, siedziała teraz sztywno.

— Daj mi to! — wyjęła z dłoni Billy'ego strzykawkę.

— Billy, musisz...

— Wszystkie działania reaktora przebiegają teraz z przewidzianą przez nas tolerancją — usłyszał Vandenberg. Głos dochodził jakby z oddali. Szef bazy programowej. Oczywiście on.

— ... stacja jest teraz sterowana automatycznie z Centrum Obliczeniowego — pisk oznajmił, że łączność zostanie przerwana. Wcale mnie nie pochwalili — pomyślał Vandenberg. — Nic do nich nie dotarło. Nie wiedzą, co dla nich uczyniłem. Właśnie ja! A oni nadal nie mają do mnie zaufania. Sterują nami z Centrum Obliczeniowego. Tak jakbym ja nie mógł tego robić... — zaklął, machnął ręką. Poczul ulgę, był wolny. Łązące po nim robactwo znikło gdzieś.

Ustawicznie odwracał głowę, patrząc na ekran, na pulsujący coraz szybciej napis:

OSTRZEŻENIE

Poniżej ukazywały się wskaźniki:

TEMPERATURA CHŁODZENIA: SEGMENT 5

581 K

601 K

672 K

678 K

699 K

— Niech się pan tym nie przejmuje, Vandenberg!

Dobrze im mówić. Nie przejmować się. Kiedy właśnie ma powód do zmartwienia. Czy oni tam nie widzą, że...

Odwrócił się, udręczony wizją szczupłej, bladej twarzy Maksa wyłaniającej się z mroku, oczu patrzących nań z niemym wyrzutem...

Musi zatrzymać to wszystko. Temperatura! Wcisnął klawisz.

Na ekranie zapłonął napis:

STEROWANIE RĘCZNE NIEMOŻLIWE!

Na dłonie wystąpił mu pot. Robactwo zagnieżdżyło się znowu na jego ciele. Plecy naciśnięta lodowata ręka. Miał wrażenie, jakby został osaczony, zamknięty w stęchłej szczurzej

norze. Zrobiło mu się gorąco, szarpnął za górne zapięcie skafandra rozchylając go. Ale nie przyniosło mu to żadnej ulgi...

Maks umrze. Wiedział o tym i dlatego nie mógł zostawić go teraz samego, jakkolwiek zdawał sobie jednocześnie sprawę, że musi przeszkodzić Vandenbergowi. Był w rozterce. Pragnął polecieć na górę, do Vandenberga, ale powstrzymały go słowa wyszeptane przez przyjaciela. Został.

Ewa otarła wata czoło Maksa. Zrobiła to nadzwyczaj delikatnie i ostrożnie. Pot perlił się obficie na jego ciele rozpalonym od gorączki, miał popękane wargi.

Billy spoglądał na przyjaciela, dostrzegał wszystko, ale ten wstrząsający widok nie budził w nim żadnej reakcji. Nie był teraz zdolny do uczuć. Jakiś głos wewnętrzny radził mu: Nie kieruj się uczuciami, bo... — Ten głos wywoływał w nim sprzeciw, nienawidził go, gdyż nie mógł teraz płakać...

Ewa nachyliła się nad Maksem, przylgnęła całym ciałem do jego ciała, do jego ran, jak gdyby chciała użyć mu swej energii życiowej, jak gdyby wierzyła, że jej bliskość i ciepło pomogą mu.

A na górze królował Vandenberg, ten przeklęty diabeł, zacierający z satysfakcją dłonie. To przechyliło szalę. Billy odwrócił się i podszedł do wylotu szybu, aby wejść na górę. W następnej chwili zawrócił.

A jednak udało mu się zamknąć śluzę — kołatała mu w głowie natrętna myśl. Pokiwał głową ze zdumieniem.

— Ewo! — rzekł z naciskiem, stając za nią. — Śluza jest zamknięta. Jesteśmy uwięzieni tu na dole.

Spojrzała na niego.

— Jak to? Nie ma innego wyjścia?

Potrząsnęła głową, zapytała:

— Co z nim? Jest jakaś poprawa?

Maks jęknął, poruszył prawą ręką. Jego twarz... Leżał w dalszym ciągu na wznak, wpatrując się w sufit, a w jego otwartych szeroko oczach migotały fioletowe światełka, które widzieli tak często tej nocy... Wydawało mu się, że widzi nadal twarz Vandenberga, twarz rozrywaną błyskami wystrzałów, błyskami wybuchów. Twarz demona.

Billy podszedł do młodszego brata HARVEYA, bocznego pulpitu, umożliwiającego pracę w wolnych chwilach w sektorze mieszkalnym. W głowie kiełkowała mu szalona myśl. Gorliwie zaczął wystukiwać na klawiaturze dane, podając jednocześnie rozkład stacji. Sektor mieszkalny. Centrala podzielona na sektor kontroli i stację meteorologiczną. Z tyłu stacja botaniczna. Stacja botaniczna!

Ewa podeszła do niego. Słyszał jej oddech, czuł jej ciepło i strach. Strach o życie Maksa, o...

— Musimy coś wymyślić! — wykrztusiła.

Skinął głową.

— Mógłbym spróbować dostać się do stacji botanicznej przez dolny szyb dostawczy... Rozumiesz? Przejść ze stacji botanicznej do sektora kontroli to już dziecinna zabawa, powinno się udać... — mruzczał bardziej do siebie niż do niej. Nie czekając na odpowiedź wywołał na ekranie obraz szybu dostawczego oraz przewidzianą dla siebie drogę.

— A więc musisz podjąć tę próbę i przeszkodzić Gregorowi, gdyby zechciał uciec stąd na promie.

— Ten łajdak jest zdolny do wszystkiego. Zobaczymy, co na to powie komputer... Tak, tak, I powinno się udać.

Owszem, plan mógł się udać. Ale jakim kosztem! Na ekranie wyglądało to tak niewinnie, podczas gdy...

— Pospiesz się!

— O.K.!

Billy odwrócił się i w tym momencie Maks zakasłał. Wyprężył się, poszukał ręką Ewy... Podbiegła do niego, kojącym gestem przytrzymała mocno. Niepewna kotwica na tym świecie, w tym życiu. Trzymała go z całych sił. Tylko to mogła jeszcze dla niego uczynić. Maks dygotał. Jego rozpalone ciało przeżyło się rozpaczliwie. Billy patrzył na niego przez dłuższą chwilę, zawahał się, jakby chciał jeszcze coś powiedzieć.

— Billy wyciągnie nas stąd — zapewniała Ewa, chociaż nie wiedziała nawet, czy jest w stanie zrozumieć jej słowa. Usta Maksa formowały słowa, które nie zostały wypowiedziane. Powieki drżały, jakby ktoś niewidzialny, może śmierć, usiłował naciągnąć je na oczy. Bezskutecznie: na razie Maks był silniejszy.

Pocił się obficie, ale Ewa przestała go już wycierać. Głaskała go tylko po policzku. Przed jego oczami wirowały jeszcze fioletowe światła alarmowe i jakieś osobliwe zdeformowane cienie. Daleki szum maszyny. Szelest materiału. Krzątanina Billy'ego. Kroki.

— Billy — szeptał Maks. — Billy, musisz... musisz ten reaktor... musisz...

Jego głos był już tylko urywanym, zniekształconym szeptem. Ewa skierowała wzrok na Billy'ego, upewniła się, że usłyszał.

— Zrobię to, Maks — mruknął.

Nie czekał na odpowiedź, nie odwrócił się już nawet, by spojrzeć na przyjaciela.

Ewa opuściła głowę. Maks poruszył się. Jego prawa dłoń zacisnęła się kurczowo na ramieniu Ewy. Zakasłał.

— Temperatura utrzymuje się nadal w przewidzianej normie.

Vandenberg przechylił się do przodu. Nie słuchał już słów z Ziemi. Wpatrywał się z przerażeniem w ekran, w obraz, który z wnętrza reaktora przesyłała kamera C05.

Segment 5, podłużny, szary kloc, przepalał się. Obciążenie było zbyt duże.

— Mamy silne odchylenie...

Głos szefa bazy programowej zagłuszyły piekielne trzaski.

Reaktor... Vandenberg nie odrywał wzroku od ekranu. Widział cienkie, białe pasma dymu, wydobywające się ze szpar reaktora, pełzające już po podłodze. Dymu było coraz więcej. Wstrząsy.

— Uwaga! Mamy silne odchylenie...

Wszystko dygotało, chwiało się. Vandenberg dzwonił zębami, czuł swędzenie na całym ciele.

Sufit wibrował, przechylał się. Potrząsnął głową. Bzdura, to tylko przywidzenia. Jak przedtem to robactwo... A może to nie było przywidzenie? Znowu poczuł, że coś łazi po nim i całą siłą swej woli odegnał od siebie te przerażające myśli.. Powoli odszedł od HARVEYA. Ukryć się gdzieś? Tylko w ten sposób można to przetrzymać. Potem można wrócić — i policzyc się z nimi. Powiedzieć, że się nie załamalem. Tym razem nie zawiodłem. Żadnych kłopotów natury psychicznej, żadnego załamania nerwowego. Musisz im pokazać, że potrafisz być zimny jak lód. Nawet w takiej sytuacji...

Nagle zrozumiał, że Marek i Hayes nie blefowali. Powiedzieli prawdę, a on... on wiedział o tym od dawna. Wiedział, ale...

Jego opanowanie prysło, pojawił się strach. Strach. Paniczny strach. Uciec stąd. Nie wystarczy się schować. Trzeba stąd zwać.

Otarł pot z twarzy i raptem dojrzał wyłaniającą się z ciemności twarz Maksa. Odwrócił się, uderzył o krzesło. Kopnął je, jakby miał przed sobą wroga, którego należy unicestwić. Ale wrogiem numer jeden był on sam, tylko on. I ten jego strach. Przekłęty strach.

Biegł dalej, pokracznie przeskakiwał przez wyimaginowane przeszkody. Potknął się o niską konsolę, upadł na kolana i rozejrzał dokoła spłoszonym wzrokiem... Na ekranie kłębił

się dym, światełka komputera zapalały się i gasły chaotycznie...

Na czworakach wczołgał się do szybu. Z góry kapłała woda, widocznie po ostatnim promieniowaniu i całym tym rozgardiaszu pękła gdzieś rura. Wylał twarz, rozmazując słony pot zmieszany z kurzem i kroplami zimnej wody, po czym zagłębił się jeszcze bardziej w mroczną czeluść. Z rany na głowie płynął pulsujący ból. Musi dostać się na górę, do sektora botanicznego. Musi!

Zapieкло go w kolanach. Czołgał się teraz nieco szybciej, nie zwracając uwagi na ból. Gdzieś daleko przed nim zamigotała jasna plama: wylot drugiego szybu, wiodącego pionowo w górę.

Billy starał się oddychać równomiernie. Mimo to już teraz czuł ostry ból w płucach. Niemordowanie parł do przodu. Ile to jeszcze ma trwać? Czołgając się spoglądał na swoje dłonie. Prawa do przodu. Lewa. I znowu prawa. Lewa. Oddychać równomiernie. Pot skapywał na dno szybu. A Billy posuwał się dalej. Dalej. Dalej.

Z boku wdarło się światło. Powietrze było teraz czystsze. Dobiegły go trzaski — odgłosy z sektora botanicznego, rozprzestrzeniające się w szybie, zwielokrotnione przez echo. Tam w górze musiało rozpętać się piekło. I nie tylko tam. Wszędzie jednocześnie. Odniośł wrażenie, jakby nadciągały ogniste burze, morza płomieni... Wiedział aż za dobrze, co to oznacza. Reaktor. Segment 5 przepalił się na dobre!

Vandenberg miotał się po centrali. Były to ruchy szaleńca. Przewracał się, podnosił znowu, czołgał dalej, jęcząc i skowycząc. Nic nie widział, jakby ktoś nałożył mu opaskę na oczy. Dopiero po pewnym czasie zdołał dostrzec cokolwiek: przede wszystkim komputer, to monstrum o tysiącu oczu połyskujących i mrugających wieloma kolorami. Jednocześnie powróciła zdolność myślenia.

Dym. Wszędzie pełno dymu — stwierdził wstrząśnięty. Dym wydobywał się ociężale z wywietrzników i rozdzielaczy, zasnuwał podłogę. Wiatr szalał w centrali, szklanki brzęczały trzęsąc się i uderzając jedna o drugą. Szum wzmagął się, przywodząc na myśl rój much. Rój much? Wielki Boże!

Vandenberg przyłgnał płasko do podłogi, trzymając się kurczowo jakiejś stalowej części, ale nic się nie działo. Tylko coraz głośniejsze trzaski. Coraz więcej dymu.

Co robić? Uciekać stąd! Nie kryć się tu, lecz uciekać! Byle dalej od tej pułapki na szczury! Szybciej! Uciekać stąd! Pokaż im, jaki szybki i mądry potrafisz być w krytycznej sytuacji! Nie uda im się ciebie złamać! Tym razem na pewno im się to nie uda!

Coraz mniej tlenu — pomyślała ze spokojem Ewa. Było to rzeczowe, zimne spostrzeżenie. Popatrzyła na Maksa: leżał cichy, na wznak, z niemal nieprzyzwoicie rozrzuconymi nogami. Prawa dłoń ścisnęła kurczowo jej ramię. Taki cichy... — pomyślała.

Dym wydobywał się z szybu dostawczego, kładąc się gęstą zasłoną na podłogę. Jak mgła. Billy odgarnął ręką gęstą zawiesinę. Bezsensowny gest. Marnujesz tylko siły — pomyślał.

Przed nim migotał odblask ognia w pionowym szybie. Jeszcze trzy, cztery jardy. Jeszcze dwa. Odetchnął głęboko, ostrożnie, ale mimo to do płuc dostało się trochę dymu. Zakaślał. Mokre od potu włosy oklejały mu twarz. Odgarnął je do tyłu. Za uszami swędziało, ale nie drapał się. Ostrożnie ułożył się na plecach i przesunął bliżej, do szybu pionowego. Wyciągnął ręce, wymacał kratę i wsunął palce w otwory, zaciskając je mocno.

Drut wrzynał mu się w ciało. Zacisnął zęby, napiął mięśnie. Głęboko pod nim szalały płomienie, kłębił się dym. Odblask ognia rozświetlał szyb. Billy wysunął tułów na zewnątrz, podparł się nogami, przesunął ręce po kracie umocowanej na ścianie szybu pionowego. Za-

wisł na niej, czując przez jedną straszliwą sekundę, jak nogi kołyszą się nad ciemną czeluścią. Mięśnie rąk napięły się do granic wytrzymałości, druty kraty wpijały mu się boleśnie w ciało. Lewą ręką chwycił wyżej, następnie prawą. Starał się unikać gwałtownych ruchów. Podciągał się milimetr po milimetrze. Nie zważając na rozoraną skórę rąk parł do góry, pozostawiał pod sobą umazaną krwią kratę. Wargi dygotały mu z wysiłku, nie potrafił już zebrać myśli. Mózg wyłączył się. Billy działał, kierując się wyłącznie instynktem; podciągał się, chwytając ręką za kratę, napinał mięśnie.

Jeszcze kilka milimetrów i będzie już mógł wsunąć czubki butów w otwory kraty, podpierając się w ten sposób dodatkowo. Jeszcze kilka milimetrów... Jeszcze trochę — pulsowała w nim myśl. — Jeszcze trochę.

Bandaż zsunął się z czoła, po twarzy zaczęła ściekać krew, zalewając brwi i oczy. Jeszcze wyżej. Jeszcze tylko kilka milimetrów i będzie mógł podeprzeć się nogami. Wtedy będzie łatwiej, wtedy wszystko pójdzie szybciej.

W tym samym momencie omdlałe dłonie obsunęły się po kracie...

Vandenberg przygryzał język, jęcząc i skowycząc jak ranione zwierzę. Uciekać stąd, uciekać!

— Vandenberg — zabrzmiał poprzez kłęby dymu głos z odbiornika. — Vandenberg, uwaga! Nie wolno przerwać promieniowania! Czy pan to rozumie?

Pół klęcząc, pół leżąc wpatrywał się w odbiornik, ale nie potrafił myśleć. Czuł jedynie, że ogarnia go panika. Nie załamał się jednak, nie zawiódł. Pokaże im wszystkim, że można na nim polegać.

Zataczając się podszedł do odbiornika. Wszystko wirowało wokół niego. Dym... to dziwne: jeżeli mu się dokładniej przyjrzeć, wygląda bardzo ładnie. Ujrzał twarze, między innymi twarz Maksa. Spokojną. Ma to już za sobą. To ja go wyzwoliłem. Nie musi już patrzeć na to wszystko. Dym i wylaniające się z niego twarze łaskotały po nosie. Znowu zjawilo się to łączące po nim robactwo, roilo się nawet w ustach. Wypluł je. I jeszcze raz. I jeszcze. Robaki powracały jednak uporczywie, było ich coraz więcej. A on był bezsilny. Wepchnął sobie palce do ust, usiłując wydobyć te obrzydliwe stwory, usunąć je...

— Vandenberg, czy pan zrozumiał? Musimy kontynuować promieniowanie aż do punktu krytycznego!

Na ekranie płonął napis:

OSTRZEŻENIE — OSTRZEŻENIE — OSTRZEŻENIE
WZROST TEMPERATURY W SEGMENTCIE 5

Skoro on ujrzał ten napis, to i tamci wiedzą już na pewno, co się dzieje.

Mleczne opary zasnuły widok, ich języki wciskały się wszędzie jak węże, najpierw ostrożnie, potem coraz zuchwalej, jakby chciały go otoczyć, opleść, a on już i tak miał wszystkiego dosyć przez tamto robactwo...

Stał wyprostowany pośrodku centrali, obracając się powoli dokoła, oszołomiony, grzebiąc sobie palcami w ustach. Wreszcie opuścił ręce i pospieszył do sektora botanicznego. Spojrzał na długie rzędy szklanych klatek ze zwierzętami i skinął głową. Żadnych much. Żadnych mrówek. Żadnego robactwa. Tylko kwiaty i zielsko, żaby i węże.

Wzdrygnął się. Uciekł do sektora meteorologicznego, ale również tu kłębiła się mgła. A raczej dym. Śmierdzący, gryzący dym.

Wracać! Wracał po omacku wśród dymu poprzez morze mgły rozpościerające się pod jego stopami. W sektorze kontroli spojrział na migocące nadal ekrany zastanawiając się, co ma robić. Nie wolno mu było działać pochopnie. Dla tych panów na Ziemi musi stanowić przykład. Wzór planowego działania... Zastanów się — dręczyła go uporczywa myśl — zastanów się, w jaki sposób mógłbyś to im udowodnić. Jak?

Na ekranie widniała ostrzegawcza informacja:

TEMPERATURA CHŁODZENIA: SEGMENT 5

1100 K

1180 K

1199 K

1230 K

1249 K

Cyfry zmieniały się coraz szybciej:

1267 K

1289 K

Czworokąty zlewały się w jedno czerwone pole, w czerwoną, kosmiczną chmurę... Projekt Laurin. Otóż to: zasłona — niewidka. Promieniowanie... pierwsze wyniki... Misja! Coś w nim załkało. Skinął głową. Misja została spełniona.

— Dla własnego bezpieczeństwa proszę opuścić natychmiast stację i poinformować o tym resztę załogi!

Głos z odbiornika zagłuszały wyładowania kosmiczne... Vandenberg potakiwał głową. Usiadł w fotelu, zerwał się z powrotem, odgarnął włosy z czoła, przecierał oczy, wypluwał całe robactwo gnieżdżące się w ustach.

To oni ostrzegali przed zbliżającym się niebezpieczeństwem. Ja sam nigdy bym nie ustąpił. Nie zostawiłbym tak stacji. Wytrzymałem aż do momentu otrzymania rozkazu. Pokazałem tym panom na Ziemi, że kapitan nie opuścił tonącego statku.

Wyprężył się, podniósł głowę. Jednak zwyciężył. Zrehabilitował się. Odzyskał swój honor. Opanowała go radość. I raptem, zupełnie nieoczekiwanie poczuł, że nie potrafi się już cieszyć. Nagle wszystko stało się jasne. Przeniknął go dreszcz.

— Oszukaliście... oszukaliście mnie! — wykrztusił.

Z napięciem wpatrywał się w ekrany. START — START — START! A czerwona plama podobna na ekranie do chmury pęczniała, rozrastając się coraz bardziej i bardziej... Dym w centrali kłębił się już pod sufitem te brudne, wstrętne, żarłoczne opary...

Rubinowa powłoka — krew, to przez nią krata była śliska. Ręce Billy'ego obsunęły się, odniósł wrażenie, że słyszy odgłos zdzieranej skóry, rozpaczliwie chwycił się każdego występu, chociaż przestał już wierzyć, że to ma sens. Obsuwał się w ciemną otchłań, ale to obsuwanie miało swój kres. Jego ciało zawisło na jednej ręce, na jednym nabrzmiałym z wysiłku ramieniu, kołysząc się tam i z powrotem jak wahadło...

Chwycił drugą ręką, zagryzł wargi, podciągnął się wyżej. Poza tym nie obchodziło go nic innego. Krwawił. No to co? Dopóki czuł ciekącą krew i pulsujący ból — żył. A on chciał żyć. Życie. Chciał również, żeby żyli Maks i Ewa.

Stopy znalazły oparcie. Wykorzystując to natężył siły i znowu zaczął piąć się wyżej: ludzki owad wspinający się po pionowej ścianie, ożywiony jednym tylko pragnieniem: dojść do celu. Rana na czole zaczęła krwawić, ucisk stawał się nie do zniesienia, włosy opadały w nieładzie na twarz. Nie mógł ich teraz odgarnąć. Był mokry od potu, jakby siedział w saunie. Wyżej. Lewa ręka. Prawa ręka. Podciągnąć się. Ostrożnie. Żeby tylko nie spaść po raz drugi. Czubki butów wpychał w otwory kratki i dopiero wtedy podciągał się wyżej. Coraz wyżej.

Zmęczenie dawało znać o sobie. Sapał głośno, niekiedy mówił coś bez ładu i składu.

Czyżby segment nie przepalił się jeszcze do reszty? Wszystko jedno. Systematycznie przesuwał się do góry, powoli, z trudem, uparcie...

START — START — START

— bił go w oczy czerwony napis. Segment 5, widoczny wyraźnie na ekranie, był już rozżarzony do białości. Dym. Mgła. Szare wyładowania.

— Niech pan się uspokoi — napominał go szef bazy programowej.

Słyszał jego głos, ale do jego uszu dobiegało coś jeszcze grzmiące wyładowania.

— Niech pan się uspokoi, wartości temperatury odpowiadają nadal naszym założeniom.

Kłamca! Kłamca! Co za cholerny kłamca! Mogą już sobie dać spokój, nigdy więcej nie pozwoli, by robili z niego durnia! Oddychał łapczywie przez usta. Spiesznie oblizał spieczone wargi. Za długo to trwało — pomyślał. — Już dawno powinien był to zauważyć. I uciec stąd jak najdalej. Ale nie złamali mnie. Tym razem im się to nie udało.

Przez chwilę błąkał się bez celu.

— ... ma pan w razie potrzeby wystarczająco dużo czasu, by powrócić tu na promie...

Prom! O Boże, prom! Oczywiście! Dlaczego nie zdradziliście mi wcześniej tej drogi ucieczki? Już dawno trzeba było powiedzieć, że mogę wziąć prom...

Gorączkowo manipulował przy komputerze, wciskał klawisze, kasował jedne informacje, wprowadzał nowe, wywoływał centralę — wszystko na nic. Szef bazy nie pojawił się. To było do przewidzenia. Ta tchórzliwa świnia wolała się nie pokazywać. Może jest zbyt wrażliwy, by oglądać koniec załogi. Może ma chory żołądek i na taki widok zbiera mu się na wymioty. Tak. Na pewno...

— Niech pan poinformuje załogę...

— Muszę się stąd wydostać — dyszał i tym razem był przekonany o słuszności podjętej przez siebie decyzji. Nie. Nie będzie ich już słuchał. Mogą go... Najważniejsze, że się nie złamał. Był pewien, że wszystko będzie dobrze, w większym stopniu zaczniesz słuchać siebie, nie ich.

— Vandenberg, czy pan mnie słyszy?

— Muszę się stąd wydostać! — powtórzył piskliwie podchodząc chwiejnym krokiem do szybu. Miał wrażenie, jakby w ostatniej chwili udało mu się wyrwać z potwornej pajęczyny. Czuł się wyzwolony. Wiedział, co ma teraz zrobić, dokąd uciec. Nie. Nie będę się krył. To by nic nie dało. Udowodnił już przecież, że nie tak łatwo go złamać. Zrehabilitował się. Wiedzą, że na nim można polegać. Teraz musiał zrobić wszystko, aby utrzymać się przy życiu — dla nich. Był teraz ważną osobą, pokazał im przecież, na co go stać.

— Niech pan w żadnym przypadku nie korzysta z szybu głównego...

Nałożył na siebie skafander, zasunął go rozdygotanymi palcami, obciągnął materiał, wziął hełm, sprawdził zapas tlenu...

Raptem poczuł się lekki jak piórko. Warunki grawitacyjne pomieszały się. W następnej chwili runął na niego gigantyczny ciężar. Jęcząc upadł, ale zanim jeszcze dotknął rękami podłogi, uderzył o ścianę i osunął się po niej w dół. Dłonie szukały jakiegokolwiek uchwytu, ale bezskutecznie. Bestia zawyla. Grzmoty. Wszystko się trzęsło, cały świat wirował obłądnie. Vandenberg uderzył się o coś, stanął znowu na nogi.

Eksplozja!

Ponownie runął na podłogę i tym razem uderzenie było tak silne, że nie podniósł się, oszołomiony, nie mogąc złapać tchu. Czuł, że coś zagłębia mu się w piersi. Trzeba stąd uciekać! Wstać! Prędkiej! Podparł się, przytrzymał czegoś, podciągnął do góry, chwiejnie podszedł do śluzy, szarpnął drzwi...

Za jego plecami runęła część sufitu, trysnęły ogniste perły...

Podmuch pierwszej eksplozji dotarł w górę szybu. Płomienie lizały łapczywie ściany. Billy trzymał się kurczowo kraty, za nim rozbrzmiewał szum ognia. Wspiął się wyżej. Powietrze było jak oddech drapieżnego zwierzęcia. Pod nim rozpościerała się rozjaśniona płomieniami czeluść. Jeszcze trochę — i oto wchodził już do poziomego szybu dostawczego centrali, wypełnionego dymem i chaotycznymi odgłosami pożaru.

Wtem kolejna eksplozja. I zaraz potem trzecia. Stacja zadygotała. Piekło rozwarło swoje wrota. Tym razem otworzyło je szeroko, na oścież. Odepchnął się rozpaczliwie od ściany, biegnąc w stronę zakratowanego wylotu szybu.

Dalej zaczynał się sektor botaniczny. I piekło...

Dym. Wszędzie pełno dymu. I cisza. Umilkło wycie syren alarmowych, znieruchomiło nawet fioletowe, wirujące światło.

— Ewo! — wykrztusił Maks gwałtownie, jak gdyby zużył na to całą swoją siłę, jaka mu jeszcze pozostała w płucach. — Ewo... ja nie chciałem, żeby... to się tak skończyło... nie chciałem, żebyście zostali wciągnięci w tę aferę...

Z oddali dobiegł ich szum, jakby wąskim korytarzem przetaczał się gigantyczny walec ognia...

Ewa skinęła głową i odgarnęła z czoła jakiś niesforny kosmyk. Nie płakała. Jej oczy przypominały lodowe kulki. Spojrzała na Maksa, do którego zstępowały cienie. Częściowo należał już do nich.

— Musisz... musisz mi wierzyć — szeptał.

— Nie powinienesz teraz mówić!

— Czy... — Urwał raptownie i poczuła, że napiął mięśnie. — Czy mówiłem ci już... jak bardzo cię kocham?

Zamknęła oczy, ale tylko na krótką chwilę. Potem nachyliła się nad nim.

— Wiedziałam o tym przez cały czas, ale ty... nie powiedziałeś mi tego nigdy — odpowiedziała. Była przy nim tak blisko, jak to nie zdarzało się już od wielu miesięcy. Tak blisko, że poczuł jej oddech. Jej gorący oddech...

W górze rozlegały się trzaski. Billy słyszał, jak coś się pod nim obsuwa. Coś dużego i ciężkiego. Czołgał się niezmordowanie do przodu, czuł ból w łokciach i kolanach, nie dawał jednak za wygraną. Sunął przed siebie poprzez ciasne piekło płomieni, dymu, rozgardiaszu. W sektorze botanicznym szalały płomienie, pękało szkło, przewracały się dźwigary stropowe. Dotarł do zakratowanego wylotu szybu, chwycił kratę dłońmi i potrząsnął nią. Krata ani drgnęła. Przywarł do niej, zapierając się nogami, nabrał powietrza i — pchnął. Krata wystrzeliła jak z procy. Billy przesunął się jeszcze trochę, zwiesił nogi do sektora botanicznego. Z tyłu czuł już gorący powiew, dym przesłaniał widoczność. Wkrótce potem rozległa się kolejna potężna eksplozja...

Podmuch rzucił Billy'ego do przodu. Potknął się, przewrócił na podłogę, poleżał przez chwilę, po czym zaczął czołgać się dalej. Jego twarz przypominała brzydką, ociekającą krwią i potem maskę, ręce były jedną otwartą, rozdygotaną raną.

Gdzieś posypały się iskry, rozległy się kolejne eksplozje. Billy wstał z trudem i opadł z powrotem na kolana. Przedzierając się poprzez płataninę odłamków szkła, szczątków; kabli i rur, poprzez gruz i dym, potykając się to o ścianę, to o skrzynie, omijając płomienie, posuwał się uparcie do przodu. Nagle stanął jak wryty.

Frankieboy!

Gdzie ta oszklona klatka z żabą? Jest! Mały siedział w kąciku, skulony z trwogi, jego całe ciało pulsowało, oczy skierował błagalnie na niego... Znowu wstrząs. Frankieboy odskoczył jak cień, podmuch okręcił Billy'ego dokoła, oszklona klatka spadła na podłogę i pękła. Kolejna ściana runęła. Ciemność. Dym. Zbliżające się płomienie.

Jakby z nicości wynurzyła się ściana ognia. Billy uskoczył na bok, zakrył twarz dłońmi, krzyknął i...

Następna eksplozja odrzuciła go na bok. Jego krzyk zagłuszyły trzaski, detonacje, łoskot padających przedmiotów. Wokoło szalał ogień. Billy pędził przed siebie.

Tu nie mógł już niczego i nikogo uratować. Frankieboy... Słyszał syk topiącego się metalu.

A może to mu się tylko wydawało...

Kolejny podmuch cisnął nim o ścianę i na dół, na podłogę, na spotkanie oślepiającego

żaru...

Twarz Maksa ginęła w dymie i cieniu, stanowiła z nimi całość. Ewa poruszyła wargami. Spoglądała tylko na niego. W jej głowie rozbrzmiewało wołanie: Maks. Maks. Maks. Dobry Boże. Maks!

On również nie spuszczał z niej wzroku. Aż do końca. Do chwili, kiedy jego oczy, okryte dymem, przestały widzieć. Żadne z nich nie odezwało się nawet jednym słowem. Zupełnie tak jak podczas ich pożycia. I to był ich błąd. Powinni byli rozmawiać ze sobą, rozmawiać, rozmawiać... Teraz było już na to za późno. Wszystko zostało już powiedziane.

Głowa Maksa opadła powoli ku niej. Definitywnie. Policzki jakby zapadły się, twarz pokrył jeszcze bardziej intensywny cień niż poprzednio.

Dopiero teraz zjawily się łzy. Ewie wydawało się, że pękła jakaś tama, a ich niepohamowany potok runął przed siebie, znajdując wreszcie ujście... Opuściła głowę, przytuliła się do Maksa, oparła twarz o jego pierś. Poczowała krew. Straszliwe otwory po pociskach i krew. Przyłgnęła do niego z całych sił, jakby w ten sposób mogła sprawić, by jej nie opuścił, nie teraz, o Boże, nie teraz, kiedy zaświtała nadzieja na lepsze, kiedy ich wspólne...

Ale on już ją opuścił. Nie hamowała płaczu. Wszystko skąpane było w płomiennej czerwieni, która wżerała się w jej siatkówki, w jej mózg: wszechobecna, migotliwa, o wszystkich odcieniach... I ten dym — uparty, gryzący, przytłaczający.

Billy nie wiedział nawet, jak długo był nieprzytomny. Dłonie paliły go niczym ogień, w kolanach coś pulsowało, ale żył; mógł oddychać, poruszać się. Najważniejsze, że dotarł do grodzi wiodącej do centrali. Gorączkowo rozrywał podłogę, aby dostać się do kabli i wreszcie znalazł kontakt podnośnika hydraulicznego.

Gródź rozwarła się. Powietrze z sykiem wtargnęło do szalejącego piekła płomieni. Jeden z dźwigarów stropowych runął w dół, strącając po drodze szklane pojemniki, łamiąc stoły i krzesła. Billy napał na śluzę, otworzył ją i przecisnął się przez powstałą szczelinę, po czym pobiegł tunelem wiodącym do sektora kontroli...

Napływające kłęby dymu kładły się miękko na twarzy Maksa, otulały jego ciało, powracały do ust, zasnuwały migotliwą wstęgą martwe oczy...

Ewa nie zwracała uwagi na kłujący ból w płucach. Delikatnie zamknęła Maksowi oczy. Jej chłodna dłoń zamarała na chwilę na jego powiekach. Czy to możliwe? Jego twarz wydała jej się raptem rozpalona. Jak żywa. Ale nie, on już nie żył. Ani śladu bicia serca. Ani tętna. Ani oddechu. Mimo woli przeszedł ją dreszcz. Dym uniósł się nieco do góry. Billy!

Wszystko tonęło w oparach. Mogła już jedynie domyślać się konturów ciała Maksa. Musiała się wyprostować, jeśli nie chciała zatonać w tym dymie. Muszę się podnieść! Macała wokół siebie. Maks! Muszę wstać! Maks nie żyje — nie żyje — nie żyje. Nie możesz przywrócić mu życia. Nikt nie potrafi tego uczynić. Czowała narastające w niej napięcie i odruchowo przycisnęła ręce do piersi. Wstała powoli, ociężale. Zatoczyła się. Maks! Maks!

Nie powinna tu zostać! Maksa nie było już widać spod gęstych oparów. Dym napływał zewsząd, gdzie rozlegały się wybuchy, stacją wstrząsały silne podmuchy...

Struktura grawitacji... Stacja ma teraz zakłóconą rotację własną, a to oznacza zmiany w sile odśrodkowej... Pobiegła przed siebie. Wydawało jej się, że gonia ją trzaski i wycie płomieni, podmuchy wybuchów, strugi roztopionego metalu...

Billy przecisnął się pod powyginanymi, połamanymi dźwigarami, odsuwając na bok poszarpane, kołyszące się w rytm tąpnięć kable i rury. Wycie szalejących płomieni i odgłosy wybuchów towarzyszące temu piekielnemu widowisku nie robiły już na nim wrażenia. Eksplozje rozbrzmiewały w coraz krótszych odstępach czasu... Zataczając się wszedł do

sektora kontroli.

— Vandenberg!

Nie widać go nigdzie. To jasne: już dawno się stąd ulotnił!

Billy skierował się do szybu. Do zamkniętej śluzy szybu. Z oddali dobiegł go głos:

— Automatyczne i ręczne sterowanie... nie działają. — Zakłócenia utrudniały wysłuchanie informacji radiowej — ... stacji grozi całkowita zagłada... Jeszcze tylko... minut do stopienia reaktora.

Ile minut?

— Powtórzcie ten komunikat, żebym wiedział, o co chodzi. No, powtórz, ty...

Stanął tuż przy szybie. Śluza była nadal zamknięta. Odkąd zaczął wierzyć w cuda? Dlaczego by miała się sama otworzyć? Maks, Ewa... Jeszcze kilka sekund...

Ukląkł nad szybem, odchylił pokrywę i zabrał się do roboty. Pracował oburącz, nie zważając na pot, spływający strugami. Czuł w ustach jego słony smak. Mruczał bezwiednie jakieś zaklęcia, na kilka sekund przekształcił się w czarownika. Śrubokręt pękł w połowie. Billy zaklął, przyciągnął torbę z narzędziami, wyjął nóż. Niemal na oślep dźgał nożem. Ogarnęła go furia — podobna do tej, z jaką Vandenberg uprzednio zrywał kable, aby nie dopuścić do nadania ich programu przez centralę europejską...

Wokół niego stacja pękała, dokonywała się zagłada tego świata. Migotanie światła. Cienie. Ogień. Wszędzie ogień. Hałas. Trzaski. Wycie. Podłoga rozstępowała się, zamiast cieni był już tylko dym. I śmierć.

— Zrozumieście? — zapytał głos z Ziemi.

— Zrozumielśmy — odparł ktoś w oddali. — Za cztery minuty...

Pracował jak oszalały. Za cztery minuty? Ale co się wtedy stanie? Nastąpi zagłada całej stacji czy tylko ulegnie zniszczeniu reaktor?

Ile zostało mu jeszcze czasu?

Chwycił nóż w zęby i zaczął rozrywać kable rękami. Nie mógł sobie poradzić. Śluza nie chciała się otworzyć. Potrzebne były narzędzia. Billy pobiegł po nie. Maks, wytrzymaj jeszcze trochę, wytrzymaj! Ty też, Ewo! Już pędził z powrotem. Obcęgami przeciął decydujący kabel. Dobrze, że nie poddaję się panice — pomyślał. Potrafił jeszcze rozumować logicznie, wiedział też, że nie wszystko stracone, o ile... Chyba, że Vandenberg dotrze do promu przed nimi. A znajdował się w lepszej sytuacji, bo przecież był już na górze.

Coś gorącego, czarnego trysnęło mu w twarz, mieszając się z potem. Odskoczył do tyłu i wtedy zauważył, że śluza jest otwarta. Droga stała otworem. Zaczął schodzić na dół. System chłodzący był uszkodzony. Woda kapiała z sufitu. Ewa stała nieruchomo, kryjąc twarz w dłoniach, oparta o ścianę...

Billy podbiegł do niej. Była cała mokra, posklejane strąki włosów opadały jej na twarz, wiedział jednak, że on sam też nie wygląda lepiej.

— Ewo...

Nie zareagowała. Odgarnął jej włosy, ujął twarz w dłonie, spojrzał na nią.

— Ewo! — powtórzył z naciskiem.

Czas naglił, musieli dopilnować, żeby...

Potrząsnął ją lekko, musnął dłonią policzki. Z trudem chwytła oddech. Rzęsy trzepotały jak skrzydła motyla.

— Gdzie Maks?

Nie odpowiedziała. W każdym razie nie od razu. Załkała przerywanie, ale dopiero po chwili zrozumiał jej słowa - to, czego nie chciał zrozumieć.

— Maks... nie żyje. On umarł.

Raptownie odsunął się od niej. Odwrócił się, zapatrzył w kłęby dymu i odbłask ognia podążającego ku nim z tylnych części sektora mieszkalnego.

Zapadła głucha cisza. Tak jakby stacja wstrzymała oddech tuż przed... Billy wsparł się o

coś twardego, wtulił w to coś twarz. Czuł ciekącą mu po czole krew.

— Musimy się stąd wydostać!

To głos Ewy. Tuż za nim, z prawej strony. Wyprostowała się, ujęła go za ramiona, potrząsnęła nim energicznie na wszystkie strony. Był otepiał. Nie widzącym wzrokiem wpatrywał się tam, gdzie przedtem leżał Maks, a teraz kłębił się pomarańczowoczerwony dym...

Z sufitu kapąła woda, szumiąc upiornie. Nadciągały opary mgły, brały w posiadanie całą powierzchnię sektora mieszkalnego. Jeszcze trochę i...

Powoli, bardzo powoli Billy zwrócił twarz ku Ewie. Nienawidził jej. W tym momencie czuł do niej nienawiść.

— A więc uciekaj... mruknął pogardliwie. — Uciekaj! — krzyknął głośniejszym głosem: — Uciekaj!

Ewa nie mogła znieść jego wzroku. Opuściła głowę i dopiero po chwili podniosła ją znowu, po czym spojrzała na niego. Jej wargi drżały, jak gdyby chciała mu coś wyjaśnić, wytłumaczyć, bronić się. Na jej twarzy tańczyły cienie. Płomienie wzbily się wyżej. I ten dym, chłodny, a jednak gorący; gryzący, a jednocześnie tak łagodny... Billy wpatrywał się w jej oczy, w błyszczące źrenice i łzy.

— Idź! — krzyknął.

Wyprostowała się. Odeszła. Przez chwilę spoglądał za nią, następnie zamknął oczy. Znowu widział rozżarzony szyb główny, pełen płomieni i dymu, czuł zapach drażniący nozdrza, oblepiający mu język i schodzący niżej, do gardła...

Zaczynała się godzina duchów. Powracały w szalonym, obłąkańczym tańcu, miały się z czego cieszyć, gdyż...

Ciało Maksa. Zwłoki Maksa. Widział go przez chwilę, kiedy kłęby dymu rozstąpiły się odsłaniając ciemną, nieruchomą postać. Potem nadciągnęły ku Billy'emu, jak gdyby chciały go zwabić, żeby został tu, leż obok Maksa i umarł...

Trzaski. Deszcz iskier. Coś pękło.

— Stacji nie da się już uratować — rozległ się głos z Ziemi.

A więc łączność jeszcze istniała. Podjął decyzję. Swoją decyzję.

Co za świnię!

— Wydaje mi się — mówił nadal głos z bazy programowej — że wkrótce nastąpi ostatni wybuch...

Billy odwrócił się, zacisnął dłonie na metalowej drabince i uderzył czołem o szczebel; rozmyślnie, chciał bowiem poczuć ból, jeszcze więcej bólu, walił więc głową o metal — jeszcze raz, jeszcze raz... Gdzieś w dali zawyła syrena alarmowa.

Zapragnął umrzeć. Nie, to nieprawda. Jego decyzja. Maks opowiedział mu o czarnej plamie, którą fotografował, o filmie przechowywanym w bagażu. Wszystko leżało teraz na górze, w ładowni. Jeszcze nie zniszczone. Wszystko zapakował, ukrył pod innymi rzeczami przed przybyciem Ewy i Vandenbergga. Maks nie dał za wygraną. Wytrwał do końca. Ale jego poświęcenie nie może pójść na marne... Jakie to banalne! Tak często słyszał o tym, czytał...

— Czy ktoś z załogi dał o sobie znać?

— Nie. Nie wiadomo w ogóle, czy żyją.

Głos jakby z innego świata. Billy wyprężył się i zawył:

— Maaaaaaks!

I Maks odpowiedział mu — wyciem eksplodującej stacji, która zatrzęsła się. Stalowe dźwigary gięły się jak żdźbła słomy, kolejne wstrząsy dokonywały dzieła zniszczenia. Billy zaś chciał żyć po prostu żyć! Tak szybko, jak mógł, wspinał się po drabince do sektora kontroli. Dym i cienie. Potknął się o coś, sparzył dłoń. Pospieszył dalej, potknął się znowu i uderzył o ścianę, ale mimo to nie poddawał się. Niemal po omacku szedł dalej, torując sobie drogę przez piekło. Oto śluza. Huk kolejnych eksplozji. To już koniec.

Podłogi nie było. W dole szalał ogień, lgnąc do dźwigarów, wspinając się po nich. Billy wstrzymał oddech i wyrzucając ramiona w górę przeskoczył nad przepaścią. Dopiero teraz

zaczepnął głęboko powietrza, ale zamiast niego nabrał w płuca gryzącego dymu.

Dopadł drabinki wiodącej do ładowni i wspiał się na górę. Tu było chłodniej. Przed nim, z lewej strony, zapadała się podłoga, ze szczeliny wydobywał się ciemny dym.

Billy wyjął z szafy swój skafander, szybko założył go na siebie, naciągnął na głowę hełm i — powietrza! Poczul, że się dusi. Vandenberg! Nie wolno dopuścić do tego, żeby odczepił prom i uciekł — bez niego i bez Ewy.

Zamknął hełm. Powiew tlenu osuszył spoconą twarz i odegnał narastającą panikę. Billy pobiegł w stronę śluzy łączącej ładownię z szybem zewnętrznym. Szyb główny z pewnością nie nadawał się już do użytku.

— ... jeszcze trzy minuty do momentu stopienia się reaktora — informował głos z Ziemi. — Powtarzam: jeszcze trzy minuty.

Odryglował gródź i zanurzył się w ciemność. Spojrzał w głąb szybu. Wszędzie szalały płomienie. Z uporem piał się wyżej, docierając do następnej ładowni. Tu musiało rozpętać się prawdziwe piekło. Kiedy Billy myślał o Ewie, o tym, że mogła przechodzić tędy akurat w tym momencie, to...

Rzucił się pędem w stronę grodzi, otworzył wrota. Wpadł do środka, zakręcił się dookoła własnej osi i wtędy zrozumiał, że coś jest nie tak z grawitacją. Instynktownie przytrzymał się i drgnął. Coś niedużego, ciemnego leciało wprost na niego...

Vandenberg! Zatakował cię! Siedział tu na czatach, a teraz...

Ale nie był to Vandenberg, lecz jego oderwana, tkwiąca jeszcze w rękawie skafandra ręka — i ta właśnie ręka uderzyła w hełm Billy'ego, odrzucając mu głowę do tyłu. W następnej chwili na wizjerze hełmu pojawiły się duże krople krwi... Krew Vandenberga...

Jego samego Billy odkrył dopiero po kilku sekundach, kiedy wszedł do ładowni, Vandenberg wisiał tam głową w dół nad ziejącą czeluścią szybu, uwięziony w płataninie drutów, prętów, węży, złomu... Jego oczy były otwarte, wpatrzone w niego z niemym, nieokreślonym błaganem. Migotliwy blask płomieni ożywiał nienaturalnie białą twarz. Najprawdopodobniej eksplozje zastały go w szybie głównym, porwały ze sobą jak zwiędły liść miotany podmuchami huraganu...

Billy odwrócił się, poszedł dalej, tym razem powoli. Dym pełzał tu wyżej. Umilkły echa eksplozji. Ale sytuacja była i tak beznadziejna: znalazł się w pułapce. Obydwa szyby pozabawione były wyjścia. Poczul bezmierne zmęczenie i rozpacz.

Zataczając się podszedł do bocznego pulpitu HARVEYA. Musiała istnieć jakieś wyjście, z całą pewnością. A Ewa...

— Do diabła, gdzie mogła podziać się Ewa? — mruknął niepewnie. Mimo wszystko czul wyrzuty sumienia.

— Billy... Billy...

Chwiejnym krokiem wyłoniła się z kłębow dymu, z rozedrganego żaru i upadła na kolana. Nie miała na sobie skafandra. Billy podbiegł do niej, podniósł ją do góry, obmacał twarz. Nie ruszała się. Wziął jej rękę, położył sobie na kark i ruszył do przodu, taszcząc ją i potykając się co krok. Nagle ołśniła go myśl, wiedział już, co robić.

Winda towarowa! To była ich jedyna szansa. I ostatnia zarazem. Innymi szybami, spalonymi i kompletnie zniszczonymi, nie mogli przejść.

Gdzieś wystrzeliły z podłogi płomienie, w innym miejscu runęła w dół, a za nią cała ściana. Woda tryskała jak gejzer, powietrze przesycone było parą i dymem. Billy usłyszał kolejne eksplozje, poczul wstrząsy.

Pospiesznie naciągnął na Ewę skafander. Dyszał ciężko, a raczej rzęził. Nie mógł znieść już tego dłużej. Oczy piekły go, szyja bolała, mięśnie odmawiały posłuszeństwa.

Winda towarowa! Najpierw zataszczył tam Ewę. Jej głowa opadła na ścianę. Następnie przyniósł bagaż. Wycie syreny stawało się coraz głośniejsze, wdzierając się natarczywie do uszu. Tuż za nim zapadła się część sufitu, płomienie szalały, znowu zaczął kłębić się dym.

Siła ciężenia przestała istnieć.

Billy przykucnął naprzeciw Ewy w ciasnej windzie, opierając brodę na kolanach. Przycisnął guzik. Drzwi zamknęły się, kabina ruszyła trzęsąc bezlitośnie. Zostawili za sobą wyjąca syrenę alarmową. Unosili się powoli. Ewa poruszyła się nieznacznie, oddychała spiesźnie, urywanie. Po chwili bardziej już przytomnym wzrokiem spojrziała na sufit. Również Billy zadarł głowę do góry. Jeżeli winda stanie teraz... jeżeli ustanie dopływ prądu... albo jeżeli okaże się, że i ten szyb jest nie do przebycia... Co wtedy?

Para wodna przedostawała się z szybu do kabiny. Twarz Ewy pokrywał pot, tak samo jak i jego. Winda szarpnęła, dudnienie przybrało na sile, kabina zwolniła i znieruchomiała.

— Błagam... — szepnął Billy.

Nic. Potem kolejne szarpnięcie. Tryby obracały się nadal, napinając linę. Kabina ruszyła. Znowu posuwali się ku górze, wśród stukotu trybów i odgłosów eksplozji, syczącego dymu i narastającego wycia stacji...

Billy milczał. Ewa również. Słowa nie miały już żadnego znaczenia. Ile jeszcze zostało im czasu? Kiedy stopi się reaktor? Czy pozostały im minuty, czy sekundy? A może jedynie ułamek sekundy?

Kabina stanęła, drzwi rozsunęły się: dojechali do celu. Nie wierząc własnemu szczęściu Billy wyszedł, stwierdził z ulgą, że warunki grawitacji są znowu normalne. Wyciągnął z kabiny bagaż, hełmy, po czym pomógł wyjść Ewie. Doprowadził ją do szybu wiodącego do promu.

Wcisnął guzik. Śluz promowa otworzyła się. Ewa zdążyła już najwidoczniej dojść do siebie, gdyż zaczęła pomagać mu rozmieszczać bagaż.

Usadowili się wygodnie w kokpicie. Cisza. Chłód. Billy już zupełnie spokojny, usiadł w fotelu pilota. Włączył napęd. Rozległ się głuchy łoskot. Centrala zbudziła się do życia, migocząc rzędami świateł, ekranami monitorów. Włączał kolejne systemy, skupiony, oszczędny w ruchach, nie tracąc ani jednej sekundy.

Ewa siedziała w fotelu drugiego pilota, ocierając sobie pot z czoła, pojękując z cicha.

Pełna gotowość. Billy nastawił częstotliwość radiostacji ziemskiej.

— ... może nastąpić w każdej chwili — usłyszał nagle. — Została już osiągnięta faza krytyczna...

Nic nie czuł. Był jak wypalony do cna. Za późno, kołatała się w jego głowie uporczywa myśl. Już za późno! Nie uda się nam stąd uciec!

Zdezaktywizował uchwyty magnetyczne, utrzymujące w służbie dziób promu, ustawił wszystkie systemy na START, usłyszał jęki Ewy i odwrócił się na ułamek sekundy, wymieniając z nią krótkie, rozpaczliwe spojrzenie. Nie, nie mógł zagwarantować, że ujdą cało, że plan się uda...

Uchwyt magnetyczny cofnął się. Prom oderwał się od stacji... Floryda Arklab zaczęła się oddalać, wirując wokół własnej osi, zmniejszała się w oczach coraz bardziej... coraz bardziej... W dole przesuwwały się przejrzyste wstęgi chmur.

Machinalnie odczytywał wartości, nie interesując się nimi. Zrobili wszystko, co mogli. Reszta nie zależała już od nich. Teraz mogli tylko czekać. Czekać i mieć nadzieję. Albo też modlić się. Liczyć sekundy. Ale to było już zbyt okrutne. Billy wpatrywał się w stację krążącą przed nimi po swojej szaleńczej orbicie: olbrzymie, metalowe monstrum podzielone na pokłady, szyby, sektory. Znowu zaczął się pocić. Nie spuszczał teraz oka z ekranu. Czekał. Oto stacja. Stalowe dźwigary. Otwarte promienniki. Stąd nie widać było ani szalejących płomieni, ani dymu, ani chaosu we wnętrzu tego kolosa. Stacja sprawiała wrażenie spokojnej.

— Odbieramy jeszcze słaby sygnał z pokładu Florydy Arklab — rozległ się zdumiony głos z Ziemi, a Billy pomyślał o piekielnym żarze, pochłaniającym teraz stację, rozrywającym jej wnętrzności na strzępy, unicestwiający jej dawną majestatyczną piękność.

Eksplozje przebrzmiały już. Ale ogień... ogień szalał nadal, przepalając resztki kabli,

oblewając całą scenę migotliwym światłem, strącając stację w wieczną, pełną chaosu ciemność. Nie było już ratunku przed totalnym zniszczeniem.

— Przecież system pokładowy stacji powinien być już dawno wyłączony — nie przestawał się dziwić anonimowy głos z Ziemi.

Stacja wirowała wokół własnej osi, to wolniej, to znów szybciej, potem znowu wolniej poruszając się, o dziwo, w dalszym ciągu z godnością... Gigantyczna istota morska niesiona przez kipiel na brzeg, gdzie czeka ją nieuchronna zagłada... Czarne fale oblewają ją pieszczotliwie, nie mogąc jej jednak zatrzymać w morskiej toni...

Świetlny punkt na ekranie pulsował coraz słabiej.

— Sygnał osłabł znacznie — zauważył ktoś daleko, na Ziemi.

— Rzeczywiście — potwierdził inny głos.

Ewa odchyliła głowę do tyłu, rozchyliła usta, zacisnęła kurczowo dłonie na poręczu fotela.

Oto ono, ostateczne rozstrzygnięcie — pomyślał Billy. Świetlny punkt pulsował nadal, czerwony jak krew — świadectwo życia.

Potem: ciemność. Cisza.

I raptem oślepiający błysk, kula ognista zawierająca czystą energię, ogromny, owalny twór, orkan, zlepek pędzących w przestworza białych kłębow dymu, coś niesłychanego, zdającego się pożerać cały wszechświat, ciskającego w twarz Billy'ego i Ewy jaskrawe rozbłyski.

Głucha cisza.

Billy zacisnął mocno powieki, rozdygotanymi dłońmi dodatkowo zakrył sobie oczy, ale i tak owa bezlitosna jasność oślepiała go... Chmura ognia rozszerzała się. Przerazająco szybko. Czarny pulsujący ośrodek rozrósł się do roziskrzonego barwami potoku, rozszalałego orkanu... i zgasł raptownie, aby po chwili odżyć na nowo erupcją oślepiającej jasności, przekształcić się w ognistego pomarańczowego potwora, dygocącego, wijącego się na wszystkie strony w straszliwych konwulsjach...

I znowu ta jasność. Trzecia chmura ognia, pomarańczowoczerwona — owalne, wirujące diabelskie jajo... Billy odniósł wrażenie, jakby wokół niego rozbrzmiewały grzmoty, piski, trzaski, huki pochodzące nie z tego świata, a potem...

Potem nastąpiła ciemność. Skończyło się.

Ewa opuściła głowę na piersi, oddychała z trudem, dygocąc na całym ciele.

Billy nie zwracał na nią uwagi. Z wahaniem zdjął dłonie z oczu: w pierwszej chwili dostrzegł jedynie jaskrawe, rozbiegane chaotycznie cząsteczki światła. Energia ostatnich eksplozji, burzliwa i rozszalała, oślepiała go.

Nie myślał o niczym, nie czuł nic, nie był teraz do tego zdolny. Wiedział, że zdolność myślenia powróci z biegiem czasu, będzie musiała wrócić. Ale zdolność przeżywania — nie. Został pozbawiony wszelkich uczuć; przeminęły i zginęły w płomieniach. Wraz z Maksym i jego mrzonkami o dobrym, sprawiedliwym świecie, o dobrych, sprawiedliwych i porządnym ludziach, o pożytecznych wynalazkach.

Dopiero kiedy przyszedł do siebie, uspokoił się i opanował, poruszył się. Ostrożnie, niemal delikatnie przyciągnął mikrofon. Następnie złożył meldunek dla bazy programowej na Ziemi:

— Mówi Hayes z promu kosmicznego „Maryland”... Słyszycie mnie? Mówi Hayes z promu kosmicznego „Maryland”...

Obmacał ranę na czole i pokrzwawiony bandaż, czując przez cały czas słony smak w ustach, myśląc o Maksie i o Chris. O duchach z Florydy Arklab. O Słońcu, które po tej straszliwej nocy wszędzie przecież ponownie, świecąc dla wszystkich ludzi. Dobrych i złych. Po prostu ono kocha nas wszystkich. Pocziwe Słońce! Ta dziwka nie odmawia nikomu. Ja taki nie jestem. I nigdy nie będę. Do diabła z tobą, Słońce! No i proszę, jednak odzyskałem zdo-

Iność myślenia.

EPILOG

Pensylwania,
czwartek, 13 listopada
1997 roku

Nie udało mi się zachować zimnej krwi. Siedzę w tym fotelu z papierosem, którego popiół parzy mi palce. I nic na to nie mogę poradzić, tracę panowanie nad sobą.

Ręce Kronenberga drżały silnie. Odczuwał potrzebę pójścia do ubikacji. Pohamował ten impuls. Naprzeciw niego siedział Billy, poważny Billy. On również milczał.

— Powiedziałem już wszystko, co było do powiedzenia — tak wyraził się przedtem. Kronenberg skinął wtedy głową, kącki jego ust zadrgały. Billy potarł łokciami o stół, utkwiał przekorny wzrok w oczach Kronenberga. Może mnie nienawidzi? Może mną gardzi? O ile potrafi jeszcze czuć.

Do pokoju wszedł Bannister. Cienie zdążyły się już wydłużyć: im dłużej mówił Billy, tym więcej ich przybywało. A wraz z nimi wkradał się ziąb. Bannister uśmiechnął się do Billy'ego, zdjął z wieszaka bluzę munduru i zarzucił ją sobie na ramiona. Obrzucił Billy'ego nieokreślonym wzrokiem, po czym wyszedł z pokoju. Pozostałych nie było już od dawna, być może zrozumieli, że Billy nie podejmie żadnej próby ucieczki.

W pewnej chwili Feliks Kronenberg podniósł się. Milczenie, rozrastające się do coraz bardziej uciążliwego balastu, niepokoiło go. Wiedział już wszystko. Wszystko. Ale...

Billy spojrzał na niego z uśmiechem, wyrażającym zarazem drwinę i pogardę. On również wstał. Feliks uniknął jego wzroku. Ubrał się i wyszedł na zewnątrz. Nie potrzebował przypominać Billy'emu, by mu towarzyszył. Przeszedł przez przedsionek zatopiony w ciszy. Cisza panowała również w hangarze, w jego zimnych kątach, pomiędzy helikopterami, przyrządami i aparaturą. Ucichły odgłosy pracy. Widowisko dobiegło końca, jakkolwiek nie uprzątnięto jeszcze kulis.

Nie od razu zauważył obydwu wartowników, którzy przyprowadzili Billy'ego. Stali w cieniu tuż obok wyjścia z dużej hali; jeden z nich oparty niedbale o ścianę, drugi przestępując nerwowo z nogi na nogę, z rękami schowanymi głęboko w kieszeniach ciemnej, ocieplanej kurtki lotniczej. Jego oddech tworzył szary obłoczek. Był blady i przemarznięty. Kronenberg poczuł na ten widok złośliwą uciechę. Bez powodu.

Obaj wartownicy spojrzeli na nich. Feliks i Billy przeszli obok bez słowa, jak gdyby ich nie zauważyli.

Zapał wieczór. Ołowianoszare niebo, z którego niedawno padał śnieg. Nie było go dużo. Białoszara warstwa, która stopnieje za kilka godzin. Ściemniało się szybko. Słońca nie było już widać! Zatrzymali się obok wyjścia z hangaru, ale nadal nie odzywali się do siebie. Spoglądając przez dłuższą chwilę w zamgloną dal, można było dostrzec drobne światełka. I parę samotnych płatków śniegu, tańczących posępnie w powietrzu.

Billy oparł czoło o blaszaną ścianę hangaru, uniósł ręce, chwycił się mocno wspornika. Powoli podniósł głowę.

— I co teraz będzie? — zapytał głucho.

Wieczorny wiatr huczał w hangarze, rozwiewał włosy. Kronenberg zapalił papierosa i zaciągnął się checiwie.

— Cała ta sprawa jest trochę bardziej skomplikowana, niż myślisz — mruknął wreszcie. Billy zwrócił ku niemu głowę.

— Nie wygłupiaj się! Co się takiego stało?

Feliks nie patrzył na niego, szczęki latały mu nerwowo. Spojrzał na ziemię, potem na ścianę, wreszcie na sunące w powietrzu pasma mgły. Z pewnością myślał o piekle na pokładzie Florydy Arklab. Tylko że tam nie było mgły, lecz dym. Mnóstwo dymu.

— Promienniki mikrofalowe działały aż do końca — powiedział przeciągle. — A kiedy Amerykanie zorientowali się, co zrobili, nie można już było niestety nic zmienić — powiedział to apatycznie, jakby godził się z losem. Jak sucho zabrzmiały te słowa. Jak głupio, idiotycznie! „Niestety nic nie można było zmienić.”

Billy nie spuszczał z niego wzroku. Czekał. Kronenberg mówił dalej:

— Przyspieszyło to porę deszczów monsunowych w Indiach... Skutki katastrofalnych powodzi są wprost trudne do opisanania...

Billy odchylił głowę do tyłu, powiódł wzrokiem po szarej, oliwkowozielonej, brudnej ścianie i skierował go ku gęstniejącemu niebu. Potem odwrócił się raptownie i odszedł. Feliks spoglądał za nim z goryczą, z trudem powstrzymując się od krzyku.

Maks miał rację. We wszystkim co mówił. Przewidział to, co się stało.

Kronenberg poczuł się nagle stary. Wszystko przemija — pomyślał cynicznie. Świadomie cynicznie, gdyż chciał coś poczuć. Obojętne co. Nawet gdyby miało to sprawić ból. Najwidoczniej jednak on również odczuł się czuć.

Obaj wartownicy trwali na posterunku. Dyskretni, lecz czujni. Billy przeszedł obok nich w stronę lądowiska. Podniósł jakiś kamień i ścisnął go w dłoni. Może odczytał moje myśli? — ucieszył się Kronenberg. — Może to potrafi? Chciałbym, żeby wiedział, o czym myślę. To by wiele ułatwiło.

Było zimno. Ten chłód... Kronenberg ruszył do przodu. Billy spoglądał na swoje ręce, na kamień. Tu, za hangarem, było widniej.

Feliks podszedł do Billy'ego, położył mu dłoń na ramieniu. Jak zachował go w pamięci? Jako dorosłego, wiecznie roześmianego chłopca. Przypomniało mu się coś, co przeczytał już dawno, całą wieczność temu, u E.T.A. Hoffmana: „Śmiech jest jedynie łkaniem tęsknoty za ojczyzną”. Ale przecież było jeszcze coś poza tym. Ta maska.

— Ty i Ewa — zaczął z wahaniem, ochryplym, szorstkim, łamiącym się głosem — nie jesteście jedynymi ludźmi, którzy wiedzą o tym.

Sympatia? Wobec Billy'ego? Próba pocieszenia?

Billy powolnym gestem uniosł głowę, wpatrując się w jakiś odległy punkt bazy lotniczej. W dalszym ciągu milczał.

— To, co uczyniliśmy dziś, Billy, stanowi jedynie część... przeprowadzonego dochodzenia... — nie mówił wprost, nie patrzył mu w oczy, ale w końcu przewyciężył słabość, stanął tuż przed nim.

Głowa Billy'ego, pochylona lekko do przodu, spoczywała na jego ramieniu. Kronenberg odniósł wrażenie, jakby czuł poprzez ubranie jego kędzierzawą czuprynę. Próba pocieszenia? — zastanowił się ponownie. I sam sobie odpowiedział twierdząco: Tak, właśnie tak.

— Wydaje mi się — powiedział — wydaje mi się, że mogę cię uspokoić. Według mnie to dobry znak, że mogliśmy się tu spotkać. — Zaciągnął się gwałtownie. Wiatr rozwiał mu dym sprzed warg, poniósł gdzieś daleko. Ale brzmienie jego głosu było jakieś... dziwne. Coś tu się nie zgadzało. Odwrócił twarz, spoglądał teraz ponad ramieniem Billy'ego, gdzieś w bok. Billy milczał uporczywie.

— Ale... nie mam najmniejszego pojęcia, co oni zamierzają z wami uczynić.

A więc to tak. Billy odrzucił kamień gwałtownym ruchem, pogardliwie. Feliks wypuścił dym nosem.

— Ty naprawdę myślisz, że ci to ułatwię? — Billy wojowniczym gestem uniosł głowę, wysunął do przodu podbródek. Jego oczy połyskiwały zimno. — O nie! Za bardzo jesteś z tą sprawą związany!

— Myślisz...?

Ale Billy już odszedł od niego, nie czekając na odpowiedź, powoli, jakby z namysłem. Kronenberg powiedział cicho:

— Noe wyrzeka się swoich dzieci.

Ciszę przerwał warkot helikoptera, napięcie prysło. Oto nadszedł ów moment: przybywali po niego. Obaj wartownicy byli gotowi. Jeden z nich, mimo późnej pory, nałożył okulary przeciwsłoneczne. Śmigłowiec wylądował na tym samym miejscu co rano.

Billy odwrócił się powoli i popatrzył w oczy Feliksowi — długo i uważnie. Jakby pragnął utrwalić w pamięci rysy jego twarzy. Każdy szczegół, nawet ten najdrobniejszy.

Kronenberg obrzucił przelotnym, pozbawionym większego zainteresowania wzrokiem tuzinkowe twarze obu pilotów.

Wartownicy ruszyli do przodu, biorąc Billy'ego w środek, pomiędzy siebie. Poszedł z nimi bez słowa równym, mocnym krokiem. Nic nie wskazywało na to, żeby się bał.

Uderzył go podmuch mroźnego wiatru, w ciemnościach słychać było jedynie warkot śmigłowca. Włosy Billy'ego poderwane przez wiatr odsłoniły plaster na czole. Na jego twarzy trwał kamienny, niczym nie zmacony spokój. Kronenberg nie odrywał wzroku od jego pleców. Powiedz mu coś. Powiedz mu przynajmniej, że... że jest ci przykro? — zapytał siebie w duchu z niedowierzaniem. — Że jest ci przykro tak samo, jak z powodu powodzi w Indiach? Jak z powodu...

Billy i obaj wartownicy doszli już do ciemnego helikoptera. Raptem Billy stanął jak wryty, patrząc przez szybę do środka. Kronenberg wyciągnął szyję, on również dojrzał postać w pomarańczowym skafandrze. Nie musiał widzieć jej twarzy, wiedział i tak, kto to jest. Ewa. Ewa Thompson. Odrzucił niedopałek papierosa.

Billy zaglądał nadal do wnętrza helikoptera. A Ewa odwzajemniała jego spojrzenie. Na jej ustach błąkał się cień uśmiechu. Zrozumiała to wszystko wcześniej niż Billy. Billy odwrócił się, a on, Feliks Kronenberg, stał nadal w tym samym miejscu, jak wykuty z kamienia, nie mówiąc nic. Wargi Billy'ego poruszyły się, wypowiadając jedno słowo. Coś jakby: łajdak. A może inne. Donośny warkot silnika maszyny i łopot rotorów zagłuszyły inne odgłosy.

Feliks Kronenberg postawił kołnierz kurtki, nie spuszczać oczu z Billy'ego. Kosztowało go to wiele siły. Energii. Wiele siły i wiele energii. Billy również nie odrywał od niego wzroku. Jeden z wartowników precyzyjnie przesunął się obok niego i wszedł na pokład śmigłowca. Drugi pozornie łagodnym, ale stanowczym ruchem skierował Billy'ego do wejścia. Zniknęli w ciemnym wnętrzu śmigłowca. Billy usiadł pomiędzy wartownikami, spojrzał na Ewę, następnie odwrócił głowę i wyjrzał przez okienko. Znowu spojrzał na Feliksa...

Helikopter wystartował. Warkot silnika wzmógł się, przechodząc w śpiewny, przeciągły dźwięk, coraz bardziej męczący, Billy zaś patrzył nadal na niego, nawet wtedy, kiedy helikopter wzbił się w górę. Kronenberg szarpał za kołnierz kurtki, jakby chciał postawić go jeszcze wyżej, zakryć nim całą twarz. Spoglądał na niknący w górze helikopter, na jego ciemny zarys.

Złożył dłonie jak do modlitwy. Ale nie modlił się. Nawet nie myślał. W ogóle nic nie czuł. Płatki śniegu padały teraz gęściej, zaścielając zamarznąłą ziemię.

Kronenberg powrócił do biura. Szedł ociężale, wyrzucając sobie, że przez cały dzień nie zaoferował Billy'emu nic do jedzenia lub do picia.

Znowu założył okulary: te swoje brzydkie, ciemne potworki, za którymi tak bardzo lubił kryć swą twarz. W lewej dłoni trzymał papierosa. Niezdecydowanie wsłuchiwał się w charakterystyczny odgłos szurania... Wreszcie nachylił się i sięgnął ręką do dolnej szuflady biurka, gdzie poprzednio umieścił mały, staroświecki magnetofon. Taśma zdążyła się już odwinąć z lewej szpuli, natomiast prawa obracała się nadal. To właśnie wolny koniec taśmy, ocierając się o obudowę, powodował ów odgłos.

Kronenberg wcisnął klawisz, zatrzymał szpulę i wyjął ją lewą ręką, nie odkładając papierosa. W sąsiednim pomieszczeniu grał telewizor. Sam włączył go niedawno, kiedy wrócił do biura. Wpatrywał się jeszcze bezmyślnie w magnetofon, kiedy usłyszał sygnał stacji RTC.

— Dobry wieczór państwu — rozległ się głos spikera. — Podajemy ostatnie wiadomości dnia...

Kronenberg uniósł głowę, jakby budził się z niespokojnego, męczącego snu.

— W Arabii Saudyjskiej we wczesnych godzinach porannych...

Feliks zdjął okulary. Zaczął przysłuchiwać się uważniej słowom spikera, z większym napięciem, nie wiedząc nawet dlaczego.

— ... powstańcom udało się opanować stolicę Riad. Równocześnie z pałacem rządowym zajęto gmach radiostacji...

Kronenberg chodził niespokojnie od ściany do ściany, wreszcie przeszedł ze swojego pokoju do sąsiedniego.

— Jak podaje rzecznik Europejsko-Amerykańskich Władz Kosmicznych...

Teraz widział wreszcie ekran i spikera.

— ...dziś w nocy na pokładzie stacji orbitalnej Floryda Arklab doszło do poważnej awarii reaktora...

Awarii — powtórzyło w nim cynicznie echo. — Awarii, awarii, awarii. — Klęknął przed telewizorem, założył z powrotem okulary.

— ... stacja uległa całkowitemu zniszczeniu. Dwóch członków załogi zginęło. Dwaj pozostali astronauty zdołali uratować się na pokładzie promu kosmicznego. Zdjęcia przedstawiają prom tuż po wylądowaniu...

Widoczny na ekranie obraz odbijał się w okularach Kronenberga: rozległe, niemal bezkresne lądowisko i drobny punkcik w jego centrum prom. Manewr hamujący, kłęby dymu...

Znał te zdjęcia, widział je już na monitorze, zanim jeszcze utrwalono je na taśmie i przekazano stacji telewizyjnej.

— ... mimo iż obaj ranni zostali natychmiast przewiezieni do kliniki specjalistycznej, gdzie poddano ich intensywnemu leczeniu...

Na ekranie zdjęcie promu w powiększeniu. Otwarte drzwiczki kokpitu. Krzątający się gorliwie ludzie w kombinezonach ochronnych.

— ...w godzinach popołudniowych zmarli w wyniku silnego napromieniowania...

Zmarli w wyniku silnego napromieniowania! — Powtórzyło znowu nieme echo, a Kronenberg drgnął gwałtownie. Zerwał okulary i zakrył dłońmi oczy.

Bezlitosny głos spikera informował nadal:

— Jak podaje rzecznik Europejsko-Amerykańskich Władz Kosmicznych, przyczyny awarii nie są jeszcze wyjaśnione...

Feliks zdjął dłonie z twarzy, wpił wzrok w ekran. Następnie przełamał szpulę magnetofonową, powoli, drżącymi palcami. Obrączka na jego ręce zamigotała aprobująco. I wyzywająco. Jak gniewne oko. Oko Billy'ego. Kronenberg zsunął taśmę ze szpuli, zgniótł ją, po czym zaczął szarpać i drzeć ją zapamiętałe, aby wreszcie rzucić ze wstrętem na podłogę. Następnie wstał, wziął swoją teczkę, zarzucił ją sobie na ramię i tak, trzymając ją prawą ręką, z papierosem w ustach, zmęczonym krokiem wyszedł z biura. W pokoju Bannistera stała jeszcze torba podróżna Billy'ego. Wziął ją również. Zanim wyszedł na zewnątrz, rozejrzał się jeszcze raz dokoła. Telewizor działał nadal, ale jemu było to obojętne.

Wyszedł w ciemność, w chłód, w szum wiatru opowiadającego coś o nadchodzącej zimie i śniegu, o zbliżających się świętach. Z ciemności wyłonił się samochód, podjechał bliżej. Zapłonęły światła pozycyjne i stop. Ten sam kierowca, który przywiózł go rano. Tak samo ponury i milczący. Kronenberg zbliżył się powoli, obszedł samochód, otworzył lewe drzwiczki, wrzucił na siedzenie swoje rzeczy i wsiadł.

Kierowca powitał go nieznacznym kiwnięciem głowy. Kronenberg nie odwzajemnił gestu. Wyglądał przez okno, a jego oddech zrodził na szybie delikatną mgiełkę. Kierowca włączył silnik i ruszył. Na dachu radiowozu kręciło się ociężałe niebieskie światełko, śląc w przestrzeń cienie. Tak jak w górze, na pokładzie Florydy Arklab, w czasie alarmu. Cienie. Jak

to powiedział Billy? „Biedni, biedni głupcy.”

Piekącymi oczami Kronenberg wpatrywał się w umykającą do tyłu ciemność. Ziąb zadomowił się na dobre w jego ciele, jakby już nigdy nie zamierzał go opuszczać. Starał się nie myśleć o nadchodzących świętach, starał się o to, jak tylko mógł. Opanował go smutek.

— Noe wyrzeka się swoich dzieci — powiedział przedtem, całą wieczność temu. Tak, to prawda.

Wyrzekł się ich... i wysłał.

Na śmierć.